tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 19 (1270)
6-12.05.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. MIROSŁAW KARWAT
BŁĘDY LEWICY

PROF. LECH M. NIJAKOWSKI
POLACY A ŻYDZI

BIAŁO-CZERWONA NA REICHSTAGU

PROKURATORZY IPN – NIEWYDOLNI I NIESKUTECZNI

DLACZEGO PRAWICA KOCHA TRUMPA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
19 >
9 771509 311409

eprasa.pl fa2869afb7

REPERTUAR TCN

SEZON 2023/2024

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

MIODOWA 22/24
KASA TEATRU CZYNNA STACJONARNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. **15:00 – 19:00**
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA
W SOBOTY W GODZ. 15:00 – 17:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA
MOŻNA SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NAMI RÓWNIEŻ:
TELEFONICZNIE: **662 155 960**
MAILOWO: **KASA@E-AT.EDU.PL**
OD WT. DO PT. W GODZ. **11:00 – 19:00**
W WEEKENDY W GODZ. **13:00 – 17:00**
TCN.AT.EDU.PL

MAJ 2024

PRZEZ ŚWIATŁA
REŻ. VICTORIA YEGOROVA

07* CZWARTEK 19:00 | SCENA GŁÓWNA
* projekcja filmu

INSTRUKCJE
REŻ. KONRAD IMIELA

09 CZWARTEK 19:00 | **10** PIĄTEK 19:00 | **11** SOBOTA 19:00 | SCENA GŁÓWNA

WENUS W FUTRZE
REŻ. JULIA BANASIEWICZ I ADAM STASIAK

10* PIĄTEK 19:30 | **11** SOBOTA 17:00 | 19:30 | SALA IM. J. KRECZMARA
*PREMIERA

MOJE POGO
REŻ. MARIA CZOK

14 WTOREK 17:30 | 19:30 | SALA IM. J. KRECZMARA

KORONACJA
REŻ. IZABELA KUNA

14 WTOREK 19:00 | **15** ŚRODA 19:00 | SCENA GŁÓWNA

ZBOMBARDOWANI
REŻ. EWA PLATT

16 CZWARTEK 19:30 | **17** PIĄTEK 19:30 | SALA IM. J. KRECZMARA

CASTING
REŻ. MATEUSZ ATMAN I AGNIESZKA JAKIMIAK

17 PIĄTEK 17:00 | **18*** SOBOTA 19:00 | SCENA GŁÓWNA
* spektakl z audiodeskrypcją

BÓG WYJECHAŁ
REŻ. ANNA SROKA-HRYŃ

24 PIĄTEK 19:30 | **25** SOBOTA 19:30 | SALA GIMNASTYCZNA

MIRECZEK. IMPRESJE NA TEMAT DOROSŁYCH DZIECI ALKOHOLIKÓW
REŻ. TYMOTEUSZ SAROSIEK

29 ŚRODA 19:30 | SALA IM. J. KRECZMARA

CZERWIEC 2024

FAME MMA
REŻ. KAMIL BIAŁASZEK

04 WTOREK 19:30 | **05** ŚRODA 19:30 | SALA GIMNASTYCZNA

KORONACJA
REŻ. IZABELA KUNA

06 CZWARTEK 19:00 | **07** PIĄTEK 19:00 | **08** SOBOTA 19:00 | SCENA GŁÓWNA

Fot. Zuzanna Mazurek

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

Patroni medialni: chili zet, Przegląd

Partnerzy Teatru: kicket

eprasa.pl fa2369afb7

Paweł Dybicz

Historia bez zwycięzców

Coraz mniej ludzi pamięta koszmar II wojny światowej. Gdy przestaje przerażać ogromem strat i nieszczęść, musimy przypominać jej tragiczny bilans – kilkadziesiąt milionów ludzi, którzy zginęli. Szerzej o tym traktuje tekst Łukasza Jastrzębia i Krzysztofa Wasilewskiego. Warto pamiętać tym bardziej, że wojna, prawdziwa wojna, jest blisko nas. I nie myślę tu tylko o odległości mierzonej w kilometrach.

Z okazji Dnia Zwycięstwa odbędą się zapewne uroczystości rocznicowe z udziałem najważniejszych osób w państwie. Będzie mowa o znaczeniu pokonania III Rzeszy i jej koalicjantów. Ale nie będzie to cała prawda o doniosłości zwycięstwa 8/9 maja 1945 r. Ówczesna zwycięska koalicja antyhitlerowska znów zostanie podzielona na dobrych i złych aliantów. Wyzwolicieli i nowych okupantów. Ten podział to pokłosie uprawianej od 20 lat polityki historycznej, której najważniejszą emanacją jest Instytut Pamięci Narodowej. Według takiego rozumienia przeszłości pokonanie hitlerowskich Niemiec równa się poddaniu stalinowskim Sowietom, a do najważniejszych bohaterów należą ci, którzy po 1945 r. poszli do lasu, a nie walczyli z Niemcami. To bezrozumne gloryfikowanie „żołnierzy wyklętych" już teraz zaowocowało przedkładaniem ich nad Armię Krajową czy Bataliony Chłopskie, o Armii Ludowej nie mówiąc.

Polacy wnieśli niemały wkład w pokonanie nazistów. Nigdy nie zapomnimy o daninie krwi złożonej, by zwycięstwo przyszło jak najszybciej. Straty polskie – 6 mln obywateli II Rzeczypospolitej – są ogromne. W przeliczeniu na jednego mieszkańca to Polska i Białoruś poniosły największe. Ale byliśmy po słusznej stronie, w przeciwieństwie do przyjaciół Morawieckiego, Węgrów.

Wykreślenie setek tysięcy żołnierzy, prawdziwych zwycięzców, którzy zatknęli biało-czerwoną flagę na Kolumnie Zwycięstwa w Berlinie i wyzwalali Polskę, jest zbrodnią na pamięci narodu. Jest pluciem w twarz rodzinom tych, którzy szli do Polski ze Wschodu. I doszli do niej. Szli do Polski, a nie do jakiejś kolejnej republiki radzieckiej. Trzeba pamiętać, że żołnierze 1. i 2. Armii Wojska Polskiego wnieśli wkład nie tylko w wiktorię, ale i w kształt powojennych granic. Bez ich zwycięstwa nie byłoby Polski w obecnym kształcie. Doceniając rolę polskich lotników na angielskim niebie, mężnych żołnierzy pod Monte Cassino i czołgistów gen. Maczka, trzeba mieć świadomość, że to Stalin zdecydował, jaka będzie Polska, a za partnerów miał ludzi, którzy tworzyli Związek Patriotów Polskich, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego czy Rząd Tymczasowy. Zrozumiał to (po niewczasie) Stanisław Mikołajczyk.

Wymazywanie z pamięci żołnierzy 1. i 2. Armii WP pokazuje, że u nas słowa Winstona Churchilla o historii pisanej przez zwycięzców nie mają zastosowania. Bo u nas jakże często piszą ją głupcy. Nie tylko spod znaku IPN.

Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

eprasa.pl fa2369afb7

W NUMERZE

KRAJ

8 Dlaczego lewica się wycofała?
– rozmowa z prof. Mirosławem Karwatem

12 Dlaczego polska prawica kocha Trumpa?
Trump u władzy dowartościuje nasz kraj

16 Bałagan z nowymi maturami
Władzo, wykaż się dojrzałością

18 Niewydolni i nieskuteczni
Czas działa przeciw prokuratorom IPN

20 Gra o życie, gra o tlen, gra o tron
Eurowybory – wyścig po synekury

24 Zamachu na Kuźnicę ciąg dalszy
Czy kolej zniszczy Półwysep Helski?

28 Nam strzelać nie kazano
Skąd wojsko ma brać amunicję artyleryjską?

30 Niepełnosprawne ofiary chorego systemu
Brak orzeczników, bzdurne procedury

32 Pigułka bez recepty
Trwa spór o antykoncepcję awaryjną

ZAGRANICA

34 Bella ciao
Korespondencja z Włoch

37 Fenomen duńskiej emancypacji
Imigrantki już nie podbijają dzietności

40 Kraj, który nie kwitnie
Katastrofa demograficzna w Japonii

OPINIE

43 Lech M. Nijakowski
Żyd – obcy konstytuujący polskość

HISTORIA

46 Masakra pod Reichstagiem
Bitwa o Berlin

KULTURA

50 Co kuleje w scenariuszu, będzie kulało na ekranie
– rozmowa z Gabrielą Muskałą

56 Qulturalia

66 Abstrakt/Między naturą a wyobrażeniem
Sztuka Piotra Pasiewicza

OBSERWACJE

54 Kolory prawosławia

58 Dylematy lekarza weterynarii
– rozmowa z dr. Tomaszem Hutschem

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Paweł Dybicz
Historia bez zwycięzców

23 Roman Kurkiewicz
Podziel się pan głowicą

57 Tomasz Jastrun
Niekochani przez historię

61 Agnieszka Wolny-Hamkało
Oksy, my love

24
KRAJ

ZAMACHU NA KUŹNICĘ CIĄG DALSZY
Czy kolej zniszczy Półwysep Helski?

37
ZAGRANICA

FENOMEN DUŃSKIEJ EMANCYPACJI
Imigrantki już nie podbijają dzietności

54
OBSERWACJE

KOLORY PRAWOSŁAWIA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER, PAWEŁ DĄBROWSKI/SUPER EXPRESS/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl fa2369afb7

Opcja śląska

W nawiązaniu do artykułu Dariusza Zalegi „Śląskość, polskość – do zmiany” (PRZEGLĄD 15/2024) chciałbym przypomnieć tło polityczne wyboru śląskiej tożsamości w spisach powszechnych, które nam wszystkim umyka. Aż do spisu powszechnego z 2002 r. największą mniejszością narodową w powojennej Polsce była mniejszość niemiecka, której liczebność szacowano różnie – od ok. 100 tys. do nawet 1,7 mln osób. Rodziło to określone problemy i napięcia w stosunkach polsko-niemieckich, częstokroć zaognianych awanturnictwem niemieckich ziomkostw z postaciami Herberta Hupki i Herberta Czai, zwanych w Polsce rewanżystami, oraz żądaniami wobec Polski ze strony wypędzonych z osławioną Eriką Steinbach na czele. Dyskryminacja mniejszości niemieckiej przez władze PRL i III RP była w Bonn i w Brukseli tematem dyżurnym. Tymczasem wystarczyło wezwanie do wyboru opcji śląskiej, by mniejszość niemiecka skurczyła się do nader skromnych wymiarów, a najliczniejszą mniejszością stali się Ślązacy, wyprzedzając Kaszubów. Liczebność mniejszości niemieckiej w spisie powszechnym w 2002 r. wynosiła 153 tys., w 2011 – 144 tys., w 2021 – 132,5 tys., natomiast liczebność mniejszości śląskiej w 2002 r. to 173 tys., w 2011 – 586 tys., w 2021 – 596 tys.

Śląskość, polskość – do zmiany

Nie byłoby efektu wyparcia „niemieckości” przez „śląskość”, gdyby nie działania dr. Jerzego Gorzelika, historyka sztuki z Uniwersytetu Śląskiego, wielkiego orędownika tożsamości i mowy śląskiej, który wezwał do wyboru opcji śląskiej w spisach powszechnych, co okazało się majstersztykiem, doprowadzając do marginalizacji kwestii mniejszości niemieckiej. Warto też przypomnieć, że szaman z Żoliborza określił „opcję śląską jako ukrytą opcję niemiecką”, wykazując się kompletnym brakiem rozumienia polskiej racji stanu.

Dr hab. Robert Borkowski, profesor Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Rozpruwanie Ameryki

Drukujecie Państwo fragment książki Piotra Tarczyńskiego, w której aż roi się od przekłamań. W USA jest więcej sztuk broni palnej niż ludzi, średnio 120 sztuk na głowę – pierwsza część zdania może prawdziwa, ale druga? I dalej: superposiadacz ma średnio 17 sztuk i jest ich tylko 3%. Bardzo was proszę, dbajcie o logikę. Lubię wasze pismo i wspieram, kupując co tydzień dwa egzemplarze. Jestem człowiekiem lewicy i popieram większą część Waszych poglądów, ale moglibyście pisać o prawdziwych przyczynach wojny na Ukrainie, np. kto ją wywołał i kto z tego ma korzyści. I nie jestem zwolennikiem Rosji, ale człowiekiem, który przeżył już 76 lat.

Rozpruwanie Ameryki

Wojciech Chudziński

•

Pragnę zwrócić Redakcji uwagę na poważny błąd w artykule Piotra Tarczyńskiego. Otóż według dostępnych w internecie statystyk (en.wikipedia.org/wiki/Estimated_number_of_civilian_guns_per_capita_by_country) w USA jest średnio ok. 120 sztuk broni palnej na 100 mieszkańców, a nie na głowę, jak jest podane w artykule. *K. Woźniak*

OD REDAKCJI

Dziękujemy za czujność! Staramy się, jak możemy, ale widać musimy postarać się bardziej.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

Na Starym Mieście w Warszawie spacerowicze spotkają Kataryniarza Jana. Oprócz muzyki można posłuchać krótkiej opowieści o katarynce.

eprasa.pl fa2369afb7

1 maja świętowaliśmy 20. rocznicę akcesji Polski do Unii Europejskiej. Teraz najważniejsze jest, jaka będzie Unia w przyszłości i ile będziemy w niej znaczyć.

•

Od 2004 r. Polska zrealizowała 301 039 inwestycji z dopłatami unijnymi. Ich łączna wartość wyniosła 1,35 bln zł, a unijne dofinansowanie opiewało na 814 mld zł.

•

80 mld zł (w latach 2018--2022) **dostały samorządy z funduszy UE**. 41% poszło na drogi, wiadukty i obwodnice, a ok. 21% na transport zbiorowy i komunikację miejską.

•

Prawie 10 mln osób w Polsce ma ponad 60 lat. Większość (64,1%) mieszka w miastach. Co szósta jest aktywna zawodowo. W woj. świętokrzyskim na 100 wnuków przypada 146 dziadków.

•

Zaległości podatkowe Polaków na koniec 2023 r. przekroczyły **115 mld zł.** Ponad 80% stanowi VAT.

•

Prawie **14 mln ton węgla zalega przy kopalniach i elektrowniach**. W 2023 r. Polska Grupa Górnicza mimo spadku wydobycia zatrudniła kolejnych 537 pracowników.

•

Ponad 461 tys. kontroli zwolnień lekarskich przeprowadził ZUS w 2023 r. Złapano **28 tys. oszustów**, którzy pobrali świadczenia w wysokości ponad 29 mln zł.

•

Język śląski ma być wpisany do ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych jako drugi, obok kaszubskiego, język regionalny. Decyzja Sejmu ma małe szanse na podpis prezydenta Dudy.

•

2,4% wyniosła inflacja w kwietniu **(GUS)**.

•

Ukraińcy w wieku poborowym (18-60 lat), którzy przebywają poza granicami kraju, muszą założyć tzw. elektroniczne konto poborowe i zarejestrować się w odpowiedniej komendzie wojskowej.

•

Teresa Drozda, dziennikarka radiowa, została laureatką **Nagrody im. Karoliny Beylin**, przyznawanej przez Zarząd Oddziału Warszawskiego SDRP za wybitne osiągnięcia na rzecz stolicy.

•

Po 23 latach Marek Kubala, wałbrzyski diler Seata, oskarżony o przestępstwa podatkowe i aresztowany, co doprowadziło go do bankructwa, **wygrał z państwem**. Ma dostać 16 mln zł za utratę firmy, ale wyrok jest nieprawomocny i urzędnicy pewnie się odwołają, bo i tak za nic nie ponoszą odpowiedzialności.

•

16% uczniów i uczennic do 15. roku życia jest już po inicjacji seksualnej, więcej chłopców niż dziewczyn **(prof. Zbigniew Izdebski, „Polityka")**.

•

Zmniejsza się liczba ludności Polski, w zeszłym roku **ubyło 133 tys. mieszkańców.** Najgorsze perspektywy są dla woj. opolskiego, lubuskiego, świętokrzyskiego i podlaskiego **(GUS)**.

•

Strata Azotów w 2023 r. wyniosła 1,37 mld zł na poziomie EBITDA i 3,29 mld zł netto. Zdaniem nowego prezesa Adama Leszkiewicza odpowiedzialność za to ponosi byłe kierownictwo **(„Parkiet")**.

•

44,2 mld zł wypłaciły poszkodowanym firmy ubezpieczeniowe w 2023 r.

PRZEBŁYSKI

Jaki Sygut, taka TVP

Jedno, co odnowionej TVP jako tako wychodzi, to zanudzanie widzów. To już nie jest wkurzająca oglądających pisowska szczujnia. Ale też nie jest tym, co zapowiadano. To produkt telewizyjny. Drętwy, ulizany i nijaki. Wypisz wymaluj coś na obraz nowego prezesa. Taki jest Tomasz Sygut. Wynalazek Marcina Kierwińskiego i Bartłomieja Sienkiewicza. Kierwiński trzymał go przez lata w zarządzie Miejskich Zakładów Autobusowych. A Sienkiewiczowi było wszystko jedno, kogo powoła. Efekt widać. Codziennie.

Cztery lata na dystans

W tej sprawie niczego nie da się napisać bez pomocy specjalistów. Tylko doświadczeni medycy przy pomocy uznanych autorytetów zagranicznych mogą zdiagnozować relacje prezesa Kaczyńskiego z prezydentem Dudą.

Jakie są fakty? Od czterech lat prezes nie rozmawiał z prezydentem w cztery oczy. Czy ktoś to rozumie? Czy jest jakiś kraj z podobną aberracją?

Kaczyński konsekwentnie nie wypowiada się na temat Dudy. A jeśli zdarzy mu się słówko, to zawsze podkreśla rolę swojego obozu politycznego (czytaj: SWOJĄ) w dwukrotnym wyborze Dudy na prezydenta. Co oczywiście jest prawdą. Bo Duda bez PiS nie wygrałby wyborów nawet na wójta Pcimia.

Taniec z kryminalistką

Skandal roku. Obrzydlistwo w najgorszej postaci. W Polsacie nie trzeba szukać ojca pomysłu zaproszenia do „Tańca z gwiazdami" Dagmary Kaźmierskiej, która została skazana przez Sąd Okręgowy w Świdnicy i Sąd Apelacyjny we Wrocławiu za prowadzenie agencji towarzyskiej. Za niezwykle brutalne zmuszanie dziewczyn do prostytucji i gwałt. Na co liczył bardzo ważny dyrektor Polsatu, bez którego nic tam się nie dzieje? Edward Miszczak rozliczany jest z oglądalności. A ta daje reklamy. Widzom znudzili się celebryci skandaliści, więc pora na kryminalistów. Zadziałało. Tak spodobała im się Kaźmierska, że masowo dzwonili do Polsatu. Chyba że to nie był spontan, ale kasa? Na pewno telefonów z poparciem dla Dagmary K. nie było z Szalejowa pod Kłodzkiem. Mieszkańcy do dziś boją się gangu, który rządził w agencji towarzyskiej przy stacji benzynowej. A jej właścicielki, czyli Kaźmierskiej, jeszcze bardziej. Zobaczymy, co z tym pasztetem zrobi Polsat.

Coming out rolniczej Solidarności

Odezwał się milioner z rolniczej Solidarności Edward Kosmal. I chodzi tu nie o jego majątek, bo go nie znamy, ale o miliony ludzi, którzy mają się stawić na manifestację, którą organizuje 10 maja. Wspólnie z Solidarnością Piotra Dudy. Bo związek reprezentowany przez Kosmala, czyli NSZZ Rolników Indywidualnych, ujawnił się dopiero po ośmioletniej drzemce w czasach rządów PiS. Morawiecki chyba nawet nie wiedział, że dybie na niego Kosmal z kolegami. Nie pamiętamy ich barykad na granicy z Ukrainą, gdy wjeżdżało tzw. zboże techniczne. Oklaskiwali wygłupy Telusa z gaśnicą. A wcześniej mądrości Kowalczyka, który mylił się co do cen zbóż i nawozów jak dziecko z podstawówki. Jeśli wieś oczekuje czegoś od związku Kosmala, to przeprosin. I nierobienia rolnikom wstydu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, YOU TUBE, DOMENA PUBLICZNA, FACEBOOK

eprasa.pl fa2369afb7

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy żyją tym, co serwują im media?

ANDRZEJ SKWORZ,
redaktor naczelny „Press”

Dawniej Polacy żyli tym, co podawały im media tradycyjne. Teraz żyją tym, co serwują im media społecznościowe: skandalem, hejtem, pseudoinformacjami wyssanymi z brudnego palucha politycznych lub marketingowych spin doktorów. Malejący wpływ na społeczeństwo profesjonalnych mediów skutkuje obniżeniem poziomu debaty publicznej. Sprawia, że zamiast dyskutować o prawdziwych problemach, wciągamy się w obserwowanie celebrytów różnej maści. Zamiast słuchać mądrych ludzi, obcujemy z ludzkimi mądralami. Jaka jest na to rada? Unikać wielkich portali, które gonią za klikami, wybrać sobie kilka mniejszych, ale wciąż solidnych mediów, w których treści serwują redaktorzy, a nie sztuczna inteligencja. Uważam, że lepiej stracić z mądrym, niż zyskać z głupim. Polecam więc czytanie światowych mediów w językach, których się nie zna. Wystarczy zainstalować wtyczkę tłumaczeń w przeglądarce Chrome.

RYSZARD BAŃKOWICZ,
prezes Rady Etyki Mediów

Tak, ale nie tym, co można znaleźć w mediach, które uważamy za opiniotwórcze. Większość Polaków żyje tym, co podają im media społecznościowe. Widać, że młodsi odbiorcy porzucili czytanie tytułów ważnych, przynajmniej do niedawna, dla polskiego inteligenta. Odbiorcy ograniczają się dziś głównie do źródeł internetowych. Często zresztą kończą na samych nagłówkach. Odnoszę wrażenie, że większość Polaków raczej spotyka się z przypadkowymi treściami, ponieważ nie ma zwyczaju codziennego sięgania po informacje. Tym trudniej spodziewać się u odbiorców nawyku sprawdzania rzetelnych źródeł.

DR JAKUB KUŚ,
psycholog nowych technologii, Uniwersytet SWPS Wrocław

Wielu Polaków bardzo intensywnie żyje tym, co serwują im media. Z psychologicznego punktu widzenia często nie uświadamiamy sobie, jak duży jest ten wpływ w zakresie emocjonalnym. Są takie wiadomości, które oddziałują na nas w ten sposób, że tworzą pewien „klimat”. Nawet jeżeli nie wczytujemy się dokładnie np. w artykuły o licznych tragediach, które dzieją się na świecie, to sama ekspozycja na nagłówki już może sprawić, że będziemy bardziej pesymistycznie odbierać rzeczywistość. Podobnie niektóre portale społecznościowe. Wyniki badań pokazały, że social media mają ogromny wpływ na nasze emocje. Czasem też wpadamy w pułapkę FOMO (ang. *fear of missing out*), tłumaczonego najczęściej jako „lęk przed odłączeniem”. Współczesny świat sprzyja temu, aby być przytłoczonym mediami.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl fa2369afb7

Dlaczego lewica się wycofała?

Jak długo może być „wrażliwy społecznie” (i to nie werbalnie) lewicowy poseł, który sam ma sześć mieszkań albo prowadzi firmę?

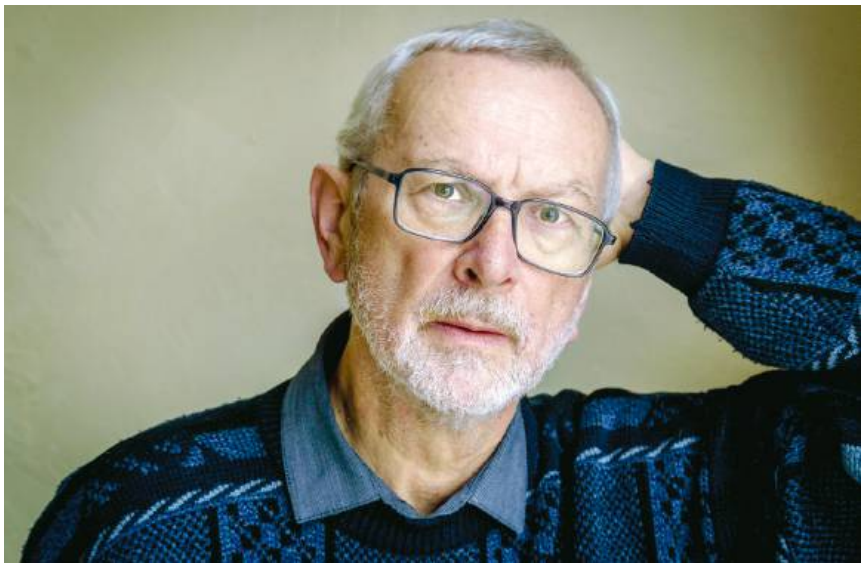

PROF. MIROSŁAW KARWAT

Rozmawia Robert Walenciak

W którym miejscu jest polska polityka?

– Jest w pętli. Tę pętlę założyło nam PiS. Jak ona wygląda? Przykład: jak pociągnąć do odpowiedzialności Macieja Wąsika za kołnierz, skoro on może się powołać na orzeczenie Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego? Nieważne, że izba jest nieuznawana w Europie, nie jest uznawana przez parlament, ale istnieje. Ma ktoś do tego zastrzeżenia? Może je zgłosić do Trybunału Konstytucyjnego.

A wiadomo, jakie orzeczenie on wyda.

– Ale nie można tknąć Trybunału ani Sądu Najwyższego, bo prezydent zawetuje.

Wszystko wisi więc na prezydencie Andrzeju Dudzie.

– To jest fatalne. Polityk miernego formatu, kalibru parafialnego dewota, figurant nadrabiający miną w infantylnych pozach, groteskowy w patetycznych przemowach, ale niezawodny w roli „strażnika świętego ognia”.

I chętnie robi rządowi na złość. Wetuje albo kieruje ustawy do TK. W ten sposób PiS wszystko poblokowało.

– Stworzyli układ zamknięty, a dla następców błędne koło. Nietykalni, zabezpieczeni kadencjami, nominacjami, których – choć były bezprawne – nie ma teraz jak uchylić. W opozycji, a jakby nadal przy władzy. Ścigani za przestępstwa, a jeszcze mogą ścigać ścigających. Minister sprawiedliwości w swoim zadaniu skazany jest – jak adwokat w sądzie broniący niemal przegranej sprawy – na kruczki prawne, rozwiązania zastępcze i tymczasowe. Tym większy podziw budzi to, jak umie w przywracaniu praworządności godzić pryncypialność z inwencją i niemal ekwilibrystyką. Widzimy, jaką sprawność osiąga ktoś, kto ma nie tylko kompetencje, ale i charakter.

Mam w takim razie wrażenie, że wynik wyborów samorządowych to zła zapowiedź dla tych wszystkich, którzy chcieliby rozliczyć okres PiS. Dlatego, że obecna władza, jeżeli nie będzie czuła nacisku społecznego, będzie odpuszczała.

– Może nie odpuści, ale może się zdemoralizować, zanim skończy proces rozliczeń, tracąc wiarygodność. Efektem byłoby rozczarowanie społeczne, tęsknota za PiS. Do erozji poparcia wystarczą nawet drobne machlojki i pazerność, śmierdzące układziki ludzi nowej władzy, która miała być taka dziewicza i czysta.

Można być we czterech

Wygląda na to, że PiS jest znakomicie przygotowane do czasów bycia w opozycji. Ma pieniądze, ludzi, swoją opowieść.

– Ma instytucje, wspólnoty, choćby takie jak kluby „Gazety Polskiej”; to przecież jest ruch społeczny. Oni to budowali wytrwale, gdy

Prof. dr hab. Mirosław Karwat – kierownik Katedry Teorii Polityki i Myśli Politycznej Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, członek Komitetu Nauk Politycznych PAN. Napisał m.in.: „O perfidii”, „Sztuka manipulacji politycznej”, „O złośliwej dyskredytacji”, „O demagogii”, „Jak się usidla ludzi. Kurs przytomności dla każdego”, „Manipulacja w polityce, czyli niezbędnik wyborcy”, „Manipulacja. Rewizja stereotypów”.

eprasa.pl fa2369afb7

lewica w tym czasie zrezygnowała z socjaldemokratycznego modelu partii-społeczności, z obecności w życiu codziennym swoich zwolenników. Teraz jest obecna tylko w telewizorze.

Dlaczego lewica się wycofała?

– Widzimy tu proces oligarchizacji, o którym pisał Robert Michels, a nawet zupełnie trywialną alienację elity.

Dzisiejsze partie to jakby związki zawodowe polityków, a zarazem firmy usługowe do wynajęcia.

Partie w pewnym momencie działają nie w interesie wyborców, ale w interesie swojego aparatu. To mówił Czarzasty 15 października: będziemy współrządzić.

– Najważniejsze, co lider miał do powiedzenia swoim wyborcom: znów jesteśmy przy władzy. Jak to zabrzmiało? Jak wygłodzenie odsuniętych od michy, nie jak manifest reprezentantów. Czy „przy władzy" są zwolennicy lewicy? Czy mają jakiś wpływ? Nie mają wpływu nawet na Czarzastego czy Biedronia, a co dopiero na silniejszych koalicjantów. Te procesy – redukcji partii do stałego komitetu wyborczego – zaczęły się właściwie od początku transformacji. Z małym wyjątkiem – PSL długo się trzymało jako partia masowa. Lewica stopniała, skurczyła się do niszowego zasięgu; liberałowie i ci następni – z założenia tworzyli partie salonowe, kuluarowe… Aż po te partie, które w windzie się mieszczą. I można! Być we czterech, a zebrać kilka milionów głosów i trząść Polską! Dzisiejsze partie to jakby związki zawodowe polityków, a zarazem jak firmy usługowe do wynajęcia na „rynku politycznym".

Zamknięta grupa, która działa pod sondaże.

– I która raz po raz musi sięgnąć do jakiejś oprawy symbolicznej i rytualnej. Wieńce złożyć, kiedy trzeba i komu trzeba. Ale i to w zaniku, „lepsze" są szumne konwencje – puste spektakle.

Albo awantura zrobiona w jakiejś sprawie.

– O! Postawić sprawę na ostrzu noża, walnąć pięścią w stół! Taki teatr jest potrzebny, zapewnia zastępczą rację bytu. Za tym kryje się czasem cynizm, a czasem infantylizm. Spójrzmy na niektórych polityków i niektóre polityczki. Opanują jakąś garść frazesów, wygłaszają stałe formułki jak zdarta płyta. Śmiano się, że pisowcy gadają przekazem dnia. A czym się różni strona przeciwna? Kogokolwiek o coś zapytasz, usłyszysz ten sam tekst. I to tak recytowany jak u dziecka wywołanego do tablicy.

Marketing czy struktury?

A co z lewicą? Upadek? Tego już nie da się odbudować?

– Gwoździem do trumny jest nie tylko elitarna alienacja, ale i wiadomy bilans zmiany pokoleniowej. Starzy odchodzą – jedni do krainy wiecznych łowów, drudzy oddają legitymacje. A ilu młodych – i jakich – ich zastępuje? Nawet młodzi o lewicowych poglądach nie głosują na lewicę.

O czym lewica mało mówi?

– O sprawiedliwości społecznej, o napięciu między interesem pracy najemnej i interesem przedsiębiorców, o prawach pracowniczych. A gdzie ma o tym mówić? Nie ma własnych mediów o znaczącym zasięgu. Pouczająca jest historia „Trybuny". Ileż razy padała, ileż wstawała. Była niepotrzebna? Czy może niewygodna? Niesterowna.

To pokazuje niechęć do dyskusji z sympatykami, z wyborcami. Przeświadczenie, że elektorat ma się słuchać, a my kontaktujemy się z nim za pomocą kampanii organizowanych przez profesjonalne firmy.

– Jest różnica między bazą społeczną a elektoratem. Elektorat to tylko zmienny, statystyczny zbiór potencjalnych i aktualnych wyborców, nic więcej. Tymczasem od momentu, gdy w SLD zaczęto mówić językiem liberałów, technokratów, już nie mówi się o ruchu społecznym, nie mówi się o bazie społecznej, nikt się nie zastanawia, czyje interesy reprezentujemy, kto czego od nas oczekuje, z kim musimy się liczyć… To wszystko zdmuchnięto. Wystarczy marketing! Zwolenników to nawet nie warto mieć, bo oni mają poglądy i zadają kłopotliwe pytania. Miewają pretensje, mogą nie zagłosować. Klientela to co innego. Politycy dają ludziom kiełbachę, ale tak dozują, by ludzie wiedzieli, że ciąg dalszy jedzenia zależy od tego, czy będą grzeczni. A dla pozostałych – marketing. Gadżety, popisy. Polityczny teatr – żądania stawiane jak ultimatum, wnioski o wotum nieufności. To łatwiejsze niż być na co dzień wśród ludzi, spotykać się z kołami partyjnymi, w klubie dyskusyjnym – ryzykując, że wysłucha się pretensji, nie oklasków. Łatwiejsze też, niż zapoznać się z opiniami naukowców, intelektualistów, poprosić ekspertów o radę, a nie o uzasadnienie tego, co już postanowione.

Śmiano się, że pisowcy gadają przekazem dnia. A czym się różni strona przeciwna? Kogokolwiek o coś zapytasz, usłyszysz ten sam tekst.

Przez cały dzień to samo

To fakt, profesorowie u polityków nie mają wysokich notowań.

– Jedyni, którzy jeszcze udają w tej nowej rzeczywistości, że bardzo szanują naukę, że arcykapłanem mądrości jest dr lub prof. dr hab. – to dziennikarze. I tutaj dopiero mamy komedię. Zaprasza się gościa do studia, aby odegrał z góry przewidzianą dla niego rolę, wygłosił tezy już oczywiste.

Dziennikarz z reguły wie, jakie poglądy ma zapraszana osoba, mniej więcej wie, co powie. Zaskoczenie

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fa2369afb7

rzadko się zdarza. To abecadło zawodu.

– A czy myśli o tym „profesor medialny”? Niejeden, gdy odbiera telefon, pąsowieje z rozkoszy. Jestem, pamiętają mnie, tydzień temu byłem w telewizji, teraz znowu, zamieniam się w słuch, zawsze gotów – jak pionier radziecki czy enerdowski, na zawołanie. A dziennikarz instruuje. Niby to przekazuje pytania, a tak naprawdę ustawia odpowiedź. Pan prof. dr hab. dostaje banalne pytanko, wygłasza banały. Jego wypowiedź jest przewidywalna. W TVN świetnie to widać. Cała prawda przez cały dzień, czyli – przez cały dzień o tym samym i tak samo. Zmieniają się gospodarze, zmieniają się goście, ale to nie ma znaczenia, która głowa wygłasza ten sam tekst. Wszystko pięknie przebiega zgodnie z wymogami medialności.

Dla mnie klasyką propagandy była TVP Info. Tam było to doprowadzone do perfekcji. Jakże często plugawej.

– Te przekazy dnia! Pisowcy to świetnie wyćwiczyli. Ale nie tylko. Opanowali sztukę niedopuszczania do głosu albo unieważniania własnym tokowaniem cudzych wypowiedzi. Oplątują rozmówców jak dziewczyny z call center wciskające klientowi kosmetyki albo jakieś oferty. Zanim jej przerwiesz, o ile przerwiesz, upłynie pięć-siedem minut. Poligonem tej metody jest np. raz po raz „Tak jest” w TVN, kiedy gość z PiS trzyma w garści swoją gadką gospodarza i adwersarzy.

To oczywiste – jak się nie ma nic do powiedzenia, jak trzeba bronić złej sprawy, jak nie idzie, to urządza się awanturę. Żeby zabrać czas, żeby zamotać, żeby nikt nie wiedział, o co chodzi.

– I co widzowie wtedy myślą? Eee tam, wszyscy oni diabła warci. I tutaj znowu widać makiawelizm pisowców. On przejawia się też inaczej. Demokraci zabiegają, żeby była w wyborach jak największa frekwencja, bo obywatel powinien być upodmiotowiony, świadomy itd. A co robiło PiS? Jemu zależało na mniejszej frekwencji. Bo ma swój żelazny elektorat. Choćby był mróz i grad – jego wyborcy pójdą głosować. A klasa średnia – pojedzie na majówkę. Druga makiaweliczna przewrotność: moglibyśmy oczekiwać, że każdemu politykowi zależy na tym, aby zawód polityka był szanowany. Żeby ludzie ufali politykom. Oczywiście nie wszystkim. Nie tym „zdrajcom”, złodziejom, oszustom itp. Ale nam – prawdziwym patriotom, przewodnikom. A w części PiS nawet ten schemat nie działa. Zawodowcy na pograniczu cynizmu zakładają, że kiedy słowo polityk będzie inwektywą, to lepiej.

Wystarczy być małpą medialną

Dlaczego?

– Bo inni nie będą się pchali do tego zawodu, do stanowisk. Ludziom trzeba obrzydzić to zajęcie. Takiego politykiera nie boli, że o politykach mówi się źle. On się nie załamie tym, że na wiecu ktoś mu krzyknie: „Złodzieju!”.

Jest taka scena w filmie „Kandydat” z Robertem Redfordem. Bohater jedzie limuzyną, ludzie wiwatują, on ma lekko uchylone okno, uśmiecha się, macha im w stylu Breżniewa i mówi, do środka, bo nie na zewnątrz: „Pozdrawiam was, drobnomieszczańskie jelenie”. Oto krótka charakterystyka polityka, który wie, jak się sprzedać, jak ludzi kupić. Który, tak jak nasz Rysio Czarnecki, na pewno nie schowa się ze wstydu przy tych wszystkich obciachach, rachunkach za wirtualne podróże kabrioletem w zimie. Nie. Bo w tej kulturze działa zasada: nieważne, jak o mnie mówią, byle ciągle mówili.

To sposób na życie polityczne?

– Wystarczy być małpą medialną. Gdy patrzę na polityków, często się zastanawiam, jak dużo ci ludzie mają czasu! Wydawałoby się, że poseł, a zwłaszcza poseł i minister zarazem, ma kupę roboty. On powinien z tego gabinetu, jeśli taki przejęty swoją pracą, wychodzić o północy.

A teraz rusza w Polskę, bo startuje do Parlamentu Europejskiego.

– I czym się zajmuje polityk, który „wszędzie jest potrzebny”? Ledwo zaczął, jeszcze nie skończył, a już zaczyna gdzieś indziej. On może nawet sobie tego nie uświadamia, z powodu zwykłej próżności, ale w ten sposób lekceważy swoje zadanie, swoje obowiązki, oczekiwania ludzi, którzy go wybrali. Nasuwa się pytanie, ile ten polityk ma czasu, że nie wychodzi z telewizora. Dopiero był w jednej stacji, teraz pędzi do drugiej, potem do trzeciej… Przez cały tydzień oświadcza, komentuje, tokuje, robi miny.

Taktyka skandalisty

Oni wszyscy prowadzą – jak u Gombrowicza – pojedynek na miny.

– Rezultat to dewaluacja osobistości publicznych. Inflacja autorytetów spowodowała, że już nikt nie jest autorytetem. Podobnie zaczyna być z celebrytami. W tłumie celebrytów nikt nie jest gwiazdorem, nikt się nie wyróżnia. Jest tylko licytacja, kto wyskoczy z czymś takim, że innych przebije. Taktyka skandalisty. Jak się robi karierę w Polsce? Trzeba zrobić awanturę, kogoś opluć, znieważyć! To samo, co zaśmieca i wyjaławia życie publiczne, dzieje się teraz w nauce. Nie to czyni cię zauważalnym, rozpoznawalnym uczonym, że napisałeś coś ciekawego. Że coś odkryłeś. To wszystko się nie liczy. Liczy się, za sprawą mistrza

Gdy patrzę na polityków, często się zastanawiam, jak dużo ci ludzie mają czasu!

Czy „przy władzy” są zwolennicy lewicy? Czy mają jakiś wpływ? Nie mają wpływu nawet na Czarzastego czy Biedronia.

eprasa.pl fa2369afb7

Gowina, kto ma więcej punktów. Nie liczy się treść publikacji, liczy się miejsce publikacji.

Rozwinął to mistrz Czarnek, który wymyślił miejsca specjalne.

– Sakromiejsca! To pokazuje, co się dzieje, gdy politycy, którzy nie umieją profesjonalnie się zająć własną robotą, jeszcze grzebią w nauce. Co było urokiem środowiska akademickiego? Różnorodność. Nawet w PRL było różnorodnie, różnica między uniwersytetami Jagiellońskim, Warszawskim i Adama Mickiewicza była wyraźna. To się czuło – w stylu działania, w atmosferze, w specjalnościach naukowych. Natomiast w tej chwili, za sprawą „konstytucji dla nauki" Gowina, wszystkie struktury, ale i wszystkie publikacje, tematy badań, programy nauczania są jak ze sztancy, to jest taśmociąg.

Pamiętamy te czasy, sprzed 30 lat, kiedy do polityki szli najlepsi. Niedługo to trwało, ale mimo wszystko. I stopniało.

– Reguły spektaklu premiują nie kompetencję, oryginalność programową, lecz kreacje marketingowe. Jeśli już cnót nie porównujemy, to zestawmy kwalifikacje, bystrość umysłu. Porównajmy format umysłowy Kwaśniewskiego z formatem Dudy. Prezydent i prezydent, a jaka różnica. Lata świetlne! Mówimy tutaj o inteligencji, umiejętności myślenia analitycznego, przewidywania, rozważania alternatyw.

Na tle nam współczesnych zatem Kaczyński i Tusk błyszczą. Jeden rozsnuwa groźby, zagrożenia, wzywa do kolejnego boju, drugi jest miły, empatycznie się uśmiecha.

– Polityka miłości! Obaj wiemy, na czym ona polega. To cały Tusk. I taki pozostanie w stylu działania, choć przytomnie nadąża za zmianami społecznymi. A Kaczyński cofa całą zbiorowość o kilkadziesiąt lat, zatruwa życie społeczne swoimi fobiami. Ale liberalna, choć dziś bardziej empatyczna polityka miłości, ciepłej wody w kranie, nie przezwycięża zjawisk marginalizacji, wykluczenia społecznego, kompleksów prowincjusza i „gołodupca".

Byt określa świadomość

Oni mają swoją melodię, swój zaśpiew. A lewica? Zrezygnowała z „nogi" społecznej, skupiła się na sprawach światopoglądowych. To był przypadek czy celowy ruch?

– Odpowiedziałbym jeszcze inaczej. Na pewno nie był to przypadek. Ale nie było to też działanie celowe, intencjonalne. Nie było tak, że ktoś z lewicowej góry chciał się pozbyć balastu zwanego socjalem; raczej nastąpiło przedwczesne upojenie jakoby powszechnym już dobrobytem i komfortem.

PiS to rozumie. Ono się o nich upomina, a przynajmniej tak mówi.

– Dopóki mogło – rozrzucało srebrniki. Oczywiście pisowcy są w błędzie, myśląc, że lud jest wdzięczny. Owszem, lud podarki przyjmuje, ale gdy przestają dawać, patrzy gdzie indziej. Stwierdzenie Sierakowskiego i Sadury o cynicznym wyborcy się potwierdza. Tylko że lewicowy inteligent w ogóle nad tym się nie zastanawia. On obraża się na lud – że albo jest taki ciemny, albo trywialny. Że się sprzedaje. Wszystko to z pozycji wyższości. A powinien rozumieć, że ci ludzie mają swój rozum.

Kierują się swoim interesem klasowym.

– Na swój praktyczny użytek jednak wiedzą, kto im podwyższa, a kto obniża płace, kto respektuje prawo do urlopu, do opieki nad dzieckiem itd. Politycy lewicowi jakby zapomnieli albo nie przemyśleli tego głębiej, że byt określa świadomość. A mamy lewicowców, którzy myślą, że poprawią ludziom życie przez ich uświadamianie w sferze górnolotnej.

W TVN cała prawda przez cały dzień, czyli – przez cały dzień o tym samym i tak samo. Nie ma znaczenia, która głowa wygłasza ten sam tekst.

Kto upomina się o ludzi dyskryminowanych na płaszczyźnie ekonomicznej, społecznej, a nie z powodu orientacji seksualnej?

I przeniesienie punktu ciężkości w stronę psychicznego komfortu ludzi sytych.

Więc co było?

– Mam inne wytłumaczenie: mówiliśmy o procesach oligarchizacji i profesjonalizacji. Jak długo może być „wrażliwy społecznie" (i to nie werbalnie) lewicowy poseł, który sam ma sześć mieszkań albo prowadzi firmę, jest pracodawcą? Jego status przesłania mu sytuację ludzi, którzy nie są przedsiębiorcami, ludzi zależnych od polityki społecznej państwa. Jedyna dyskryminacja, którą dzisiaj czują lewicowi politycy, to właśnie obyczajowa, seksualna, wyznaniowa itd. Pytanie jest więc proste: kto upomina się o ludzi dyskryminowanych na płaszczyźnie ekonomicznej, społecznej, a nie z powodu orientacji seksualnej?

Jak w tym nie oszaleć? W tym „monstrum nowoczesności i ponowoczesności"? Jak się przed tym bronić?

– Nie ma jednej recepty. Jest tylko busola. Żeby nie zwariować, nie popaść w depresję, trzeba mieć jakiś cel w życiu, jakąś elementarną satysfakcję życiową. W tym sensie receptą byłoby, aby nasz polski kapitalizm, i ten dookoła, nie poniżał ludzi. Jeśli nasza cywilizacja ma nie upaść – pisze o tym Tadeusz Klementewicz – trzeba zerwać z przymusem rywalizacji, z kulturą konsumpcji, z ideologią ciągłego wzrostu. Teraz mówię jak pięknoduch, ale ze świadomością, że właśnie to nam się uniemożliwia.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2369afb7

Dlaczego polska prawica kocha Trumpa?

Prezydent i obóz PiS wierzą, że republikanów da się kupić

Jakub Dymek

Czy ewentualny powrót Donalda Trumpa do Białego Domu przyniesie polityczne trzęsienie ziemi, na jakie świat nie jest gotowy? Tak zdają się uważać liberalne i demokratyczne elity polityki zagranicznej po obu stronach oceanu. Gdyby zaczepić losowo wybranego eksperta, analityczkę czy dyplomatę z Brukseli, Berlina, Warszawy lub Waszyngtonu, spore będzie prawdopodobieństwo, że przeklina Trumpa i życzy jego sztabowi wyborczemu samych niepowodzeń.

Co więcej, od kilku miesięcy karierę robi nowe słowo: Trump-proofing, czyli trumpoodporność. Publicyści i komentatorki na łamach pism czy w publikacjach rządowych think tanków przekonują, że w pierwszej kolejności powinna się zabezpieczyć Europa. I wymieniają dziedziny, w których będzie to konieczne: od energetyki, przez przemysł, traktaty klimatyczne i relacje z Chinami, po (rzecz jasna) obronność. Według informacji upublicznionych przez Henry'ego Foya na stronach „Financial Timesa" w ramach NATO pojawiła się inicjatywa, by wręcz zabrać Amerykanom decyzyjną rolę w koordynowaniu pomocy dla Ukrainy. Szeroko podzielane jest przekonanie, że administracja trumpistów zwyczajnie odda Ukrainę Putinowi. A Trump w kolejnej kadencji – podnoszą jego krytycy – zamiast zwalczać „międzynarodówkę autokratów", wróci do gospodarczego protekcjonizmu i rywalizacji na Pacyfiku. Zostawiając Europę samą sobie. Do tego dochodzą ostrzeżenia – choćby od szefowej programu europejskiego w amerykańskiej Brookings Institution, Constanze Stelzenmüller – przed narodowo-konserwatywnym i antyliberalnym zapleczem intelektualnym obozu trumpistów.

W publikacjach czuć atmosferę niepewności, strachu i dyskomfortu. Najdalej idzie być może fiński publicysta Pekka Virkki, pisząc na stronach CEPA (Center for European Policy Analysis), że zmniejszenie zaangażowania USA w Europie za drugiej kadencji Trumpa stanowi „egzystencjalne zagrożenie" i oznacza „prawdopodobną wojnę", która obejmie państwa tzw. wschodniej flanki. Jednak ten pogląd nie jest podzielany tak powszechnie, jak mogłoby się wydawać.

Jedną z odpowiedzi na pytanie o fascynację polskiej prawicy Trumpem jest ideowe i kulturowe pokrewieństwo „alt-prawicy" po obu stronach oceanu.

Co najmniej kilka partii prawicy w Europie wyłamuje się z szeregów antytrumpistów. Wśród nich oczywiście Prawo i Sprawiedliwość, a obóz prezydenta Andrzeja Dudy w szczególności. W USA de facto jest już dawno po prawyborach, a szanse na objęcie urzędu przez Trumpa są wciąż spore. I to w tej atmosferze prezydent RP poleciał do USA i Kanady spotkać się m.in. właśnie z Trumpem. To dobry moment, by zapytać, za co prawica kocha Donalda Trumpa i jak nastawia się na jego kolejną prezydenturę. Warto to zrozumieć, bo kalkulacje europejskich stolic są bardziej skomplikowane i ciekawsze, niż się sądzi.

Zainteresowanie USA za zakupy i kontrakty

„Polacy, idźmy z Trumpem!", nawołuje z okładki sprzyjający PiS tygodnik „Sieci". Na tejże okładce widzimy kolaż z sylwetką byłego prezydenta, utrzymany w stylistyce zimnowojennych plakatów propagandowych – Trump bojowo patrzy przed siebie, a za nim smukłe kadłuby samolotów bojowych przecinają błękit nieba, zlewającego się z amerykańskim sztandarem. Dołem suną czołgi.

Hasło z okładki to zapowiedź wywiadu z europosłem PiS Ryszardem Czarneckim. „Z polskiego punktu widzenia byłoby lepiej, gdyby wygrał Donald Trump", stwierdza Czarnecki. Przekonuje, że Trump „jako prezydent prowadził politykę powstrzymywania Rosji, hamowania jej wpływów, zdecydowanie stanął za naszym regionem, a zwłaszcza za Polską. To wówczas na naszej ziemi pojawili się amerykańscy żołnierze, to on zażądał, by NATO wzięło się do roboty, zaczęło się zbroić. To ten prezydent co najmniej dwukrotnie wygłosił przepiękne, prawdziwe przemówienia o polskiej historii (...). Robienie dziś z Bidena antyputinowskiego jastrzębia, a z Trumpa przyjaciela

eprasa.pl fa2369afb7

Ważnym gestem prezydenta Andrzeja Dudy wobec Donalda Trumpa była wizyta w Trump Tower w Nowym Jorku, 17 kwietnia 2024 r.

Putina jest obrazą dla intelektu i ludzkiej pamięci".

O ile wiara w „piękne przemówienia o polskiej historii" stanowi propagandowy folklor, o tyle reszta tej rozmowy dość wiernie oddaje trzon myślenia PiS o Trumpie. W tym osób bardziej niż europoseł Czarnecki decyzyjnych.

Oczywiście prezydentowi RP nie wypada podobnie otwarcie wyrażać takich poglądów, ale warto wsłuchiwać się w to, co deklaruje w kolejnych wywiadach. Jak choćby w lutowej rozmowie w Pałacu Prezydenckim z Robertem Mazurkiem i Krzysztofem Stanowskim. „Ja poznałem Pana Prezydenta Donalda Trumpa. To jest specyficzny, bardzo twardy człowiek. (...) I wątpię w to, żeby był krainą łagodności dla Władimira Putina i jego imperialnych dążeń. Bo on ma imperialne dążenia. On (Donald Trump – przyp. JD) uważa, że Ameryka powinna być imperium", tłumaczy. I dodaje, że Polska powinna używać zamówień zbrojeniowych, kontraktów na gaz i relacji handlowych, by utrzymać zainteresowanie ekipy Trumpa naszym regionem. Warto zapamiętać ten argument, bo wróci on w tym tekście.

Oprócz słów są jeszcze gesty, z których najbardziej znaczący to niedawna wizyta prezydenta Dudy w Trump Tower. Polska dyplomacja szykuje się na ewentualność kolejnej kadencji Trumpa, a prezydent jako emisariusz Rzeczypospolitej do krainy MAGA znalazł dla siebie wymarzoną rolę.

Co ciekawe, tego nastawienia nie zmieniają słowa Trumpa o NATO. W tym słynny cytat, że „Rosja może zrobić, co chce, z państwami, które nie płacą za swoją obronność". Skonfrontowani z podobnymi wypowiedziami byłego amerykańskiego przywódcy liczący się politycy PiS potrafią zaprzeczać, niuansować albo mówić, że były „wyrwane z kontekstu", jak były szef MSZ Zbigniew Rau czy ekspremier Mateusz Morawiecki, który stwierdził, że „zamiast rozkładać w mniej lub bardziej udany sposób na czynniki pierwsze słowa Donalda Trumpa, lepiej zadbać o potencjał obronny Polski i NATO".

Zewsząd płyną więc głosy zdziwienia. Jak to możliwe, że zorientowani przede wszystkim na amerykańskie przywództwo i NATO politycy PiS tak bardzo liczą na kolejną kadencję prezydenta, który te pryncypia podważa?

Rosja – największe zagrożenie

Jedną z odpowiedzi na pytanie o fascynację polskiej prawicy Trumpem jest ideowe i kulturowe pokrewieństwo „alt-prawicy" po obu stronach oceanu. To zjawisko jak najbardziej realne – sam je opisywałem w książce „Nowi barbarzyńcy". Przecież zarówno intelektualiści i ideolodzy po stronie Trumpa – np. Stephen Bannon czy Michael Anton – jak i ci pisowscy w wielu dziedzinach przedstawiają zbieżne diagnozy. Łączy ich niechętny stosunek do instytucji międzynarodowych i UE czy porozumień klimatycznych. Są jednomyślni w sprawie migracji. Sprzeciwiają się (choć głównie retorycznie) dyktatowi wielkich korporacji i globalnych elit. W programach gospodarczych

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl fa2369afb7

próbują wysunąć na pierwszy plan wsparcie dla rodzimego przemysłu i krytykę nieskrępowanej globalizacji.

Do dziś niespełnionym marzeniem części prawicowych myślicieli i doktrynerów jest antyliberalna międzynarodówka. W jej ramach polityków z krajów tak różnych jak USA i Węgry, Kanada i Portugalia, Polska i Francja miałyby łączyć podobny język narodowego konserwatyzmu, program ograniczenia globalizacji (i migracji) oraz wizja „cywilizacyjnego" sporu „judeo-chrześcijańskiego Zachodu" z islamem, chińskim komunizmem i liberalnymi normami w życiu publicznym. Nie da się zaprzeczyć, że u polityków takich jak Patryk Jaki, Dominik Tarczyński czy Przemysław Czarnek widać fascynację i zapożyczenia od liderów „alt-prawicy" na świecie. Polską prawicę i Trumpa osobiście łączy także szczególna pogarda wobec byłej kanclerz Angeli Merkel i uosabianego przez nią programu politycznego.

Mówiąc wulgarnie, to sojusz oparty na „wyciskaniu liberalnych łez". Jeśli bowiem coś naprawdę łączy Trumpa z Le Pen, Kaczyńskim, Orbánem, Erdoğanem i strongmanami w Ameryce Południowej, to fakt, że stanowią obrazę dla „politycznej poprawności" i doprowadzają do szału zawodowych promotorów demokracji. W tym sensie niektórzy członkowie administracji Trumpa, w rodzaju Stephena Millera, znajdują w Polsce nawet nie tyle naśladowców, ile klony.

Jednak z biegiem czasu – tj. od pojawienia się trumpizmu już prawie dekadę temu – ujawniają się rozbieżności. Politycy PiS będą Trumpa idealizować i zerkać z podziwem na sukcesy obozu Le Pen we Francji czy AfD w Niemczech, to prawda. Ale dla polskich prawicowców Rosja była i pozostanie wrogiem numer jeden, do czego nawet w obliczu rosyjskiej inwazji na Ukrainę nie zdołają przekonać Trumpa, Le Pen czy niemieckich, hiszpańskich albo brytyjskich antysystemowców. Nie chodzi wcale o to – w co wierzy duża część liberalnych mediów – że Trump jest „rosyjskim agentem". Dla nowej generacji republikanów, którą reprezentuje nowojorski miliarder, Rosja nawet w swoim najgorszym wcieleniu będzie tylko pomagierem Chin. A Le Pen czy liderzy francuskiej lub niemieckiej prawicy tym bardziej nie przedłożą żadnej „specjalnej relacji" z Polską nad wizje stabilnej relacji z Federacją Rosyjską.

Pozór kulturowej bliskości z trumpistami czy globalną alt-prawicą nie unieważnia też innych sprzeczności. Nawet na tle Trumpa i wielu innych przywódców zachodniej alternatywnej prawicy PiS z lat 2015-2023 było w swojej kulturowej kontrrewolucji chyba najbardziej radykalne. Dość powiedzieć, że amerykańska ambasador wywieszała przed placówką w Warszawie tęczową flagę, a Marine Le Pen podkreślała, że jej wiara religijna jest „prywatną sprawą".

Dla prawicowców w Polsce Rosja była i będzie wrogiem numer jeden, ale nawet w obliczu rosyjskiej inwazji na Ukrainę nie zdołają do tego przekonać Trumpa i Le Pen.

Trump jako bat na Niemców, Francuzów i resztę Unii

Może więc jest inny, bardziej strategiczny powód, dla którego przedstawiciele PiS wierzą, że Trump jest dobry dla Polski? Jeśli tak, co mogłoby nim być? Uważam, że to pomimo wszystkich wypowiedzi i zarzutów o prorosyjskość kwestie bezpieczeństwa. Gdy bowiem politycy polskiej prawicy mówią, że o dorobku byłego prezydenta USA świadczą „czyny, nie słowa", to… nie mijają się do końca z prawdą.

Przypomnijmy: politycy PiS szczególnie mocno podkreślają zawód polityką resetu z Rosją. Wygodnie dla nich akurat w czasach, gdy ów reset miał być realizowany, Polską rządzili ich przeciwnicy, a w Białym Domu urzędował Barack Obama. Także za Obamy obowiązywało, jak niektórzy to nazywają, „nieme embargo" na dostawy broni do Ukrainy. Na tym tle Donald Trump, który nakładał sankcje na Nord Stream, domagał się podniesienia nakładów na zbrojenia w NATO i w końcu odblokował sprzedaż broni dla Kijowa, może się jawić jako antyrosyjski jastrząb.

Politycy PiS myślą (i nawet coraz bardziej otwarcie mówią): „Trump jest, jaki jest, ale broń sprzedaje szczodrze". Co więcej, w ich optyce administracja Bidena i tak nie pomaga Ukrainie wystarczająco, boi się czerwonych linii, które sobie nakreśliła. Gdy zatem pojawia się koronny argument, że „Trump odda Ukrainę Putinowi", prawicowi zwolennicy Trumpa mogą odpowiedzieć, że Biden wcale nie jest lepszy. A Kongresem de facto i tak już trzęsą republikanie.

„Zależy nam, żeby Trump podkreślał znaczenie art. 5 NATO, zwiększał obecność wojskową USA w Polsce i sprzedawał nam broń. Łączy nas sceptyczny stosunek do Niemiec i wola, by państwa NATO wydawały jak najwięcej na wojsko", tłumaczył niedawno Zbigniewowi Parafianowiczowi na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" człowiek z obozu prezydenta Dudy. Tu dochodzimy do kolejnego, może jeszcze ważniejszego aspektu. Jeśli bowiem jest coś, na co z całych sił liczą kibicujący w Polsce Trumpowi politycy, zawiera się to w tej odpowiedzi anonimowego urzędnika. Pisowcy uważają, że Trump skuteczniej niż ktokolwiek – być może nawet przez ograniczenie obecności w Europie – wymusi na państwach Zachodu to, czego Polska sama nigdy wymusić nie zdoła. Czyli zwiększenie wydatków na zbrojenia i przebudowę ich armii w celu odstraszania Rosji. W fantazjach i oczekiwaniach polityków PiS i prezydenta Dudy Trump jest batem na Niemców, Francuzów i całą resztę UE. Batem, który pogania ich rzecz jasna w kierunku większych zbrojeń i porzucenia „ideologicznych szaleństw" w rodzaju Zielonego Ładu.

Prof. Jakub Grygiel, który pracował dla amerykańskiej administracji za kadencji Trumpa, też z tego powodu wzywa, by Polacy nie bali się Trumpa, i deklaruje, że „odcięcia się od Europy nie będzie". Być może, sugeruje nawet, właśnie druga

eprasa.pl fa2369afb7

kadencja Trumpa przyniosłaby spełnienie największych marzeń polskiej prawicy, czyli przeniesienie trzonu obecności wojskowej USA z Niemiec na wschodnią flankę. Trudno oceniać z perspektywy trwającej kampanii wyborczej podobne scenariusze, ale jest pewne, że obóz PiS i prezydent Andrzej Duda w nie wierzą. Inaczej: ich poparcie dla Trumpa wynika z wiary, że nawet cień szansy na realizację tego planu i dowartościowanie wschodniej flanki jest lepszy niż „nie" Bidena.

Słowem, to, co zachodni komentatorzy postrzegają jako największe zagrożenie, czyli wycofanie się USA z Europy, nasza krajowa prawica widzi jako szansę. Jeśli bowiem rola USA w systemie konwencjonalnego bezpieczeństwa kontynentu będzie się zmniejszać, wzrośnie znaczenie tych, którzy w NATO wydają najwięcej na zbrojenia. Czyli Polski. „To my staniemy się liderem i to nam przypadnie przewodnia rola w obronie wschodniej flanki", myślą. Do tego przecież sprowadzają się powtarzane przez PiS, gdy było ono u władzy, slogany o „zmianie roli Polski w architekturze bezpieczeństwa".

Zostawieni na lodzie

Gdzie jednak kończy się marzenie, a zaczyna rzeczywistość? Tu należy wrócić do tej drugiej, bardziej nawet konkretnej części wypowiedzi prezydenta Dudy z cytowanego wywiadu z Mazurkiem i Stanowskim.

„Musimy pracować nad tym, żeby Pan Prezydent Donald Trump był przekonany, że [korzystne są] i obecność amerykańska, i nasza obecność po stronie amerykańskiej, i amerykańskie wpływy w tej części Europy, także gospodarcze – czy może przede wszystkim gospodarcze – (...) warto mieć relacje handlowe, że warto mieć tutaj firmy", tłumaczył prezydent. I dodawał jeszcze bardziej wprost, że „jesteśmy dużym krajem, który umożliwia operowanie w naszym regionie Europy; że tu, w tym regionie, jest 120 mln potencjalnych konsumentów, którzy mogą kupować amerykańskie towary, którzy mogą używać amerykańskiego gazu; i że nie warto nas oddawać pod wpływy Rosji i żebyśmy to wszystko mieli z Rosji". „Bo dla Ameryki – konkludował – będzie lepiej, jeżeli będziemy mieli to z Ameryki".

Czyli mamy nadzieję, że transakcyjnie nastawiona administracja republikanów i osobiście sam prezydent będą „do kupienia". Stąd wziął się przecież niegdyś „Fort Trump", jak również nasze deklaracje, że za obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce zapłacimy. Bo – co pokazują kolejne badania amerykańskiej opinii publicznej – Amerykanie uważają, że bezpieczeństwo Europy to dla USA i amerykańskiego podatnika tylko wydatek. Trzeba więc ich przekonać, że nie tylko nie płacą za europejskie bezpieczeństwo, ale w dodatku, dzięki takim klientom jak Polska, sami na nim zarabiają.

Nie jest to pomysł kompletnie nieracjonalny. Ale trzeba pamiętać o jednym: Donald Trump w swojej historii jako biznesmen, deweloper, celebryta i gwiazda telewizji zostawił wielu niedoszłych partnerów biznesowych na lodzie.

Jakub Dymek

W bieżącym numerze także:

Jarosław Urbański
Rolnicze przedwiośnie

Dariusz Zalega
Rewolucja u bram Górnego Śląska

Ewa Bińczyk
Ekologia rewolucyjna według Herberta Marcusego

Michał Pospiszyl
Góry, Haiti i ucieczka z historii uniwersalnej

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl fa2369afb7

Bałagan z nowymi maturami

Wyścig na najlepsze uczelnie i szkoły, które wszystko przerzucają na uczniów

Kornel Wawrzyniak

– Siedzę na ostatnim zebraniu w roku szkolnym. Syn za rok podchodzi do matury. Nauczycielka, która chwilę temu stwierdziła, że żarty się skończyły i wszyscy muszą się wziąć do pracy, z całą powagą oświadcza: „Proszę państwa, nie wiem nic. W przyszłym roku jest nowy arkusz, ale jeszcze go nie mamy, więc uczniowie nie mają na czym ćwiczyć. Z nową punktacją też nic nie wiadomo. Ale mogę obiecać, że będę sprawdzała stronę Centralnej Komisji Egzaminacyjnej i powiadomię was i dzieciaki, jak tylko pojawi się coś nowego". Tyle się dowiedziałam z zebrania dotyczącego nowych matur, które w roczniku 2025 będą inne niż do tej pory. Burdel. Ale szkoda mi w tym wszystkim dzieciaka. My, dorośli, wiemy, że ten „najważniejszy egzamin w życiu" wcale nie jest taki najważniejszy – opowiada Oliwia, matka Mateusza.

Jednooki w świecie ślepców

Rzeczywiście egzamin dojrzałości w 2025 r. ma być trudniejszy. Od 2023 r. uczniowie zdają maturę w nowej formule. Miało być ostro i wymagająco, ale z uwagi na naukę zdalną podczas pandemii szybko spuszczono z tonu. Złagodzono sposób oceniania maturzystów zarówno w zeszłym roku, jak i w obecnym. Można powiedzieć, że prawdziwa matura zacznie się dopiero za rok. Na razie wiadomo, że matura 2024/2025 będzie inaczej sprawdzana. I znowu robi się śmiesznie, ponieważ straszeni przez cały okres edukacji ponadpodstawowej uczniowie pod koniec roku szkolnego 2023/2024 dowiadują się, że np. polski nie będzie jeszcze taki trudny. – Czyli mamy przekichane, ale tak na 70% tego, co zamierzano nam zgotować – zastanawia się Damian, uczeń klasy matematyczno-fizycznej, który obawia się podstawy z polskiego.

Obecny rocznik maturzystów ma pisać jako ostatni maturę z taryfą ulgową. Za rok ma już nie być tak lekko, ale nie wiadomo, w czym konkretnie będzie trudniej. Uczniowie gubią się w domysłach. Wszyscy ich straszą. Weźmy maturę z języka polskiego. Pierwotny scenariusz zakładał, że od przyszłego roku do zdobycia będzie maksymalnie 70 pkt, czyli 10 więcej niż w latach ubiegłych. Tymczasem CKE poinformowała ostatnio, że punktów ma być 60. Nauczyciele twierdzą, że mimo tej samej liczby punktów matura i tak będzie trudniejsza.

> Obecny rocznik maturzystów jako ostatni ma pisać maturę z taryfą ulgową.

Od lat borykamy się jednak z innym problemem. Szkoły średnie, tak samo jak wszystko w naszym systemie edukacji, uczą pod klucz. Przypomnijmy, że swego czasu Wisława Szymborska nie zaliczyła rozprawki maturalnej, pisząc wypracowanie o własnym wierszu. Jak więc w takim systemie przygotować się do nowej matury? Rocznik maturzystów 2025 może też czuć pewną niesprawiedliwość. – Podobno to będzie maturalny Everest. Pokazówka. Ale tylko na ten rok, bo następny rocznik będzie już pisał maturę z odchudzonej podstawy programowej – mówi sfrustrowany Damian.

Klucz do prestiżowych studiów

Tymczasem matura jest przepustką na najlepsze uniwersytety w kraju. Lata temu na większości kierunków zrezygnowano z egzaminów, decydują wyniki egzaminów maturalnych z określonych przedmiotów. Zwyczaju egzaminów nie porzuciły natomiast zagraniczne uczelnie. Najczęściej zdaje się tam osobny egzamin, na długo przed polskimi maturami. – Syn zdawał na zagraniczną uczelnię. Miał egzamin w marcu, dwa miesiące przed naszymi maturami. Dostał się i dowiedział się o tym bardzo szybko. Nie powiem, że czekał na maturę ze spokojem, bo jednak trzeba ją jakoś zdać. Miał jednak świadomość, że idzie na studia – opowiada jeden z rodziców. Dlatego matura dla wielu osób, które chcą studiować poza granicami Polski, jest często formalnością. W osobnej kategorii mieszczą się laureaci olimpiad, którzy i tak dostaną się tam, gdzie zapragną. Ale nawet oni muszą zdać maturę mimo zapewnionego indeksu.

Od lat polscy licealiści funkcjonują w błędnym kole „najlepszości". Trzeba dostać się do najlepszego liceum, aby dostać się na najlepsze studia. Problem w tym, że większość topowych liceów, które przy rekrutacji chwalą się najlepszymi wynikami z matur i najmądrzejszymi uczniami, przerzuca ciężar nauki na dzieciaki. Retoryka, która ma ten proceder przykrywać, jest typową „korporetoryką" sukcesu – skoro ci nie idzie, to znaczy, że nie jesteś dość dobry na tę szkołę. Część ogólniaków zamiast uczyć, jedynie straszy uczniów, że spaprzą sobie przyszłość, jeśli nie będą mieć najlepszych ocen. Są też sposoby zniechęcania uczniów z kiepskimi ocenami, tak by sami odeszli. Rozwiązanie jest jedno. Rodzice muszą mieć kasę na korki. I oto paradoks: za naukę w państwowej placówce płaci się grube tysiące.

– Córka chodzi do klasy w jednym z najlepszych liceów w mieście. Nie powiem gdzie, bo nauczyciel się zemści na moim dziecku. Jest z tego znany. W skrócie: matematyk od

eprasa.pl fa2369afb7

rozszerzenia jest po prostu beznadziejnym pedagogiem. Wchodzi do klasy i bez słowa zapisuje na tablicy zadania. Sprawdziany i klasówki są z innego materiału niż prezentowany na lekcji. Część uczniów z klasy córki, jakieś 10 osób, rok przed maturą postanowiła zmienić szkołę. Kogo stać, ucieka do prywatnych liceów lub do chmury, czyli nauczania online. Oczywiście połowa klasy chodzi na korepetycje z matmy. Sam wydaję na korki 300 zł tygodniowo – opowiada Tomasz, ojciec Miry.

Rodzice z klasy Miry próbowali interweniować w sprawie matematyka, ale dyrekcja rozegrała ich w mistrzowskim stylu. – Co zaproponowała dyrekcja, kiedy zgłosiliśmy problem z nauczycielem? Okazało się, że sama ma powody, żeby go zwolnić. Dwie osoby trafiły na terapię, bo nie wytrzymują stresu związanego z matmą. W domu i na korkach wszystko wychodzi. Na lekcji lecą jedynki. Niestety, ta sama dyrektorka nastraszyła rodziców, że w razie zwolnienia matematyka może nie znaleźć się inny nauczyciel na jego miejsce i dopiero będzie problem. Czyj problem? Szkoły czy rodziców? Niestety, większość łyknęła tę bajkę i odpuściła temat. Zdaje się, że słynna roszczeniowość rodziców kończy się w dobrym liceum. Ludzie stają się potulni jak baranki – kwituje Tomasz.

Zamieszanie – mało powiedziane!

Wycieki tematów maturalnych stały się wręcz nową tradycją. Dało się to nawet zaobserwować w narzędziu do monitorowania ilości wyszukiwań w sieci – Google Trends. W 2023 r. do sieci wyciekły tematy wypracowań w trakcie egzaminów. Nie obyło się też bez wycieków na egzaminie z matematyki. Rok wcześniej wyciekły zadania z rozszerzonego angielskiego. Portal Bryk.pl zauważył zaś 18 kwietnia, że ze strony Centralnej Komisji Egzaminacyjnej można pobrać arkusze maturalne datowane na 11 maja 2024 r. Po pobraniu ze strony CKE folderu z przykładowymi arkuszami egzaminacyjnymi do części ustnej z języka polskiego okazuje się, że w jednym z plików mogły się znaleźć oficjalne arkusze. Wskazuje na to data 11 maja 2024 r. na części arkuszy.

Wycieki tematów maturalnych stały się wręcz nową tradycją.

Problem leży jednak zupełnie gdzie indziej, o czym wspomina w mediach społecznościowych nauczyciel Paweł Lęcki: „Nie jestem w stanie w tym dłużej uczestniczyć – to jest oszustwo, które trwa od wielu, wielu lat. Matura z języka polskiego w ogóle jest jednym wielkim oszustwem, na wielu różnych płaszczyznach (...). Mógłbym opowiadać o błędach CKE, część nawet opisywały media, mógłbym mówić, jak traktuje się słynną kategorię błędu kardynalnego, jak w trakcie sprawdzania zmieniają się wytyczne, jak pompuje się wynik podstawy, jak tnie się rozszerzenie, jak dyskutuje się z tzw. ekspertami, jak duże potrafią być różnice w punktacji między egzaminatorami, jak fatalny jest system sprawdzania, gdy ponownie weryfikuje się 10% prac na komisję (poza niezdanymi na podstawie), mógłbym, ale po co? Dla obecnej władzy eksperci z CKE, tacy jak wieczny Marcin Smolik i Wioletta Kozak, która wcześniej pogrubiała podstawę programową dla Anny Zalewskiej, a teraz odchudza ją dla Barbary Nowackiej, są najlepsi z najlepszych”.

Uznaniowe traktowanie punktacji, o którym wspomina Lęcki, przywodzi na myśl ubiegłoroczny skandal z wynikami matur z rozszerzonego polskiego w jednym z najlepszych warszawskich liceów. Nieprzyjemną przygodę z CKE opisuje w sieci zeszłoroczna maturzystka, dziś studentka prawa. „Podczas mojej matury trzy czwarte klasy trafiło do jednego (jak widać bardzo wymagającego) egzaminatora – wiemy to po kodach egzaminatorów. Trzy czwarte klasy miało wyniki po 30-50%, a pozostali wyniki takie jak na egzaminach próbnych, czyli w granicach 80-100%. Niektórym udało się odwołać i z 30-40% dostawali nagle 85-95%. Była to kpina, powiedzieli nam to nieoficjalnie sami pracownicy kuratorium, ale oficjalnie mimo interwencji nie zostało to załatwione”.

Jak w takim bałaganie mają się odnaleźć młodzi ludzie, którzy dopiero wkraczają w dorosłość? Czy kształcenie musi być okupione dziwaczną walką z systemem, która jest jedynie zbędnym dodatkiem do i tak stresującego egzaminu maturalnego? Cały ten klimat sprawia, że przestają się liczyć wiedza i nauka, a jedynym celem stają się wyniki. To fatalne przygotowanie maturzystów do kolejnego etapu edukacji. Wszak uniwersytet znany jest z pojęcia wolności, która przede wszystkim dotyczy myśli.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ANNA KACZMARZ/POLSKA PRESS

eprasa.pl fa2369afb7

Niewydolni i nieskuteczni

Prokuratorzy IPN tropią zbrodniarzy i szukają świadków zbrodni, którzy już dawno nie żyją

Andrzej Sikorski

W strukturze Instytutu Pamięci Narodowej działa pion śledczy zatrudniający 76 prokuratorów (według stanu na koniec 2022 r.). Zakładając, że w jednej prokuraturze rejonowej w mieście powiatowym pracuje 10 prokuratorów, to tymi z IPN można by obsadzić ponad siedem prokuratur. Warto dodać, że właśnie prokuratorzy liniowi na najniższych szczeblach prokuratury są szczególnie obłożeni pracą, zajmując się ściganiem najbardziej uciążliwych dla społeczeństwa przestępców, czyli dopuszczających się rozbojów, złodziei i chuliganów.

Zgodnie z ustawą Prawo o prokuraturze prokuratura wykonuje zadania w zakresie ścigania przestępstw oraz stoi na straży praworządności. Prokurator jest zaś organem władzy państwowej, którego zadaniem jest wykrywanie i ściganie przestępstw oraz wnoszenie i popieranie aktu oskarżenia przed sądem. Nie dotyczy to prokuratorów IPN, którzy, prowadząc śledztwa, z góry wiedzą, że nie postawią przestępców przed sądem.

Szukanie wiatru w polu

W 2020 r. prokuratorzy IPN z Poznania wszczęli śledztwo „w sprawie pozbawienia wolności w 1947 r. w Berlinie żołnierza Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii Jana B. przez funkcjonariuszy polskiego wywiadu wojskowego". Jak łatwo policzyć, śledztwo zostało wszczęte 73 lata po popełnieniu przestępstwa. Zakładając, że funkcjonariusze polskiego wywiadu wojskowego w tamtej chwili mieli po 17 lat (co raczej jest mało prawdopodobne), to w dniu wszczęcia śledztwa powinni mieć lat 90. Pomimo tego prokuratorzy zakasali rękawy i wzięli się pracy. Udało im się nawet ustalić sprawców (pisownia oryginalna): „obywatela niemieckiego będącego współpracownikiem polskiego wywiadu – Gehrarda B., funkcjonariuszy wywiadu – Zygmunta S. i Oskara R. oraz będącego rezydentem MBP w Berlinie zastępcy Attache Wojskowego Józefa Wargin-Słomińskiego posługującego się w Berlinie paszportem dyplomatycznym na nazwisko Wysocki". Co z tego, skoro śledztwo trzeba było umorzyć z powodu ich śmierci.

Ci sami prokuratorzy z Poznania wszczęli śledztwo w „w sprawie bezzasadnego skazania Bolesława K., Hieronima K., Stanisława R., Kazimierza K. i Marii N. na kary więzienia wyrokiem Sondergericht Posen z dnia 11 sierpnia 1941 r.".

Sondergerichte, czyli sądy specjalne, były wykorzystywane w III Rzeszy i w okupowanej Polsce do likwidacji przeciwników politycznych oraz prześladowań na tle narodowościowym. Często orzekały karę śmierci. Skazani Polacy prowadzili tajną drukarnię prasy podziemnej oraz niemieckich dokumentów: dowodów osobistych i przepustek, dzięki którym członkowie podziemia mogli się przemieszczać do Generalnego Gubernatorstwa oraz na terenie Rzeszy. Na skutek rozpracowania przez gestapo Bolesław K. i jego pracownicy zostali aresztowani. Ponieważ władzom niemieckim nie udało się ustalić ich powiązań z polskim podziemiem,

eprasa.pl fa2369afb7

niemiecki sąd skazał ich na kary ciężkiego więzienia za „świadome i zuchwałe fałszowanie dokumentów, czym zagrożone zostały niemieckie interesy”. Większość skazanych osób zmarła w obozach koncentracyjnych lub więzieniach. 82 lata od wydania wyroku na Polaków nie żyli też niemieccy funkcjonariusze państwa nazistowskiego – sędziowie i prokurator. W tej sytuacji nie pozostało nic innego jak umorzyć śledztwo.

Sprawcy niewykryci i nieustaleni

Poznańscy IPN-owcy prowadzili też śledztwo w sprawie „zbrodni zabójstwa Polaka Józefa W., poprzez zastrzelenie w dniu 13 września 1939 r. w miejscowości Stanisławowo przez niemieckich funkcjonariuszy III Rzeszy”. Józef W. wraz z rodziną mieszkał w Grzybowie niedaleko Wrześni. Gdy po wybuchu wojny armia niemiecka wkroczyła do Grzybowa, żołnierze Wehrmachtu przeprowadzili rewizję w domu Józefa W. w poszukiwaniu broni. Niczego nie znaleźli, ale następnego dnia niemieccy żołdacy pojawili się ponownie i bez podania powodu zabrali go ze sobą. Jeszcze tego samego dnia w sąsiedniej miejscowości Stanisławowo Józef W. został rozstrzelany na polu niemieckiego gospodarza. Jak poinformowali śledczy IPN, „w prowadzonej sprawie przeprowadzono czynności procesowe, które jednakże nie doprowadziły do określenia tożsamości, ujęcia i pociągnięcia do odpowiedzialności karnej sprawców zbrodni zabójstwa pokrzywdzonego Józefa W.” i „zostały również wyczerpane wszystkie możliwości dowodowe”. Śledztwo zostało umorzone „wobec niewykrycia sprawców przestępstwa”.

Prokuratorzy IPN z Białegostoku prowadzili zakrojone na szeroką skalę śledztwo „w sprawie zabójstw kilkuset osób cywilnych i wojskowych obrońców Grodna, przez członków Sowieckich Sił Zbrojnych, funkcjonariuszy NKWD oraz dywersantów od dnia 22.09.1939 r.”.

Gdy we wrześniu 1939 r. wojska radzieckie wkroczyły do polskiego Grodna, rozpoczęto akcję likwidowania osób, które brały udział w obronie miasta. Dokonywano rozstrzeliwań, głównie na tzw. Psiej bądź Myśliwskiej Górce, gdzie m.in. zabito kilkunastu uczniów broniących Domu Strzelca. Koło Poniemunia rozstrzelano podchorążych, w sumie ok. 300 wojskowych i cywilnych obrońców Grodna.

Prokuratorzy IPN wykonali tytaniczną pracę. Przeszukali polskie i zagraniczne archiwa. Ustalili nazwiska radzieckich prokuratorów i sędziów, którzy brali udział w oskarżeniu i skazaniu na śmierć obywateli polskich. Jednak zarówno władze Rosji, jak i Białorusi odmówiły dostarczenia szczegółowych informacji o wskazanych osobach. Śledztwo zostało umorzone „wobec braku możliwości podjęcia działań zmierzających do pociągnięcia wskazanych (…) funkcjonariuszy radzieckiego państwa do odpowiedzialności karnej”. Jednak polscy prokuratorzy nie dają za wygraną. Jak poinformowano, „pomimo umorzenia postępowania przygotowawczego śledztwo zostanie następnie niezwłocznie podjęte, w przypadku uzyskania danych dotyczących sprawców tych czynów”. Cóż, nawet gdyby jakimś cudem udało się prokuraturze zdobyć te dane, i tak śledztwo zostanie umorzone, bo sprawcy od wielu lat nie żyją.

Takich śledztw (nazistowskich i komunistycznych), w których nigdy nie uda się postawić sprawców zbrodni przed sądem, prokuratura IPN prowadzi (lub prowadziła) setki. To m.in. śledztwo w sprawie zbrodni dokonanych w latach 1941-1944 na więźniach niemieckiego obozu pracy przymusowej Treblinka I, śledztwo w sprawie zbrodni dokonanych w latach 1940-1945 na więźniach niemieckiego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, śledztwo w sprawie ofiar niemieckiej eksterminacji ludności polskiej z okolic Działdowa czy śledztwo w sprawie zbrodni katyńskiej.

W 2022 r. prokuratorzy IPN skierowali do sądów ledwie dziewięć aktów oskarżenia. Objętych nimi było 15 osób. Postanowieniami o umorzeniu śledztwa zakończono 1176 postępowań. Z uwagi na potwierdzoną śmierć sprawców zbrodni umorzono postępowania w odniesieniu do 2723 czynów, a z uwagi na niewykrycie sprawców – w odniesieniu do 2064 popełnionych czynów.

Przecież są historykami

O likwidacji pionu śledczego IPN mówi się od wielu lat. W 2003 r. taki postulat przedstawili senatorowie SLD. Sprzeciwił się temu prezydent Aleksander Kwaśniewski, który uznał propozycję za nie do końca przemyślaną, gdyż, jak twierdził, pion śledczy IPN działa zbyt krótko i potrzeba więcej czasu na zebranie doświadczeń, które stałyby się podstawą oceny jego pracy.

W 2012 r. prace pionu śledczego IPN skrytykował prokurator generalny Andrzej Seremet, który stwierdził, że wszyscy prokuratorzy IPN prowadzą tyle spraw rocznie, ile miesięcznie jeden prokurator prokuratury powszechnej. Prokurator generalny zaproponował, aby włączyć prokuratorów IPN do prokuratury powszechnej.

W 2014 r. Rada IPN, w której zasiadali m.in. dr Grzegorz Motyka, prof. Antoni Dudek, prof. Andrzej Friszke i prof. Andrzej Paczkowski, przyjęła uchwałę krytykującą działalność pionu śledczego IPN. Według członków rady „sposób oraz tempo realizacji polityki ścigania są niezadowalające i wywołują istotne zastrzeżenia”, a przy 99 prokuratorach w 2013 r. do sądów skierowano zaledwie 11 aktów oskarżenia, z czego jeden prokurator wysłał ich pięć. Jak wyliczono, jeden śledczy zajmował się średnio 29 sprawami przez cały rok. Tymczasem prokurator prokuratury rejonowej prowadzi 266 spraw rocznie. Członkowie rady zarzucili prokuratorom niekompetencję, gdyż „pojawiają się przypadki postanowień o umorzeniu postępowań, których treść wskazuje, iż prokuratorzy nie dysponowali odpowiednią wiedzą historyczną i nie korzystali w wystarczającym stopniu z pomocy historyków zatrudnionych w IPN”.

Prokuratorzy odpowiedzieli swoją uchwałą. Stwierdzili, że ocena ich pracy jest nierzetelna, tendencyjna i nie uwzględnia specyfiki ich śledztw, w których chodzi o ustalenie prawdy historycznej. Ale od tego przecież są historycy. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fa2369afb7

Gra o życie, gra o tlen, gra o tron

Listy partii do Parlamentu Europejskiego. Co za kompromitacja

Prezydent Aleksander Kwaśniewski głosuje w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Warszawa, 13 czerwca 2004 r.

Robert Walenciak

Europa, Europa... Już niedługo po brukselskich korytarzach będą dreptać Mariusz Kamiński razem z Maciejem Wąsikiem. Dwaj więźniowie polityczni prześladowani przez Tuska wyjadą na polityczne wczasy. Mieli walczyć o Sejm, trwać jako nieugięci – i już nie będą. Przechadzając się po europarlamencie, będą mogli skinąć głową Marcinowi Kierwińskiemu, temu, który na nich nasłał policję i zaciągnął do zakładu karnego. Ewentualnie Bartłomiejowi Sienkiewiczowi, jakby co – pułkownikowi. Temu, który kiedyś mówił, że idzie do Białegostoku, ale zmierza do Brukseli i Strasburga. Ciekawe bardzo, z kim teraz będzie prowadził długie rozmowy. Może z Jackiem Kurskim, o mediach publicznych? Bo przecież nie o Europie.

•

W polskim systemie partyjnym wyjazd do Parlamentu Europejskiego to najwyżej ceniona synekura. Określają ją zarobki (ok. 50 tys. zł miesięcznie, uwzględniając diety) i faktyczny brak obowiązków. Owszem, dla kogoś, kto chce być aktywny, pracy znajdzie się aż nadto. Ale ten tryb życia wybiera niewielu posłów z Polski. Zdecydowana większość obija się w Brukseli i Strasburgu, mając gwarancję wysoko opłacanego próżniaczego życia.

Oczywiste jest więc, że miejsca na listach do PE należą do szczególnie wartościowych, zwłaszcza te biorące. To najcenniejszy kruszec, który mają w swoich rękach liderzy partii. Tak wygląda rzeczywistość, z której wyciągają wnioski. Poza tym pozycja liderów partii zależy od wyników wyborczych. Te dowodzą ich skuteczności, no i ustawią scenę polityczną przed wyborami prezydenckimi, więc trzeba manewrować.

To jest ta gra: jednych o dobre życie, drugich o polityczny tlen.

PiS – gra o tlen

O tlen gra PiS. To wiemy choćby od Donalda Tuska, który po wyborach samorządowych beształ działaczy Platformy, że dali go pisowcom, że pozwolili odzyskać inicjatywę. Partia Kaczyńskiego musi więc co najmniej powtórzyć wynik z 7 kwietnia. Wtedy będzie na fali.

Ale sytuacja Kaczyńskiego jest bardziej skomplikowana, bo za pomocą euromandatów musi spłacić zobowiązania partyjne. Nie ma już do rozdysponowania ministerstw ani spółek skarbu państwa. Musiał więc tak ułożyć listy, by nagrodzić za wierną służbę, pokazać, że tylko on rozdaje w partii karty, ale nie odstraszyć wyborców. Jak to wszystko pogodzić? Wykreślił z list Ryszarda Legutkę i Zdzisława Krasnodębskiego. Chciał wykreślić Jacka Saryusza-Wolskiego, ale ostatecznie go przywrócił, ma on kandydować w okręgu lubelskim, gdzie jedynką będzie Mariusz Kamiński. Na listach jest też Maciej Wąsik – będzie dwójką na Mazowszu, za Adamem Bielanem.

Inne jedynki PiS to m.in. Daniel Obajtek (Podkarpackie), Jacek Kurski (Warmińsko-Mazurskie i Podlaskie), Anna Fotyga (Pomorskie), Kosma Złotowski (Kujawsko-Pomorskie), Małgorzata Gosiewska (Warszawa, na miejscu drugim PiS wystawiło Tobiasza Bocheńskiego), Witold Waszczykowski (Łódź), Wojciech Kolarski (Wielkopolska), Beata

eprasa.pl fa2369afb7

Szydło (Małopolskie i Świętokrzyskie), Jadwiga Wiśniewska (Śląskie, kolejne miejsca na śląskiej liście zajęli Patryk Jaki i Izabela Kloc), Anna Zalewska (Dolnośląskie i Opolskie) oraz Joachim Brudziński (Zachodniopomorskie i Lubuskie).

Oto logika Kaczyńskiego – partia nagradza zasłużonych, nie daje im zginąć. Obajtek i Kurski są tego przykładem.

Na marginesie dodajmy, że PiS, aby uniknąć oskarżeń o polexit, wymyśliło odpowiedź, że do innej Unii wchodziliśmy 20 lat temu, a inna jest teraz. Idzie więc do Unii, by ją zmienić. Czy to się sprzeda?

KO – gra o tron

To może się sprzedać, bo Tusk, jeśli chodzi o listy do Brukseli, jest w niemal identycznej sytuacji jak Kaczyński. Też musi je kleić z ludzi, którzy na Unii się znają, i tych, którym chce dać miękkie lądowanie. A to jest gorszące.

W Koalicji Obywatelskiej do Parlamentu Europejskiego kandydować ma trzech ministrów – minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz (będzie startował z Małopolski), minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński (z Warszawy) i minister aktywów państwowych Borys Budka (ze Śląska, w miejsce Jerzego Buzka). To nie są jacyś drugorzędni ministrowie, ale szefowie kluczowych resortów, wypełniający bardzo ważne zadania.

Sienkiewicz jeszcze dwa miesiące temu deklarował, że do Brukseli się nie wybiera. „Plotki o mojej śmierci na cmentarzysku politycznych słoni proszę sobie odpuścić", mówił „Newsweekowi". I proszę. Patrząc na jego paromiesięczny urobek, odnosi się wrażenie, że ten wyjazd to rejterada, bo pan minister zostawia po sobie rozgrzebane sprawy. Jego sztandarowym zadaniem miało być odebranie PiS mediów publicznych i przekształcenie ich w autentycznie publiczne. To mu się udało, ale najwyżej częściowo. O bałaganie w TVP krążą legendy, ustawa o mediach publicznych jest w proszku.

Największą sensacją list KO jest jednak obecność na nich Marcina Kierwińskiego, który w systemie władzy zajmował jedną z kluczowych pozycji. Kierował MSWiA, odpowiadał za pracę policji, Straży Granicznej, wojewodów. Poza tym był sekretarzem generalnym PO, czyli szefem partyjnych struktur. Jeżeli człowiek z taką władzą jest wysyłany do Brukseli, to znaczy, że szef nie jest zadowolony z jego pracy i chce się go pozbyć. Na miękko. Kierwiński zaliczył dwie potężne wpadki. Pierwsza – w MSWiA, gdzie miesiącami czekaliśmy na nowego komendanta głównego policji. Druga to wybory samorządowe, w których struktury PO spisały się dużo poniżej oczekiwań. Dorzućmy do tego kompromitację samorządowców z PO, którzy chwalili się dyplomami MBA Collegium Humanum. To patologia, takie struktury nie pomagają, tylko są obciążeniem.

By uniknąć oskarżeń o polexit, PiS wymyśliło odpowiedź, że do innej UE wchodziliśmy 20 lat temu, a inna jest teraz. Idzie więc do Unii, by ją zmienić.

Trzeci minister, który wyjeżdża do Brukseli, Borys Budka, również nie jedzie w nagrodę. To także kop w górę. Tusk musiał coś zrobić ze „swoim" człowiekiem w PO, byłym przewodniczącym partii, a teraz ministrem aktywów państwowych. Oczekiwano, że Budka wyczyści spółki skarbu państwa z pisowskich nominatów. A to się odbywa w tempie wyjątkowo powolnym.

Sienkiewicz, Kierwiński, Budka – ich kandydowanie jest podwójnie kompromitujące. Bo aż się prosi zapytać, jak traktowali swoje ministerstwa. Jako poczekalnię? Coś rozbabrali i teraz jadą za dobrze płatną pracą? A jeżeli za ich wyjazdem kryje się też wola Tuska, to znaczy, że jadą do Brukseli jako nieudaczni ministrowie, którzy nie spełnili nadziei. I tak źle, i tak niedobrze.

A co dopiero powiedzieć o Dariuszu Jońskim i Michale Szczerbie, kolejnych kandydatach KO do europarlamentu? W czasach PiS zdobyli dużą popularność jako tropiciele afer partii Kaczyńskiego. Teraz stanęli na czele komisji śledczych, ds. wyborów kopertowych i wizowej, mających ujawniać i demaskować. Sam Donald Tusk mówił o nich jako o kluczowych elementach rozliczenia tamtej władzy. Cóż więc się stało, że obaj znaleźli się na listach kandydatów do PE? Już nie chcą dociekać prawdy? Bo w to, że jadą do Brukseli, aby być bliżej Kamińskiego i Wąsika, trudno uwierzyć.

•

Jest jeszcze jedno wyjaśnienie tych dziwnych ruchów. Otóż Tusk wyciągnął wnioski z pierwszych miesięcy. Wie, że musi przyśpieszyć, bardziej zdecydowanie wziąć partię i rząd w swoje ręce i ukrócić stan rozmemłania. Dlatego pozbywa się trzech ministrów, którzy rozczarowali, i już 10 maja ma ogłosić rekonstrukcję rządu. Wskazać nowych ministrów (ci kandydujący muszą odejść) i zacząć twardo od nowa. Chce również iść do wyborów pod hasłem ratowania Polski w Unii, chce zmobilizować wyborców KO. Wie, że jeśli mu się to nie uda, atmosfera w partii zupełnie siądzie i wynik wyborów prezydenckich stanie pod znakiem zapytania. Gra więc o swoją pozycję w obozie władzy – jeszcze musi ją wzmocnić – i o pozycję w państwie. Gra o tron.

Lewica – gra o życie

Lewica z kolei gra o życie. Czy się uda? Chwali się, że jej ministrowie do PE nie kandydują. Ale sekretarze stanu – owszem. Kandydują m.in. wiceministrowie Krzysztof Śmiszek (Ministerstwo Sprawiedliwości, startuje z Wrocławia), Joanna Scheuring-Wielgus (Ministerstwo Kultury, kandydatka z Wielkopolskiego), Andrzej Szejna (MSZ, Małopolskie i Świętokrzyskie), a także Robert Biedroń (jedynka w Warszawie). O miejsca na listach szczególnie zaciekle walczyła też partia Razem. Było ostro – w mediach

FOT. PAP RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl fa2369afb7

społecznościowych aż kipiało od wzajemnych oskarżeń. Najwięcej dostało się Biedroniowi – że zależy mu tylko na wprowadzeniu do europarlamentu siebie, swojego partnera Krzysztofa Śmiszka i Joanny Scheuring-Wielgus, a reszta może tonąć.

Inni kandydaci lewicy to m.in. Anna Maria Żukowska (Mazowsze), Bożena Przyłuska (Podlasie), Maciej Konieczny (Śląsk), Marek Belka (Łódź) i Włodzimierz Cimoszewicz (Zachodniopomorskie i Lubuskie).

Patrząc na listę lewicy w eurowyborach, a zwłaszcza na to, jak powstawała, nie sposób nie odnieść wrażenia, że to wielka ewakuacja. Okazało się, że lewicowi politycy mają temperament i potrafią walczyć, ale głównie o miejsca na listach. Poza tym znów mogliśmy się przekonać, że ich kariera polityczna, te wszystkie gry, sprowadza się do szybkiej ścieżki Sejm-rząd-europarlament. Reszta jest gadaniem. Zwłaszcza gdy się widzi na listach parę Biedroń-Śmiszek. Wtedy wybory wyglądają raczej na partnerskie przedsięwzięcie. Ważniejsze niż lewica.

Politycy lewicy mają temperament i potrafią walczyć, ale głównie o miejsca na listach.

Trzecia Droga – gra o pozycję

Trzecia Droga, czyli koalicja Hołowni i PSL, znajduje się w sondażach na trzecim miejscu i bardzo chce tę pozycję utrzymać. Bo to warunek jej miejsca w polskiej polityce.

„Wszystkie ręce na pokład!", woła więc lider listy wielkopolskiej, minister rozwoju i technologii Krzysztof Hetman, który zresztą do października był europosłem. Ale startował w wyborach, został posłem do Sejmu, potem ministrem, i to ważnym, m.in. odpowiada za wprowadzanie programu „Mieszkanie na start". Trudno więc dobrze oceniać to miotanie się.

Podobnie jak kandydatury wiceministrów: Pawła Zalewskiego (MON, jedynka w Warmińsko-Mazurskiem i Podlaskiem), Michała Gramatyki (Ministerstwo Cyfryzacji, jedynka na Śląsku), Władysława Teofila Bartoszewskiego (MSZ), Stefana Krajewskiego (rolnictwo) oraz Bożeny Żelazowskiej (MKiDN, jedynka na Mazowszu). Oprócz nich do PE startują: wicemarszałek Senatu Michał Kamiński (jedynka w województwach zachodniopomorskim i lubuskim), senator Ryszard Bober (przewodzi liście w Kujawsko-Pomorskiem) oraz posłowie Jarosław Rzepa, Agnieszka Kłopotek i Zbigniew Sosnowski. Jedynki otrzymali także europosłowie Adam Jarubas (Małopolskie i Świętokrzyskie) oraz Róża Thun (Dolnośląskie i Opolskie). Z kolei wiceprzewodniczący Polski 2050 Michał Kobosko będzie otwierał listę w Warszawie.

Przedstawiając kandydatów, Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz tłumaczyli, że są to najważniejsze wybory europejskie od roku 1989 i potrzeba bezpiecznej Europy, dlatego wystawiają najsilniejszą reprezentację. Wyszło niezręcznie – z tych słów wynika, że „najsilniejsza reprezentacja", z wiceszefem MON w szeregach, zamierza przenieść się z Warszawy do Brukseli.

•

Podobny manewr, by pociągnąć listę, ogłoszono także w Konfederacji. Jej listę w Małopolsce otwiera poseł Nowej Nadziei Konrad Berkowicz. Ale miejsce numer dwa zajmie Grzegorz Braun. I to on ma być lokomotywą. Czy przeskoczy Berkowicza? Ze znanych postaci Konfy na listach możemy wymienić Przemysława Wiplera (Pomorze), Krystiana Kamińskiego (Warszawa), Annę Bryłkę (Wielkopolska), Dobromira Sośnierza (Śląsk, ostatnie miejsce) oraz Stanisława Tyszkę (Dolnośląskie i Opolskie).

Konfederacja wciąż jest największą zagadką w eurowyborach. Może mieć wynik słaby (ma słabe struktury), ale i bardzo dobry, bo to wybory skrojone pod nią. Ona jest najbardziej antyestablishmentowa, może grać na nutach antyeuropejskiej i antyukraińskiej. Owszem, to nie są dominujące w Polsce nastroje, ale te kilkanaście procent poparcia mogą dać. Jak więc będzie?

Gra o Europę

Chciałoby się napisać na koniec, że czerwcowe wybory to będzie przede wszystkim gra o Europę. O to, czy populiści zdobędą wystarczającą liczbę mandatów, by móc Unię Europejską paraliżować. Rzeczywiście, o to w Europie toczy się bój. O jej przyszłość i kształt.

Ale liderów polskich partii – i kandydatów na listach – obchodzi to raczej średnio. Owszem, agencje marketingowe, które zaraz ruszą do pracy, pewnie będą nam wtłaczać, że to wojna o Unię, że trzeba się bronić przed polexitem albo przed lewactwem. Tematów nie zabraknie.

Ale wszystko sprowadza się do jednego: i Tusk, i Kaczyński chcą wybory europejskie wygrać. Im specjalnie nie zależy na wpływach w Parlamencie Europejskim. Co tam się będzie działo, to dla nich sprawa drugorzędna. Im zależy na wrażeniu, jakie wynik wyborów wywrze na wyborcach i aparacie partyjnym. Bo to się przełoży na atmosferę polityczną, na to, kto będzie atakował, a kto się bronił.

Na razie broni się Platforma, której ministrowie rejterują z pola walki (takie jest wrażenie). I która obawia się, że zostanie utrzymana zła dla niej tendencja – że frekwencja w miastach, czyli tam, gdzie koalicja rządząca ma największe wpływy, będzie niższa niż na wsi. A listy wyborcze, które PO ułożyła, jej wyborców do pójścia do urn nie zachęcają. Chyba że przekona ich argument, że trzeba utrzeć nosa PiS. Czyli że to nie o Europę chodzi, ale o to, by odeprzeć Kaczyńskiego i jego ludzi. Bo inaczej się otrzepią i rzucą nam do gardła.

Oto gra, w którą wciągają nas partyjni liderzy. Wciągną?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2369afb7

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Podziel się pan głowicą

Głowę zaprząta mi ostatnio kwestia głowic, nie bójmy się tego słowa, nuklearnych. Pod tym enigmatycznym poniekąd pojęciem kryje się po prostu broń jądrowa. Tylko kilka krajów dysponuje arsenałem atomowym, wiemy które: USA, Rosja, Chiny, Francja, Wielka Brytania, Indie, Izrael (który udaje, że go nie posiada), Pakistan i Korea Północna. Powody historyczne, szpiegowskie, geopolityczne, materialne i pozostałe, które sprawiły, że to akurat te państwa, a nie inne chętne, pozostawmy na razie poza naszym zainteresowaniem. Przez wiele dekad owa tajemnicza „równowaga nuklearna" między USA i ZSRR utrzymywała świat w niepokojącej stabilności pokojowej lub choćby bezwojennej (nie licząc setek lokalnych konfliktów konwencjonalnych). Nieprzypadkowo „kryzys kubański" z 1962 r. był najradykalniejszym z momentów, kiedy ów balans jądrowych gróźb był najbardziej zagrożony. Stabilność geopolitycznego status quo ufundowana była na irracjonalnym strachu, że „tamci" mogą sięgnąć po atomówki, oraz na racjonalnym przekonaniu, że to gra bez zwycięzców, więc nie ma co jej rozpoczynać z jakiegokolwiek powodu.

Od jakiegoś czasu pojawia się w debacie politycznej przekonanie, że mamy sytuację bardziej niebezpieczną niż ta z 1962 r. Czyli oglądamy, wysłuchujemy wypowiedzi nieprzypadkowych politycznie przywódców lub ich egzegetów, że nasze przekonanie o trwale zamkniętych silosach i innych wyrzutniach rakiet z głowicami jądrowymi należy już do przeszłości. Nie wątpię, że od czasu zrzucenia przez USA bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki wypracowano dziesiątki scenariuszy zaistnienia jednak jakiegoś wariantu konfrontacji jądrowej. Nie znamy ich zasadniczo, choć z rzadka przemykały jakieś śladowe wersje. Żadna nie wyglądała dobrze, bo i wyglądać nie mogła. Jedynym pozytywnym scenariuszem (oprócz rzecz jasna całkowitego rozbrojenia i pozbycia się całego arsenału nuklearnego) pozostawał i w moim przekonaniu pozostaje ten, w którym żaden aktor/dysponent broni atomowej pod żadnym pozorem nie decyduje się na jej realne użycie. Kaskada konsekwencji skorzystania z pokusy jest nieprzewidywalna i nie wiadomo, czy zatrzymywalna.

Nie mogę się opędzić od myśli, że funkcjonujemy obecnie w czasie politycznie bardziej irracjonalnym, także poprzez to, jaki rodzaj nieprzewidywalnych i niekontrolowalnych polityków sprawuje realną władzę. Do grona udziałowców atomowych potęg i ich akolitów co jakiś czas aspirują nowi gracze. I tu odnajduję źródło moich niepokojów. Kiedy dość przypadkowo wybrany w Polsce prezydent Andrzej Duda, o nieznanych wcześniej kompetencjach wojskowo-wojenno-geopolitycznych, zaczyna odgrywać niezbyt do niego pasującą rolę – przymila się o obecność głowic jądrowych na terenie Polski – trudno mi uwierzyć, że ktoś, kto potrafił w niwecz obrócić jedyne swoje formalnie udokumentowane kompetencje, czyli wykształcenie prawnicze, nagle okaże się orłem polityki atomowego odstraszania w globalnej skali, bo każdy konflikt nuklearny musi się stać globalnym. Prezydent Andrzej Duda w rozmowie z redaktorem naczelnym dziennika „Fakt" stwierdził, że „Polska jest gotowa do przyjęcia amerykańskiej broni nuklearnej w ramach programu Nuclear Sharing". Jak wyżej zaznaczyłem, odczuwam wyraźny opór przed uznaniem, że umiejętności Dudy wykraczają poza standard co najwyżej przeciętnego posła polskiego parlamentu. Obie jego kadencje tylko utwierdzają mnie w tym przekonaniu.

Z trudem najwyższym przychodzi mi akceptacja sytuacji, w której opinia, chwilowy przebłysk, niesamodzielnego polityka, pełniącego funkcję państwową, która przekracza jego potencjał, mogłaby wpływać na fakt obecności broni jądrowej na terenie Polski. Sytuację taką odbieram jako zagrożenie dla mieszkańców naszego kraju, a nie gwarancję bezpieczeństwa. I jak jestem przekonany, że Polska obecnie nie jest i nie musi być celem agresji jakiegokolwiek państwa, tak żywię przekonanie, że w sytuacji, kiedy wyszeringowane głowice jądrowe stacjonowałyby na terenie RP, stalibyśmy się prawdziwym celem z tego właśnie powodu. Nie bardzo rozumiem, że w kwestii tak fundamentalnej nie odbywa się w Polsce żadna debata. Nikt jej nie proponuje, nikt nie rozpoczyna. Na tle tego milczenia głos Dudy dudni niezasłużenie donośniej.

W całej tej prowojennej histerii rozgrywającej się obecnie w polskich mediach, w wypowiedziach polityków licytowanie się na lepsze zabezpieczenie Polski nie ma ograniczeń. Ten dorzuci to, tamten tamto. Nas nikt nie pyta. Odpowiadam zatem niepytany: jestem przeciw! Całej polityce dozbrajania, gigantycznym wydatkom na zbrojenia, retoryce projądrowej (dotyczącej broni). Niestety, ewidentnie niespełnione powołanie aktorskie (mimiczne) Andrzeja Dudy grozi nam, że zostaniemy sceną niechcianego nieszczęścia. Jeszcze trzeba wytrzymać najbliższy rok. Potem niech gada, co chce, jeśli kto będzie chciał tego słuchać. Ja do tej grupy nie należę i nie będę należał. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2369afb7

Zamachu na Kuźnicę ciąg dalszy

Zadepczą nas turyści jednodniowi, a nasi wczasowicze, szukający ciszy i kontaktu z naturą, więcej nie przyjadą

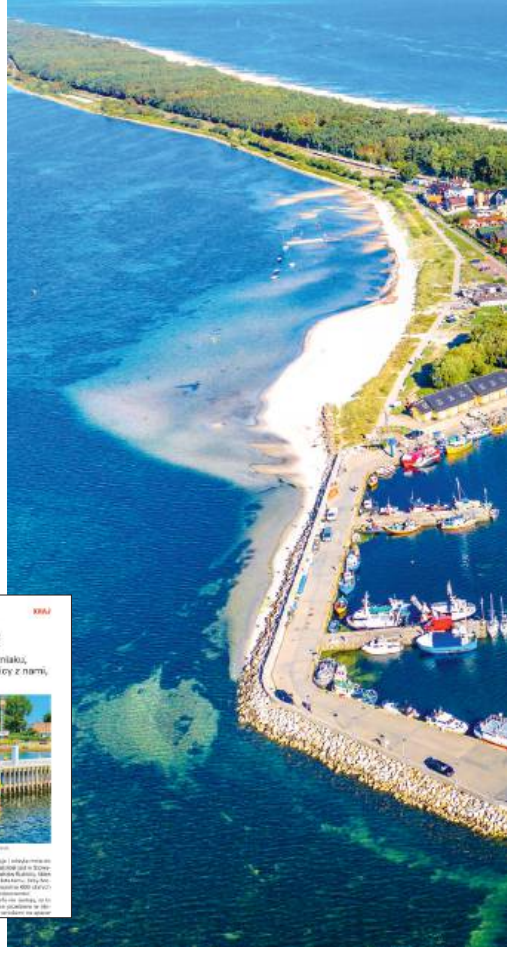

Helena Leman

Spotkanie 13 kwietnia w Kuźnicy dotyczące projektu poprawy przepustowości na linii kolejowej Reda-Hel jest burzliwe. Wypełniona po brzegi sala gimnastyczna starej szkoły aż huczy. Zebranie z mieszkańcami półwyspu zorganizował Zarząd Stowarzyszenia Miłośników Kuźnicy i zaprosił na nie przedstawicieli spółki PKP PLK z Warszawy, przedstawicieli samorządu i przyrodników. Organizacja od kilku lat nagłaśnia problem. Z jej członkami rozmawiałam rok temu, przygotowując tekst „Zamach na Kuźnicę" (PRZEGLĄD nr 15/2023). Dziś sprawa wraca jak bumerang.

– Zwiększenie liczby pociągów i nawiezienie do nas turystów jednodniowych to będzie koniec półwyspu, jaki znamy – podkreślają mieszkańcy. – Zadepczą nas, a nasi wczasowicze, szukający ciszy i kontaktu z naturą, więcej do Kuźnicy nie przyjadą. Z czego będziemy żyć? Ryb nie ma, tylko w tym roku kilkanaście łodzi trafi na zezłomowanie. W końcu dojdzie do tego, że my, mieszkający tu z dziada pradziada, będziemy musieli się wynieść, a nasze domy sprzedać za bezcen deweloperom.

Sześć pociągów na godzinę

Zebranie otwiera Bogna Konkel z zarządu stowarzyszenia. Następnie Tomasz Kowalski przedstawia zmiany w najnowszym wariancie projektu. Ostatecznie odstąpiono od dwutorowości w Kuźnicy, to efekt m.in. sprzeciwu 32 właścicieli działek graniczących z linią kolejową i pisma stowarzyszenia do RDOŚ. Nie będzie też przystanku kolejowego we wschodniej części miejscowości, na tzw. Syberii, a podstacja (trafostacja), najpierw planowana w lesie przy cmentarzu, w centrum wsi, została przeniesiona na jej koniec. Jednak ludzi obecnych na spotkaniu wcale to nie satysfakcjonuje ani nie uspokaja.

Gdy przedstawiciel PKP PLK mówi, że w sezonie od godz. 7 do 19 na trasie Reda-Hel pojadą 72 pociągi, trzy na godzinę w jedną i trzy w drugą stronę, wybucha burza. Mieszkańcy chcą wiedzieć, skąd ta zmiana. – Przecież w poprzednim wariancie było pięćdziesiąt kilka! – woła ktoś.

– Pan wie, że my się wyludniamy? Nic dziwnego, że młodzi stąd uciekają. Na takim wąskim skrawku liczącym zaledwie 34 km, z delikatnymi wydmami, ma być taki ruch! Tego się słuchać nie da – denerwuje się kobieta.

Gdy przedstawiciel PLK tłumaczy, że dojazd turystów pociągami z dużych miast musi zostać ucywilizowany, musi być systematyczny i przewidywalny, aby przyjezdni mogli się przemieszczać i zwiedzać okolicę, zebrani pytają: – A co z nami, my się nie liczymy?

Gdy argumentuje, że dzięki temu turyści przesiądą się z samochodów do pociągów i będą mniejsze korki (w sezonie przez rondo we Władysławowie przejeżdża dziennie ok. 17 tys. samochodów, a liczba ta będzie rosła), sala ripostuje, że zwiększenie przepustowości kolei nie daje żadnej gwarancji zmniejszenia korków. – Polacy kochają swoje samochody. Pociągami przyjadą goście jednodniowi z własnym prowiantem i zostawią nam góry śmieci. Robiliście jakieś badania? Może najpierw je zróbcie, zanim zniszczycie półwysep.

Mieszkańcy boją się też wycinek. Mają one objąć 9 ha na całym półwyspie, z tego 80% w gminie Jastarnia, do której należy Kuźnica. Gdy przedstawiciel kolei przekonuje, że wyciętych zostanie tylko dziewięć drzew, a reszta to poszycie roślinne, zgromadzeni wybuchają śmiechem: – To „poszycie" chroni nas przed sztormami i przerwaniem półwyspu.

eprasa.pl fa2369afb7

Podczas spotkania jak mantra przewija się wątek zniszczenia krajobrazu. W samej Kuźnicy ma stanąć 25 słupów podtrzymujących sieć trakcyjną, do tego ekrany akustyczne, bo pociągi elektryczne w przeciwieństwie do kursujących obecnie spalinowych są głośne. – To nie będzie las słupów, tylko dwadzieścia parę – przekonuje przedstawiciel kolei, dodając, że przecież na początku lat 90. stały tu drewniane słupy telefoniczne.

– Co to ma do rzeczy?! – denerwują się ludzie i powtarzają zdanie wyłowione z kolejowej dokumentacji: „Turysta stojący na plaży zwrócony twarzą do wody nie będzie widział słupów". Niby śmieszne, lecz pokazujące pewne myślenie.

– Czy zna pan termin „pojemność turystyczna"? – dopytuje się taksówkarz, który od 13 lat wozi wczasowiczów na półwysep. – To liczba turystów, która nie ma negatywnego wpływu na środowisko. Czy kolej robiła badania w tym kierunku? Gdy 20 lat temu studiowałem turystykę, już wtedy słyszałem od moich profesorów, że półwysep jest nasycony turystami. Czy chcemy ich więcej? Ja jestem w stanie poświęcić zyski dla świętego spokoju.

Kobieta z posesji przy torach mówi, że już teraz mieszka jak na dworcu, że jej płot się rozsypuje, a na podwórko leje się woda z położonego wyżej torowiska. Nie wie, jak to wytrzyma, jeśli pociągów będzie kilkadziesiąt. – Przecież ruch samochodowy nie zmaleje – dodaje zdenerwowana. – Jego huk będzie się odbijał od ekranów akustycznych, jakie ustawicie, a my będziemy w tym hałasie siedzieć, mając z jednej strony kolej, a z drugiej samochody. Jestem tylko prostym człowiekiem, dom w Kuźnicy to cały mój dorobek życia.

Ludzie niepokoją się i tym, że przy tylu pociągach zrobią się korki na przejazdach, utrudnione będzie dojście na plażę, nie dojedzie pogotowie, bo szlabany będą zamknięte.

Przedstawiciel kolei uspokaja, że wszystko jest dopiero na etapie studium i że projektu jeszcze nie ma, poza tym mieszkańcy Kuźnicy też zyskają, bo będą mieli dobry dojazd do Trójmiasta, a młodzież do szkół i na uczelnie. Mieszkańcy jednak nie dowierzają, bo jak ufać, gdy w aneksie do raportu są stare mapy z dwoma torami.

– Niech pan nie leje wody! – podnoszą się głosy z sali – przecież te 72 pociągi mają jeździć tylko w sezonie, gdy szkoły i uczelnie są zamknięte, a my pracujemy. Lepiej się przyznajcie, że dostaliście pieniądze z Unii i chcecie je szybko wydać.

Ptaki będą ginąć

Gdy kilka lat temu miłośnicy ptaków na Mierzei Wiślanej opowiadali mi, że jest taka ławeczka w Kuźnicy, gdzie wiosną ptaki „spadają wprost na głowę", specjalnie im nie wierzyłam. Na spotkaniu o tej ławeczce wspomina dr Jarosław Nowakowski z Uniwersytetu Gdańskiego, kierownik programu badawczego „Akcja Bałtycka". Mówi, że można na niej spotkać znanych ornitologów nie tylko z Polski, gdyż Kuźnica jest jednym z trzech najlepszych miejsc obserwacji ptaków w Europie. Naukowiec podkreśla, że planując inwestycję, trzeba wziąć pod uwagę wyjątkowość tego terenu, pewne dobro, którego nie powinniśmy zmarnować. Jego zdaniem przebadanie naukowe tematu jest niewystarczające, a ptaki będą ginąć, zderzając się z pociągami.

W sezonie w ciągu dnia na trasie Reda-Hel pojadą 72 pociągi.

W podobnym tonie wypowiada się obecny na spotkaniu kierownik Nadmorskiego Parku Krajobrazowego Bartosz Płóciennik. Już rok temu w opinii wysłanej do Pomorskiego Urzędu Marszałkowskiego pisał on, że należy odstąpić od planów elektryfikacji linii kolejowej na Półwyspie Helskim.

– Półwysep jest jednym z najważniejszych w Polsce korytarzy migracyjnych – argumentował – szczególnie istotnym w trakcie wędrówki wiosennej, włączonym do

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

eprasa.pl fa2369afb7

ogólnoświatowego programu Ostoi Ptaków IBA (Important Bird Area), którego celem jest ochrona miejsc najcenniejszych do zachowania ptaków i ich siedlisk na całym świecie. Wyniki badań prowadzonych przez „Akcję Bałtycką" wskazują, że każdej wiosny występuje tu bardzo liczne zgrupowanie ptaków migrujących, sięgające jednorazowo nawet kilkudziesięciu tysięcy osobników na kilometr kwadratowy, co oznacza jednoczesną obecność ok. 2 mln ptaków w okresie przelotu.

Kuźnica jest jednym z trzech najlepszych miejsc obserwacji ptaków w Europie.

Płóciennik wskazywał, że szczególnie narażony na negatywny wpływ elektryfikacji będzie fragment półwyspu pomiędzy Chałupami a Jastarnią. Na tym odcinku szerokość półwyspu mierzona od brzegu do brzegu wynosi miejscami zaledwie 160 m, a szerokość lasu przylegającego do istniejącego toru kolejowego 50 m, przy czym w rezerwacie Helskie Wydmy istniejący tor sąsiaduje bezpośrednio z nim.

Pod Kuźnicą w 2022 r. w Terenowej Stacji Badawczej „Akcji Bałtyckiej" zaobrączkowano 5096 ptaków z 56 gatunków. Cały Półwysep Helski podlega ochronie, gdyż znajduje się w obszarze Nadmorskiego Parku Krajobrazowego i w obszarze Natura 2000. Projekt elektryfikacji linii kolejowej jest niezgodny z Planem Ochrony Nadmorskiego Parku Krajobrazowego.

Sprzeczności

Linia kolejowa obsługująca półwysep przebiega przez trzy gminy: Władysławowo, Jastarnię i Hel. Najbardziej przeciwna jej elektryfikacji jest mała, zamieszkana przez ok. 600 osób Kuźnica w gminie Jastarnia. Nie wszyscy ich walkę popierają i rozumieją. Kuźniczanie nasłuchali się już od sąsiadów, że są zacofani i niedzisiejsi. Drobne animozje były tu zawsze, na półwyspie funkcjonuje nawet zabawne powiedzenie o turyście, którego przyciąga każda z miejscowości: „masa, kasa, klasa", mówi się tutaj. Kuźnica kojarzona jest z tym ostatnim. Mimo to przytyki bolą.

Obecny na spotkaniu Kamil Pach, zastępca burmistrza Władysławowa, pyta zebranych, co będzie, gdy zelektryfikowana zostanie linia tylko z Redy do Władysławowa, a dalej nie. – Co wtedy zrobicie? – docieka.

– Czy mieszka pan na Helu? – kontruje sala. – Co zostawimy naszym wnukom? Zadeptany półwysep? Niech pan lepiej przekonuje turystów z Jastrzębiej Góry i okolic, by przesiedli się na pociągi.

Wokół słychać uwagi, że Władysławowo się dusi, bo nabudowało za wiele, i to tam powstają korki przez złe rozwiązania komunikacyjne, potrzebny jest np. tunel pod przejazdem kolejowym. Kamil Pach przekonuje, że trwają prace nad zmianami.

Na spotkaniu są obecni również inni samorządowcy: burmistrz Jastarni Tyberiusz Narkowicz, starosta pucki Jarosław Białk oraz Jakub Pietruszewski, dyrektor Pomorskiego Biura Planowania Regionalnego.

My, mieszkający tu z dziada pradziada, będziemy musieli się wynieść, a nasze domy sprzedać za bezcen deweloperom.

Gdy ludzie pytają włodarza Jastarni o stanowisko, ten odpowiada krótko, że połączeń musi być więcej, ale trzeba wyeliminować zagrożenia. Rok temu zapytany przeze mnie podkreślał, że władze gminy są po stronie mieszkańców, a poprawa przepustowości nie musi oznaczać linii dwutorowej na kontrowersyjnym odcinku, co ostatecznie udało się zrobić.

Zgromadzeni chcieliby także znać stanowisko marszałka województwa Mieczysława Struka, ale on akurat jest nieobecny. Reprezentujący samorząd wojewódzki Jakub Pietruszewski podkreśla, że jest tu po to, aby wysłuchać wszystkich uwag i poznać zastrzeżenia. Mówi też o opinii, którą w tej sprawie przygotowała wojewódzka komisja urbanistyczno-architektoniczna.

W dokumencie wielostronnie przedstawiono problem przebudowy linii kolejowej Reda-Hel. Jest w nim wiele interesujących treści. Na przykład wskazanie, że w przypadku elektryfikacji linii ze względów krajobrazowych należy dążyć do wyeliminowania ekranów akustycznych i poszukiwać innych rozwiązań, takich jak tłumiki przyszynowe.

W podsumowaniu opinii czytam, że „konieczne jest przeanalizowanie wariantu polegającego na rezygnacji z elektryfikacji odcinka Władysławowo-Port i obsłudze transportowej Półwyspu Helskiego jednostkami o napędzie wodorowym (przejściowo jednostkami o napędzie hybrydowym)". O takim rozwiązaniu pisze również NPK w swojej opinii. Pierwszy pociąg testowy o napędzie wodorowym wyruszył na linię Gdynia-Hel 17 września 2023 r.

A może kolejka linowa?

Zastanawiające jest, dlaczego przedstawiciele spółki kolejowej nie próbują nawet rozważyć alternatywnych rozwiązań, tylko zasłaniają się ich wysokimi kosztami. To nie buduje atmosfery zaufania. – Czemu mówicie tak, jakby wszystko było już przesądzone? – pyta ktoś.

– My po prostu nie chcemy tej kolei – podkreśla Marta Balicka z Biura Promocji i Obsługi Turystycznej Gminy Jastarnia. – Półwysep jest najdłuższym naturalnym molem w Europie i należą mu się najnowsze rozwiązania bez słupów, bez elektryfikacji i ekranów akustycznych.

Marek Lis, który przyjechał z drugiej strony Zatoki Puckiej, z Rewy, aby wesprzeć kuźniczan, mówi: – Trzeba wspólnie usiąść i wypracować strategię dla naszego obszaru

eprasa.pl fa2369afb7

Zatoki Puckiej. Zastanowić się nad tym, jak zmienić Hel z imprezowni w miejsce, gdzie przyjeżdża się dla przyrody i kultury tego regionu. Jak bez szkody dla środowiska stworzyć spójny i wydolny system komunikacyjny. Jest np. taki patent francuski – kolejka linowa z wagonikami, przez zatokę z Osłonina do Kuźnicy, oszczędna i ekonomiczna, zapewniająca dodatkowo atrakcje widokowe. Jeden wagonik mieści 32 osoby. Kolejka mogłaby być całoroczna, bo wagoniki można łatwo odczepić i przyczepić w miarę potrzeb. Funkcjonuje nawet przy wietrze wiejącym 120 km na godzinę. Mieszkam w miejscowości liczącej 800 stałych mieszkańców, wiem, co to znaczy marginalizowanie małych, regionalnych społeczności. A to one są naszym skarbem. Gdy nie zadbamy o nie, cały półwysep stanie się bezbarwnym kurortem, jakich wiele na świecie. Pomysł z koleją to wariactwo jakieś. Tu mieszkają twardzi ludzie, kapitanowie, marynarze, rybacy, niełatwo ich przekonać, bo czują tę ziemię.

Jednym z nich jest Zbigniew Chmaruk, prezes Północnokaszubskiej Lokalnej Grupy Rybackiej z siedzibą we Władysławowie. Gdy idziemy nad morze po spotkaniu, mówi mi, że największa rybacka wieś na półwyspie ginie, że niedługo zostanie tylko charakterystyczny napis na ceglanym murze starej szkoły: Wieś Kuźnica – Rëbôków Naszëch Stolëca. Chciałby jakoś uratować jej spuściznę, ma już plan. Dziś przyjechał wesprzeć mieszkańców.

Największa rybacka wieś na półwyspie ginie, niedługo zostanie tylko napis na murze starej szkoły: Wieś Kuźnica – Rëbôków Naszëch Stolëca.

Będą walczyć

Drugą turę wyborów w gminie Jastarnia wygrał Bartosz Selin; poprzedni włodarz, urzędujący 21 lat, odchodzi. Miłośnicy Kuźnicy i mieszkańcy półwyspu czekają na decyzję, którą w sprawie kolei ma podjąć regionalna dyrekcja ochrony środowiska. 23 kwietnia otrzymuję odpowiedź z RDOŚ: „Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Gdańsku, zważywszy na złożony charakter sprawy oraz biorąc pod uwagę potrzebę uzupełnienia dokumentacji przez inwestora, nie jest w stanie jednoznacznie określić terminu wydania decyzji dla przedsięwzięcia pod nazwą »Poprawa przepustowości na linii nr 213 Reda-Hel«. Decyzja zostanie wydana w możliwie najszybszym terminie zgodnym z przepisami".

– Co zrobicie, jeśli będzie dla was niekorzystna? – pytam Bognę Konkel. – Zaskarżymy ją – ucina.

Kobieta niedawno odebrała telefon; ktoś chciał kupić jej posesję po mocno zaniżonej cenie.

Helena Leman
h.leman@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2369afb7

Nam strzelać nie kazano

Polskiej armii brakuje pocisków artyleryjskich i nie wiadomo, kiedy będzie je miała

W latach 2022-2023 Polska wysłała do Ukrainy m.in. haubice Krab.

Grzegorz Rudnik

Wojna w Ukrainie dowiodła, że na polu walki nadal decydujące znaczenie ma ciężka artyleria. Cytowany przez media gen. broni Jarosław Gromadziński powiedział, że dzienne zapotrzebowanie armii ukraińskiej na pociski kalibru 155 mm wynosi od 10 tys. do nawet 20 tys. sztuk.

Już w roku 2022 stało się jasne, że poważnym problemem, z którym borykał się Kijów, był „głód amunicyjny" sprawiający, że Ukraińcom coraz trudniej było skutecznie bronić się przed naciskiem armii rosyjskiej. Biorąc to pod uwagę, 29 marca 2023 r. Rada Ministrów przyjęła wieloletni program „Narodowa Rezerwa Amunicyjna", którego celem miała być rozbudowa w latach 2023-2029 możliwości produkcyjnych rodzimych firm wytwarzających pociski artyleryjskie dużego kalibru, w tym amunicję czołgową. 18 kwietnia 2023 r. premier Morawiecki wydał zarządzenie nr 78 w sprawie komitetu sterującego programem. W jego skład weszli prominentni ministrowie i urzędnicy. Zarazem szef rządu w publicznych wypowiedziach wspominał o „Narodowym programie amunicyjnym" (prawdopodobnie chodziło o ten sam program, tylko nie zdecydowano, jak ma się nazywać) i tłumaczył: „Zobowiązaliśmy się w najbliższym czasie przeznaczyć do 2 mld zł ze środków publicznych na program zwiększania produkcji amunicji". 10-12 mld zł miało iść na zakupy amunicji, co oznaczało 800 tys. pocisków 155 mm. Zadania te planowano realizować we współpracy ze Stanami Zjednoczonymi, przewidziano w tej sprawie rozmowy z kierownictwem koncernu Lockheed Martin.

W latach 2022-2023 nasz kraj wysłał do Ukrainy nie tylko czołgi T-72M1 i PT-91 Twardy, Leopard 2A4, haubice Krab, śmigłowce Mi-24, systemy przeciwlotnicze S-125 Newa, automaty Grot, amunicję strzelecką itd., ale też pociski artyleryjskie, czołgowe i moździerzowe. Jest tajemnicą poliszynela, że magazyny polskiej armii w ostatnich dwóch latach zostały ogołocone. Wojsko Polskie nie ma dziś czym strzelać. I może liczyć wyłącznie na dostawy sojuszników, którzy także pozbyli się zapasów amunicji i uzbrojenia. A przecież wojna w Ukrainie jeszcze się nie skończyła.

Nasi główni producenci amunicji artyleryjskiej to Zakłady Metalowe Dezamet SA z Nowej Dęby, Zakłady Chemiczne Nitro-Chem SA z Bydgoszczy, Mesko SA ze Skarżyska-Kamiennej oraz Zakład Produkcji Specjalnej Gamrat z Jasła, który wytwarza proch i ładunki miotające. Rocznie w Polsce produkuje się 30-40 tys. pocisków artyleryjskich kalibru 155 mm i 120 mm. Czyli tyle, ile armia ukraińska zużywa przez dwa-cztery dni.

Nie tyle produkujemy amunicję, ile ją składamy z importowanych komponentów.

eprasa.pl fa2369afb7

W jednym z wywiadów były dowódca wojsk lądowych gen. Waldemar Skrzypczak powiedział, że nie tyle produkujemy amunicję, ile ją składamy z importowanych komponentów, co jest kolejną złą informacją.

Dziś, gdy niemal wszystkie kraje zachodnie postanowiły zwiększyć produkcję pocisków artyleryjskich, pojawiły się problemy z dostępem do sprowadzanej z Chin bawełny strzelniczej i prochu. Ich cena wzrosła. W Polsce należałoby też zwiększyć produkcję skorup pocisków artyleryjskich. A do tego potrzebna jest budowa nowych zakładów. Do identycznego wniosku doszli europejscy producenci amunicji – niemiecki koncern Rheinmetall, francuski Nexter Munitions, szwedzki Eurenco Bofors, fiński Nammo Lapua czy norweski Chemring Nobel. Aktywni są zwłaszcza Niemcy. Rheinmetall w ubiegłym roku rozpoczął budowę fabryk w węgierskiej miejscowości Várpalota, w Rumunii i w Niemczech, w tym roku zaś podpisał umowę z rządem litewskim na budowę zakładu w tym kraju. Ma również plany budowy fabryki amunicji w Ukrainie.

Komisja Europejska w 2023 r. ogłosiła program, który ma rozruszać produkcję amunicji na naszym kontynencie – wart w sumie 1,5 mld euro Act in Support of Ammunition Production (ASAP). Pieniądze zostały rozdzielone pod koniec zeszłego roku. Głównymi beneficjentami okazały się firmy niemieckie, francuskie, norweskie i greckie. Polskie spółki otrzymały 2 mln euro.

Rząd Mateusza Morawieckiego zdecydował w ubiegłym roku, że finansowaniem „Narodowej Rezerwy Amunicyjnej" zajmą się: Polski Fundusz Rozwoju, Agencja Rozwoju Przemysłu, Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych oraz Ministerstwo Obrony Narodowej. Do rozmów na temat udziału w projekcie zaproszono konsorcjum Polska Grupa Zbrojeniowa-Amunicja, w skład którego wchodzą Dezamet, Mesko, Nitro-Chem i Gamrat, oraz Polską Amunicję Sp. z o.o. założoną przez Agencję Rozwoju Przemysłu i WPT Holding, założony z kolei przez trzy spółki: WB Electronics, PONAR Wadowice i TDM Electronics.

Pierwszą umowę na dostawy głównie pocisków artyleryjskich kalibru 155 mm Agencja Uzbrojenia podpisała z konsorcjum PGZ-Amunicja w czerwcu ub.r. Z kolei spółka Polska Amunicja chce uruchomić fabrykę w Ząbkowicach Śląskich. Wydaje się, że to za mało jak na potrzeby Wojska Polskiego i konieczne będą umowy z dostawcami zewnętrznymi, zwłaszcza że realizacja krajowych projektów w dziedzinie obronności wygląda źle. Przypomnę tylko program budowy dronów Orlik.

Pojawiły się problemy z dostępem do bawełny strzelniczej sprowadzanej z Chin.

Pod koniec 2018 r. Inspektorat Uzbrojenia podpisał z konsorcjum spółek Polskiej Grupy Zbrojeniowej umowę o wartości niemal 790 mln zł na dostawę ośmiu systemów bezzałogowych statków powietrznych klasy taktycznej. Dron miał mieć rozpiętość skrzydeł 5,4 m, a długość 2,8 m i być wyposażony w głowicę optoelektroniczną umożliwiającą obserwację w dzień i w nocy, dalmierz laserowy i wskaźnik celu oraz specjalny radar, i utrzymywać się w powietrzu godzinami. Termin realizacji umowy mijał w roku 2021. W zeszłym roku interpelację w tej sprawie złożył ówczesny poseł, obecnie wiceminister obrony narodowej Paweł Bejda. Odpowiedziano mu, że pierwsze zestawy zostaną dostarczone w listopadzie. Najnowsze wieści dotyczące orlików są takie, że sprawą zajmują się Prokuratura Okręgowa w Bydgoszczy i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Prowadzone kontrole ujawniły liczne nieprawidłowości. Obok standardowych kłopotów z rozliczaniem zaliczek i brakiem pieczy nad korzystaniem z kart płatniczych oraz problemów z zagranicznym dostawcą, który kasę wziął, a towaru nie dostarczył, stwierdzono przypadki nepotyzmu i zakupu dużych ilości… drogich alkoholi. Czy można się dziwić, że ambitny program budowy dronów realizowany jest tak długo? Najnowsze wieści? Może pierwsze systemy trafią do armii jesienią.

Śmiem twierdzić, że z realizacją programu amunicyjnego będzie jeszcze gorzej.

Wojna w Ukrainie bardzo ożywiła polski przemysł obronny. Polska Grupa Zbrojeniowa w roku ubiegłym i dwa lata temu odnotowała dodatni wynik finansowy. Obecny rok też zapowiada się dobrze. Większość zakładów wchodzących w skład PGZ ma pełny portfel zamówień na lata, a część już pracuje na trzy zmiany. Prowadzone są szeroko zakrojone inwestycje. Bo w obliczu zagrożeń zewnętrznych nikt nie będzie na zbrojeniach oszczędzał. Przykładem jest Huta Stalowa Wola, która otrzymała pierwsze 600 mln zł dotacji rządowej i czeka na drugą transzę. Za te pieniądze powstaną nowe linie produkcyjne, dzięki którym będzie można znacząco zwiększyć produkcję armatohaubic Krab.

Wąskim gardłem jest kadra inżynierska – jej brak doświadczenia, niestabilność zatrudnienia na kierowniczych stanowiskach, a często brak determinacji w dążeniu do celu. O to mogą się rozbić ambitne plany.

W przypadku programu „Narodowa Rezerwa Amunicyjna", gdy przyjdzie budować nowe zakłady, pozyskiwać maszyny, technologie, oprogramowanie i nowoczesne wyposażenie, kłopoty będą większe niż z dronami Orlik. „Omsknięcie się" terminów jest więcej niż pewne.

Temat na razie nie pojawił się w pracach sejmowej Komisji Obrony Narodowej. Lektura stenogramów z posiedzeń owego szacownego gremium przygnębia. Posłowie Prawa i Sprawiedliwości z Antonim Macierewiczem na czele kłócą się z przedstawicielami rządu i koalicji, broniąc swoich wybitnych osiągnięć, takich jak działalność podkomisji smoleńskiej czy plany zwiększenia liczebności Wojska Polskiego i Wojsk Obrony Terytorialnej. Na razie ze świecą szukać odniesień do stanu realizacji projektów zbrojeniowych zaplanowanych w ostatnich latach i prędko to się nie zmieni. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fa2369afb7

Niepełnosprawne ofiary chorego systemu

Ze 170 tys. wniosków rozpatrzono niespełna 5 tys.

Maciej Mikołajczyk

Zofia, matka 15-letniego Krystiana chorującego na dziecięce porażenie mózgowe, nie może pracować, bo syn jest niezdolny do samodzielnego funkcjonowania i trzeba się nim bezustannie opiekować. Kobiecie przysługuje świadczenie pielęgnacyjne (w ubiegłym roku 2,5 tys. zł, w tym 3 tys.). Podstawą wypłacania świadczenia jest orzeczenie o niepełnosprawności podopiecznego. W lipcu 2021 r. powiatowy zespół ds. orzekania o niepełnosprawności stwierdził, że Krystian jest niepełnosprawny w stopniu znacznym. Okres trwania niepełnosprawności określił na dwa lata. W czerwcu zeszłego roku – sześć tygodni przed upływem ważności orzeczenia, z przepisowym wyprzedzeniem – mama Krystiana złożyła wniosek o wydanie nowej decyzji w sprawie niepełnosprawności. Powiatowy zespół poinformował, że nie jest w stanie rozpatrzyć wniosku w terminie przewidzianym przez Kodeks postępowania administracyjnego, czyli w ciągu 30 dni. Powód: „Długa lista oczekujących na komisję". Gmina wstrzymała wypłatę świadczenia pielęgnacyjnego. Zofia i Krystian zostali bez środków do życia. Przez cztery miesiące byli zdani na łaskę rodziny i sąsiadów.

Sprawny prawnie

Takich przypadków było więcej, a czteromiesięczne oczekiwanie na orzeczenie wcale nie stanowiło rekordu, co skłoniło do interwencji rzecznika praw obywatelskich. Rzecznik zwrócił uwagę, że długi okres oczekiwania na nowe orzeczenie niesie negatywne konsekwencje dla osób z niepełnosprawnościami i ich rodzin w postaci utraty prawa do świadczeń, zniżek, uczestniczenia w turnusach rehabilitacyjnych, badaniach specjalistycznych, zabiegach leczniczych i usprawniających, a także pozbawia te osoby stypendiów i kart parkingowych. „Z chwilą, gdy orzeczenie traci ważność, osoby niepełnosprawne biologicznie w sensie prawnym zyskują status osoby pełnosprawnej. Nie przysługuje im ani skrócona norma czasu pracy, ani dodatkowa przerwa w pracy, ani zakaz pracy w godzinach nadliczbowych i porze nocnej (…)", stwierdził rzecznik w piśmie do pełnomocnika rządu ds. osób niepełnosprawnych.

Nacisk RPO okazał się o tyle skuteczny, że w grudniu 2023 r. weszła w życie ustawa o zachowaniu ważności niektórych orzeczeń o niepełnosprawności. Na jej podstawie z automatu przedłużono do 30 września br. ważność orzeczeń, których moc wygasła po 5 sierpnia 2023 r. Ale zatory się nie zmniejszyły.

Powód? Wnioski do zespołów orzeczniczych wciąż napływają, na domiar złego w styczniu zaczęły obowiązywać przepisy pozwalające niepełnosprawnym na ubieganie się o świadczenie wspierające. Żeby je otrzymać, trzeba wystąpić z wnioskiem o ustalenie poziomu wsparcia. Szkopuł: ustalaniem poziomu wsparcia zajmują się wojewódzkie zespoły ds. orzekania o niepełnosprawności (WZON), czyli ci sami lekarze, którzy formułują orzeczenia o niepełnosprawności stanowiące podstawę do uzyskania świadczeń pielęgnacyjnych i innych przywilejów. Przy ograniczonej podaży lekarzy orzeczników wzmożony popyt na ich usługi musiał się zakończyć katastrofą. Stan na dziś: na orzeczenie w sprawie niepełnosprawności wciąż trzeba czekać miesiącami.

Strach się bać, do czego dojdzie, gdy po 30 września przestaną obowiązywać przepisy przedłużające ważność orzeczeń i zespoły zasypie lawina wniosków.

Oczekiwanie na wydanie decyzji ustalającej poziom wsparcia, co jest warunkiem otrzymania świadczenia wpierającego, to także droga przez mękę. Świadczenie wspierające to pisowskie dziecko. Miało być nowoczesne, podmiotowo traktujące niepełnosprawnych, bo pieniądze miały trafiać bezpośrednio do osób z niepełnosprawnościami, a nie jak dotąd do ich opiekunów. Jednocześnie uznano, że opiekunowie mogą podejmować pracę zarobkową i osiągać nieograniczone dochody. Prawa do zarabiania nie pozbawiono także osób z niepełnosprawnościami. Ale ułatwienia i upodmiotowienie funkcjonują tylko na papierze. Z danych na koniec marca wynika, że do WZON wpłynęło 170 tys. wniosków o ustalenie poziomu wsparcia. Rozpatrzono niespełna 5 tys. (mniej niż 3%). Reszta czeka w wielomiesięcznych kolejkach, choć według przepisów na wydanie decyzji organ ma kwartał.

Osoby, które złożyły wnioski w połowie stycznia, a więc w pierwszych tygodniach obowiązywania ustawy o świadczeniu wspierającym, właśnie dostały pisma informujące, że decyzje w ich sprawie zapadną w sierpniu. To klęska państwa.

Marne szanse

Na marginesie, połowa wnioskodawców otrzymała od WZON od 90 do 100 pkt, to poziom wsparcia uprawniający do otrzymania świadczenia w kwocie od 180% do 220%

eprasa.pl fa2369afb7

renty socjalnej, czyli od 3200 do 3920 tys. zł. Ale 30% dostało od 0 do 69 pkt. Tym samym lekarze orzecznicy uznali, że jedna trzecia wnioskodawców ze względu na nieprzekroczenie ustawowego progu 70 pkt nie zasługuje nawet na najniższe świadczenie wspierające (40% renty socjalnej, czyli 712 zł). Nie dość zatem, że na rozpatrzenie wniosków trzeba czekać w kolejkach, to jeszcze realne szanse na przyzwoite świadczenie mają nieliczni. Statystyka jest przy tym myląca, bo w pierwszych miesiącach tego roku wnioski złożyły osoby o dużej potrzebie wsparcia, co oznacza, że odsetek decyzji uprawniających do wysokich świadczeń w przyszłości będzie niższy.

Trzeba pamiętać, że w pierwszym roku obowiązywania ustawy o świadczeniu wspierającym z jej dobrodziejstw mogą skorzystać wyłącznie ci, których poziom wsparcia zostanie oceniony na ponad 86 pkt. To przeważnie ciężko chorzy, mający kłopot z ubraniem się, myciem, a nawet z zachowaniem pozycji siedzącej, o stojącej nie wspominając.

Na wyrażonej w punktach ocenie potrzeb procedura się nie kończy. W kolejnym kroku należy złożyć wniosek do ZUS o przyznanie świadczenia wspierającego. Nie trzeba załączać orzeczenia WZON, bo ustawodawca postawił na nowoczesną technologię. Wniosek można składać wyłącznie w formie elektronicznej za pośrednictwem zusowskiej e-platformy, a tam widać decyzję w sprawie poziomu wsparcia. (Pytanie, czy niezdolna do samodzielnej egzystencji seniorka jest w stanie skorzystać z platformy usług elektronicznych, ma charakter retoryczny).

W ciągu pierwszych trzech miesięcy 2024 r. ZUS rozpatrzył 4,5 tys. wniosków i przyznał – uwaga! – 70 świadczeń wspierających. To dowód, że ustawa nie przynosi korzyści potrzebującym, a jej jedynym realnym skutkiem jest spotęgowanie chaosu w instytucjach orzeczniczych.

Parszywa strategia

Jeśli Koalicji 15 Października zależy na uchronieniu państwa przed utratą resztek wiarygodności, musi podjąć kroki zmierzające do uzdrowienia instytucji orzekających. Trzeba skończyć z praktyką przyznawania osobom trwale niepełnosprawnym statusu niepełnosprawnych czasowo. To parszywa strategia – innego uzasadnienia konieczności corocznego stawania nieuleczalnie chorych i trwale okaleczonych przed obliczem komisji po prostu nie ma.

Należy także znowelizować ustawę o świadczeniu wspierającym i przyznawać je na podstawie wydanych orzeczeń o niepełnosprawności. To uwolni zespoły orzecznicze od obowiązku oceniania poziomu wsparcia, dzięki czemu zajmą się tym, do czego zostały powołane.

Zatory występują nie tylko w przypadku zespołów ds. orzekania o niepełnosprawności. Coraz dłużej czeka się na wydanie decyzji przez zusowskich lekarzy orzeczników. Działają oni na podstawie ustawy o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (orzecznicy z powiatowych i wojewódzkich zespołów podejmują decyzje na podstawie ustawy o rehabilitacji zawodowej i społecznej oraz zatrudnianiu osób niepełnosprawnych). Ich zadaniem jest ustalanie uprawnień do renty z tytułu niezdolności do pracy, renty socjalnej lub rodzinnej, świadczenia rehabilitacyjnego, dodatku pielęgnacyjnego czy odszkodowania z tytułu uszczerbku na zdrowiu. Co roku wydają ponad 1 mln orzeczeń, w rękach zusowskich orzeczników jest więc los dużej i wymagającej troski grupy społecznej. A kilkumiesięczna zwłoka w wydaniu orzeczenia to nie tylko abstrakcyjna niewydolność systemu, ale przede wszystkim konkretna i dotkliwa niemożność zaspokojenia przez ofiary tej niewydolności podstawowych potrzeb. Kogoś powinno to wreszcie zacząć obchodzić. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fa2369afb7

Pigułka bez recepty

Naczelna Rada Lekarska i rzecznik praw obywatelskich krytykują rozwiązanie Izabeli Leszczyny w sprawie „pigułki dzień po”

Anna J. Dudek

Szefowa Ministerstwa Zdrowia Izabela Leszczyna szeroko informowała, że w związku z wetem prezydenta Andrzeja Dudy w sprawie nowelizacji prawa farmaceutycznego, która miała zlikwidować konieczność uzyskania recepty na antykoncepcję awaryjną (dostępną w Polsce pigułkę EllaOne), wprowadza „plan B”. Polega on na wydaniu rozporządzenia dopuszczającego uzyskanie pigułki na tzw. receptę farmaceutyczną. Zakłada to możliwość kupienia środka w aptece, bezpośrednio od farmaceuty, bez konieczności konsultacji z lekarzem ginekologiem i uzyskania od niego recepty.

Ministra Izabela Leszczyna rozumie obiekcje, ale podkreśla, że „będzie tak, jak zaplanowaliśmy”.

Ginekolożka: Ja bym się cieszyła

Ginekolożka Anna Orawiec, znana w sieci jako Dr Ashtanga: – W tej dyskusji nie ma mowy o tym, co jest dobre dla pacjentki, tylko o kwestiach prawnych. Dziwi mnie sytuacja, w której rodzic miałby wyrażać niezadowolenie w sytuacji, kiedy nastolatka będzie szukała pomocy; ja cieszyłabym się, że moje dziecko jest zaopiekowane, dostało pomoc, której szukało. Dodatkowo dostało tę pomoc od osoby, która jest kompetentna, zna się na lekach, ich skutkach i interakcjach.

Owe „kwestie prawne” wyartykułował rzecznik praw obywatelskich, pisząc w swoim stanowisku: „Rozporządzenie sprawi, że farmaceuta uzyska szersze uprawnienia od lekarza w zakresie udzielania świadczeń zdrowotnych wobec pacjentów małoletnich”. „Rozporządzenie, którego wejście w życie doprowadzi do uzupełnienia czy zmiany treści norm ustawowych, może zostać ocenione jako niezgodne z Konstytucją – zauważył. – Wątpliwości budzi też, czy cel, jakiemu przyświeca projekt rozporządzenia, może być zrealizowany w formie programu pilotażowego, o którym mowa w ustawie o świadczeniach opieki zdrowotnej”. Rzecznik zarazem podkreślił, że rozporządzenie nie może „przekształcać, modyfikować ani uzupełniać treści zawartych w ustawie, z której wynika upoważnienie do jego wydania”.

Polska jest jedynym krajem europejskim, w którym obowiązują takie restrykcje dotyczące antykoncepcji awaryjnej.

Podobne zdanie i wątpliwości wyraża Naczelna Rada Lekarska, która komentuje ruchy ministerstwa jako „próby obchodzenia prawa”. „Wyobrażam sobie sytuację, w której 15-latka przyjdzie po pigułkę dzień po bez zgody rodzica, później rodzic wywiedzie roszczenie, że zgody nie było, a udzielono świadczenia medycznego. Nie chcemy sytuacji, kiedy 15-latka zgłosi się do apteki, a farmaceuta zamiast rozmawiać z nią o lekarstwie, będzie rozmyślał, czy nie naraża się na roszczenia, to absurd”, mówił szef NRL dr Łukasz Jankowski w rozmowie z mediami. Jego zdaniem stosowanie rozporządzenia może stworzyć możliwości powstania „problemów prawnych”.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl fa2369afb7

Ginekolożka Anna Orawiec: – W całej tej rozmowie padło takie zdanie, że „lekarz nie jest usługodawcą, a pacjent nie jest klientem", ale w jakimś sensie dokładnie tak jest, z woli prezydenta, który zawetował ustawę. Chcemy po prostu chronić pacjentkę przed niechcianą ciążą i powikłaniami, które mogą wynikać z nastoletniej ciąży. Kiedy przychodzi do mnie pacjentka, informuje, że potrzebuje wziąć tabletkę dzień po, a ja wiem, że to jest bezpieczny środek, który nie powoduje zagrożenia jej zdrowia, to jednak jestem usługodawcą. Gdyby paracetamol był na receptę, a pacjentka mówiłaby, że boli ją głową, też byłabym usługodawcą, wypisując jej receptę. To nie powinno być rozwiązanie docelowe, ale takie, które może dużo zmienić do momentu, w którym albo prezydent zmieni zdanie, albo zmieni się prezydent. I całe nastawienie do zdrowia reprodukcyjnego. Według mnie to rozwiązanie jest dobre, będzie skuteczne, ale nic nie może się odbywać kosztem farmaceutów i pracowników ochrony zdrowia, którzy mają obawy, że ktoś wobec nich wyciągnie konsekwencje prawne.

Kłody pod nogi

Środowisko zaangażowanych w walkę o prawa kobiet polityczek i aktywistek, w tym Strajk Kobiet, komentuje stanowisko części lekarzy i RPO krótko. Uważa, że w całej walce o prawa reprodukcyjne, którą działaczki prowadzą od lat, komentarze Naczelnej Rady Lekarskiej to nic innego jak rzucanie kłód pod nogi. Strajk Kobiet: „Niestety, środowiska lekarskie i farmaceutyczne zgłaszają wciąż nowe wątpliwości, które dotyczą zwłaszcza osób niepełnoletnich. Te, mimo że mogą współżyć, nie mogą pójść na wizytę lekarską bez opiekuna, zatem według środowiska lekarskiego i Związku Aptekarzy nie mogą też otrzymać recepty w aptece. Dochodzi tu do pomieszania pojęć, bo ta konkretna recepta na EllaOne (wraz z konsultacją) to tzw. usługa medyczna, a nie świadczenie medyczne".

Część lekarzy, reprezentowana przez Naczelną Radę Lekarską, odpowiada: „My zdecydowanie jesteśmy za tym, żeby 15-letnia dziewczyna mogła się skonsultować ze specjalistą ginekologiem, i dzisiaj w naszych stanowiskach na tym się skupiamy. Uważamy, że wszystko powinno być zorganizowane zgodnie z planem, próba obchodzenia prawa przypomina nam działania poprzedniego rządu, gdy pan minister Niedzielski próbował wprowadzić limity w wystawianiu recept dla lekarzy. Nie zgadzamy się na naginanie prawa i na działanie poza prawem".

Warto przy okazji przypomnieć, że 15 lat to w Polsce granica wieku, od której można legalnie uprawiać seks. Wątpliwości budzi, dlaczego 15-latka, która może świadomie podejmować decyzję o współżyciu, miałaby obligatoryjnie konsultować się z lekarzem. Przy czym, by zapisać się na wizytę u ginekologa, musi mieć zgodę rodzica lub opiekuna.

Nic nie może się odbywać kosztem farmaceutów i pracowników ochrony zdrowia, którzy mają obawy, że ktoś wyciągnie wobec nich konsekwencje prawne.

Fundamentalne zmiany?

Wszystkie strony wiedzą, że rozwiązanie proponowane przez Ministerstwo Zdrowia nie jest idealne. To rodzaj tymczasowej protezy. Ministra Leszczyna obiekcje rozumie, ale w portalu CowZdrowiu.pl podkreśla, że „będzie tak, jak zaplanowaliśmy". „Nie wydaje mi się, żebym wprowadzała fundamentalne zmiany. Farmaceuci prosili o pewne doprecyzowania i na pewno pójdę w tę stronę. Zależy mi nie tylko na bezpieczeństwie dziewczyn i kobiet, zależy mi też na bezpieczeństwie farmaceutów. Muszą być pewni, że postępują zgodnie z prawem, i ja będę im to gwarantowała".

Od lipca 2017 r., wskutek działań ówczesnego rządu, antykoncepcja awaryjna – bezpieczna, jak podkreślają lekarze, niepowodująca poronień czy uszkodzeń ciąży istniejącej – jest dostępna wyłącznie na receptę. Polska to jedyny europejski kraj, w którym obowiązują takie restrykcje. Zgodnie z publikowanymi w „Atlasie Antykoncepcji" wynikami badań dostęp do niej w Polsce jest najgorszy na kontynencie. ■

eprasa.pl fa2369afb7

25 kwietnia w Rzymie odbyła się wielotysięczna manifestacja zorganizowana przez ANPI.

BELLA CIAO

Święto, które dzieli Włochów

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

25 kwietnia we Włoszech obchodzi się rocznicę wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej i faszyzmu. Jedni wykorzystują ten czas jako „długi weekend" trwający aż do 1 maja, kiedy przypada Święto Pracy. Drudzy jako okazję do polemik i podziałów na tle historycznym. Co roku na placach powiewają flagi, organizowane są pochody, manifestacje, koncerty i obowiązkowo wybrzmiewa „Bella ciao" (Żegnaj, piękna) – pieśń włoskich partyzantów antyfaszystowskich z okresu II wojny światowej. Jednak takiej rocznicy jak ta jeszcze we Włoszech nie było.

Jak zazwyczaj prezydent Republiki Włoskiej Sergio Mattarella złożył wieniec laurowy w Sanktuarium Nieznanego Żołnierza, przy Ołtarzu Ojczyzny na placu Weneckim, a nad białym monumentem przeleciały Frecce Tricolori, samoloty zespołu akrobacyjnego Włoskich Sił Powietrznych, rozpylając dym w kolorze włoskiej flagi. W uroczystościach z okazji Dnia Wyzwolenia uczestniczyli premier Giorgia Meloni, przewodniczący Senatu Ignazio La Russa, przewodniczący izby niższej Lorenzo Fontana oraz prezes Trybunału Konstytucyjnego Augusto Barbera. Ze względu na budowę stacji metra na placu Weneckim udział publiczności był ograniczony.

Po złożeniu wieńca Mattarella pojechał do Civitella in Val di Chiana w Toskanii, gdzie w 1944 r. hitlerowcy zamordowali 244 osoby, w tym kobiety i dzieci. Tam wygłosił długie i ważne przemówienie, przypominając, że bez pamięci nie ma przyszłości: „Dla Włoch 25 kwietnia to fundamentalna rocznica: święto pokoju, odzyskanej wolności i powrotu do szeregów narodów demokratycznych. Ten pokój i ta wolność, które – mające korzenie w oporze narodu przeciwko nazistowsko-faszystowskiemu barbarzyństwu – dały początek Konstytucji Republikańskiej, z którą każdy może się utożsamiać i która stanowi gwarancję demokracji i sprawiedliwości, przeciwstawiając się zdecydowanie jakiejkolwiek formie autorytaryzmu lub totalitaryzmu".

Szefowa rządu Giorgia Meloni nie brała udziału w innych oficjalnych uroczystościach, napisała jednak na Facebooku: „W dniu, w którym Włochy świętują wyzwolenie, które wraz z końcem faszyzmu położyło podwaliny pod powrót demokracji, ponownie wyrażamy naszą niechęć do wszelkich reżimów totalitarnych i autorytarnych. Tych z przeszłości,

eprasa.pl fa2369afb7

które prześladowały narody w Europie i na całym świecie, oraz tych dzisiejszych, którym jesteśmy zdecydowani przeciwstawić się z zaangażowaniem i odwagą. Będziemy nadal pracować na rzecz obrony demokracji i budowania Włoch zdolnych w końcu zjednoczyć się w imię wolności. Niech żyje wolność!".

Dawni i nowi antyfaszyści

Obchody rocznicy wyzwolenia Włoch spod okupacji hitlerowskiej i faszyzmu rozpoczęły się tradycyjnie w stolicy, przy Bramie św. Pawła na placu Ostiense, gdzie znajduje się monument upamiętniający masakrę w Grotach Ardeatyńskich – masową egzekucję 335 Włochów i Żydów przeprowadzoną przez funkcjonariuszy SS 24 marca 1944 r. na przedmieściach Rzymu, która stała się symbolem niemieckich zbrodni popełnionych we Włoszech w czasie okupacji. Zbrodni dokonano w odwecie za zamach na kolumnę niemieckiej policji, Ordnungspolizei, przeprowadzony dzień wcześniej przez członków włoskiego ruchu oporu.

Już o godz. 7 rano na placu zebrali się zwolennicy wolnej Palestyny, emigranci palestyńscy drugiej generacji oraz studenckie kolektywy z palestyńskimi flagami. Trochę później w to samo miejsce przybyli manifestanci z flagami izraelskimi, chcący upamiętnić Brygadę Żydowską (złożoną z Żydów brytyjską formację zbrojną z czasów II wojny światowej), biorącą udział w wyzwoleniu Włoch. Choć był to chłodny dzień, temperatura od razu się podniosła. Demonstranci najpierw obrzucili się obelgami, a potem ci propalestyńscy, krzycząc: „Faszyści!", odpalili kilka bomb dymnych, na co ci proizraelscy odpowiedzieli kamieniami itp. Poleciały one też w stronę dziennikarzy. Kordon policji, która od świtu obstawiła miejsce manifestacji, z trudem rozdzielił uczestników. Od lat środowisko rodzin i weteranów Brygady Żydowskiej odmawia wspólnego przemarszu z Associazione Nazionale Partigiani d'Italia (ANPI), stowarzyszeniem założonym przez partyzantów i uczestników ruchu oporu przeciw włoskiemu reżimowi faszystowskiemu i późniejszej okupacji hitlerowskiej, ponieważ zaprasza ono na wiec środowiska propalestyńskie.

Kiedy dwie godziny później pod Bramę św. Pawła przybył pochód z przedstawicielami włoskich stowarzyszeń partyzanckich, instytucji i prezydentem miasta Robertem Gualtierim, na placu pozostali tylko demonstranci propalestyńscy. Grupy partyzanckie niosły tęczowe flagi oraz transparent z hasłem: „Zawieszenie broni wszędzie". Dla manifestantów propalestyńskich było ono dwuznaczne i niewystarczające. Choć kierownictwo ANPI apelowało o spokojny przebieg święta, rocznica zmieniła się w starcie zwolenników stron aktualnego konfliktu na Bliskim Wschodzie.

Scenariusz ten powtórzył się w Mediolanie. Tu odbyła się największa, wielotysięczna manifestacja zorganizowana przez ANPI, w której brali udział politycy centrolewicy oraz lewicy (w tym Elly Schlein, liderka Partii Demokratycznej), przedstawiciele lokalnych władz, organizacji społecznych i stowarzyszenia partyzantów antyfaszystowskiego ruchu oporu i ich rodzin. Podczas przemarszu osoby upamiętniające Brygadę Żydowską były chronione przez policję i służby porządkowe. Mimo to ugrupowania propalestyńskie próbowały uniemożliwić im przejście, a także przebić się przez bariery otaczające trybunę na placu Duomo, gdzie przemawiał burmistrz miasta Giuseppe Sala. Wystąpieniu towarzyszyły okrzyki: „Sala syjonista, pierwszy terrorysta". Odpalono kilka petard i bomb dymnych. Jeden z manifestantów ku czci Brygady Żydowskiej został ranny. Policja zatrzymała 10 osób za zakłócanie porządku.

Po zakończeniu części oficjalnej Antonio Scurati, pisarz i intelektualista, autor kilkutomowej biografii Benita Mussoliniego, z trybuny przeczytał swój antyfaszystowski monolog, który został zdjęty z programu przewidzianego z okazji 25 kwietnia w telewizji publicznej RAI 1.

Giorgia Meloni nie jest antyfaszystką

Od obchodów Dnia Wyzwolenia odcinała się zawsze część polityków i zwolenników włoskiej prawicy, zwłaszcza tych z partii Bracia Włosi, mającej korzenie postfaszystowskie, oraz z Ligi. Zarówno liderzy, jak i reprezentanci lokalni tych partii od 2005 r. preferują upamiętnianie fojby – czyli masowych mordów i deportacji podczas II wojny światowej i bezpośrednio po niej, popełnianych głównie przez partyzantów jugosłowiańskich Tity na Istrii, gdzie toczyły się walki etniczne. Zabitych zostało ok. 5 tys. Włochów, a ich ciała wrzucono do krasowych dołów, zwanych fojbami.

Co roku przy okazji 25 kwietnia, uważanego przez prawicę za święto głównie lewicowe i postkomunistyczne, dochodzi do polemik na temat faszyzmu i antyfaszyzmu.

Co roku przy okazji 25 kwietnia, rocznicy uważanej przez prawicę za święto głównie lewicowe i postkomunistyczne, we Włoszech dochodzi do polemik na temat faszyzmu i antyfaszyzmu. Prawica ostentacyjnie unika tych obchodów, a wśród jej wyborców są nostalgicy rządów twardej ręki Duce. Przewodniczący Senatu Ignazio La Russa jeszcze niedawno chwalił się, że ma popiersie Mussoliniego w domu.

Od kiedy jednak Giorgia Meloni została premierem i wraz ze swoimi ministrami złożyła przysięgę przestrzegania Konstytucji Republikańskiej, uważanej za antyfaszystowską – sprawa stała się żenująca. Od Meloni wymaga się jednego: niech zadeklaruje się wreszcie jako antyfaszystka. Premier poczyniła pewne kroki – choćby zamieszczenie tegorocznego wpisu na Facebooku z okazji Święta Wyzwolenia. Jednak słowo antyfaszyzm nie przechodzi jej przez gardło.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fa2369afb7

Już przed wyborami lewica alarmowała, że wraz z Meloni faszyzm powróci do Włoch, ale przepowiednie te się nie ziściły. Dziś wielu przedstawicieli tej strony sceny politycznej uważa, że próg zwrotu autorytarnego w kraju został przekroczony. Być może to znów straszenie, zwłaszcza przed zbliżającymi się wyborami do Parlamentu Europejskiego. Jest jednak kilka niepokojących sygnałów. Jeden z nich to stopniowe ograniczanie wolności wypowiedzi i cenzura krytyki pod adresem premier Meloni.

W październiku br. historyk i filolog Luciano Canfora, 82-letni emerytowany profesor Uniwersytetu w Bari i lewicowy intelektualista, stanie przed sądem w Bari pod zarzutem ciężkiego zniesławienia premier Meloni, która domaga się odszkodowania w wysokości 20 tys. euro. Podczas spotkania z uczniami liceum naukowego im. Enrica Fermiego w Bari, poświęconego wojnie w Ukrainie, Canfora powiedział o Meloni, że „będąc w głębi serca neonazistką, natychmiast stanęła po stronie ukraińskich neonazistów, stała się bardzo ważną osobą i jest szczęśliwa".

Drugi epizod dotyczy monologu Antonia Scuratiego z okazji 25 kwietnia, który został zablokowany przez RAI 1 dobę przed emisją w programie „Chesarà" prowadzonym przez Serenę Bortone. Według autora powodem była cenzura prewencyjna, gdyż połączył on historię polityka Giacoma Matteottiego, zamordowanego 10 czerwca 1924 r. przez faszystów nasłanych przez najbliższych współpracowników Benita Mussoliniego, z zaciekłą krytyką Meloni. Dla prawicowego kierownictwa telewizji państwowej przyczyną było to, że pisarz zażądał zbyt wysokiego honorarium.

„Przez całe swoje historyczne istnienie faszyzm był, nie tylko u schyłku czy sporadycznie, nieodwracalnym zjawiskiem systematycznej przemocy politycznej, morderstw i masakr. Czy spadkobiercy tej historii uznają to raz na zawsze? Niestety, wszystko wskazuje na to, że tak się nie stanie. Postfaszystowska grupa rządząca, po zwycięstwie w wyborach w październiku 2022 r., miała przed sobą dwie drogi: wyprzeć się swojej neofaszystowskiej przeszłości lub spróbować napisać historię na nowo. Bez wątpienia wybrała tę drugą.

Premier, unikając tego tematu w trakcie kampanii wyborczej, zmuszona do jego podjęcia przez rocznice historyczne, uparcie trzymała się linii ideologicznej swojej neofaszystowskiej kultury pochodzenia: dystansowała się od niewybaczalnej brutalności reżimu (prześladowania Żydów), nie wyrzekając się nigdy całości doświadczenia faszystowskiego; za masakry dokonane przy współudziale republikańskich faszystów winiła wyłącznie nazistów i ostatecznie zignorowała fundamentalną rolę ruchu oporu w odrodzeniu Włoch (do tego stopnia, że przy okazji 25 kwietnia 2023 r. nie wypowiedziała ani razu słowa antyfaszyzm). Kiedy do Was mówię, po raz kolejny znaleźliśmy się w wigilię rocznicy wyzwolenia od nazistowskiego faszyzmu. Słowo, którego premier nie chciała wymówić, nadal będzie pulsować na wdzięcznych ustach wszystkich szczerych demokratów, czy to na lewicy, w centrum, czy na prawicy. Dopóki ci, którzy nami rządzą, nie wypowiedzą tego słowa – antyfaszyzm – widmo faszyzmu będzie nadal nawiedzać dom włoskiej demokracji", mówił Antonio Scurati.

Aby uniknąć podejrzeń o odgórną ingerencję, premier Meloni opublikowała monolog na swoim Facebooku.

Od obchodów Dnia Wyzwolenia odcinała się zawsze część polityków i zwolenników włoskiej prawicy, zwłaszcza z partii Bracia Włosi.

25 kwietnia

Kwietniowe święto obchodzone jest jako rocznica oswobodzenia 25 kwietnia 1945 r. Mediolanu, Turynu i innych miast na północy Włoch spod nazizmu i faszyzmu, co nastąpiło kilkanaście dni przed formalnym zakończeniem II wojny światowej.

Formacje partyzanckie utworzono po zawieszeniu broni podpisanym z aliantami 8 września 1943 r. z inicjatywy antyfaszystów oraz żołnierzy rozwiązanej Armii Królewskiej. Partyzantka licząca początkowo kilka tysięcy ludzi przekształciła się w masowy ruch oporu, do którego dołączyli robotnicy, rolnicy i młodzi uchylający się od poboru do armii Republiki Salò. Do partyzantki wstąpiło ok. 300 tys. osób.

Akcje włoskiego ruchu oporu koordynowały Komitety Wyzwolenia Narodowego, z których pierwszy powstał w Rzymie 9 września 1943 r., po ucieczce króla Wiktora Emanuela III oraz gen. Pietra Badoglia – ministra spraw zagranicznych Królestwa Włoch. Partie, które powstały i odrodziły się w 1943 r., były reprezentowane w KWN.

Formacje partyzanckie miały różne orientacje polityczne: Brygady Garibaldiego – komuniści, Batalion Matteotti – socjaliści, a Brygada Sprawiedliwość i Wolność – centrolewicowa Partia Akcji. W czerwcu 1944 r. utworzono także CLN Alta Italia (Komitet Wyzwolenia Narodowego Północnych Włoch). Akcje zbrojne ruchu oporu wspieranego przez miejscową ludność umożliwiły wyzwolenie niektórych terenów przed przybyciem aliantów.

Kiedy wiosną 1945 r. wojska anglo-amerykańskie przedarły się przez Linię Gotów, docierając do doliny Padu, 25 kwietnia włoski ruch oporu rozpoczął powstanie narodowe przeciwko hitlerowcom, ogłaszając je w Mediolanie. Benito Mussolini próbował uciec do Szwajcarii, dołączając do kolumny niemieckiej, ale został rozpoznany i schwytany przez partyzantów wraz ze swoją towarzyszką Clarettą Petacci. Rozstrzelano go 28 kwietnia we wsi Dongo, a jego ciało powieszono głową w dół. Do dziś duch Mussoliniego dzieli Włochy.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl fa2369afb7

Fenomen duńskiej emancypacji

Imigrantki rodzą dziś mniej dzieci niż Dunki. Somalijki czy Turczynki mają inne priorytety

Chrystian Ślusarczyk

Zarówno nasze, jak i światowe media w pesymistycznym tonie donoszą, że „Europa się wyludnia, a Polska i inne kraje regionu znajdują się w gronie poszkodowanych". Ale należy pamiętać, że kilka krajów Starego Kontynentu ten niekorzystny trend omija szerokim łukiem. W 2022 r. najwyższy współczynnik dzietności w Unii Europejskiej (1,83) odnotowano we Francji. Wysoko, bo tuż za demograficznym podium, znalazła się Dania. Teoretycznie ta wiadomość powinna bogatych Skandynawów napawać optymizmem. Pojawia się jednak „ale", coraz bardziej spędzające sen z powiek Duńczykom.

To niewielkie skandynawskie królestwo w kwestii demograficznej boryka się z zupełnie innym problemem, zaskakującym dla niego samego. Dania należy do tych nielicznych europejskich krajów, w których od ponad 40 lat notujemy niewielki, ale stały wzrost liczby mieszkańców. Na początku tego roku królestwo miało 5,9 mln mieszkańców. Niewykluczone, że pod koniec roku przekroczone zostanie 6 mln. Demografowie są zgodni, że obecny trend zostanie zachowany także w najbliższych latach. W roku 2040 liczba mieszkańców Danii ma wynieść 6,2 mln. Wzrośnie również i tak już wysoka średnia długość życia. Portal Danmarks Statistik (dst.dk) podaje, że w marcu br. w Danii żyło 1210 osób powyżej 100. roku życia! Na papierze wygląda to optymistycznie. Ale czy wyliczenia te się sprawdzą, zależy od Dunek o innym niż biały kolorze skóry.

Imigrantki wzięły przykład

Tyle najbliższa przyszłość i statystyki. Cofnijmy się teraz do lat 70. i 80. XX w. Do bogatej i stabilnej gospodarczo Europy Zachodniej przybyły miliony migrantów z Afryki i Azji. Ich model tradycyjnie wielodzietnych rodzin transferowany był automatycznie do nowych, europejskich ojczyzn. Tak też było

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fa2369afb7

w przypadku Danii. W pierwszych latach pobytu w nowej ojczyźnie wyznające najczęściej islam kobiety z Afryki Północnej czy Bliskiego Wschodu rodziły znacznie więcej dzieci niż wyemancypowane Dunki. Ale to już historia, z roku na rok proporcje te coraz bardziej się zacierają. Tak bardzo, że od niedawna demografowie zaczęli zauważać zjawisko odwrotne: imigrantki rodzą teraz mniej dzieci niż Dunki! Duńscy socjolodzy twierdzą, że imigrantki dostosowały się do nowej rzeczywistości i zintegrowały ze społeczeństwem.

Konkret24 TVN 24 pokusił się o nietypową, ale wymowną demograficznie mapę „Odsetek niebiałych urodzeń w Europie". Na pierwszym miejscu, co nie powinno dziwić, znalazła się Francja (35%). Na drugim, co już może zaskakiwać – Bułgaria (30%). Miejsce trzecie zajęły Niemcy i Wielka Brytania (25%). Dania uplasowała się daleko. Tam urodzenia „niebiałe" stanowiły tylko 11% ogółu urodzin (w Szwecji 20%). A odsetek mieszkańców o obcych korzeniach przekroczył już w Danii 14%. My – co chyba nie dziwi – z wynikiem 1% znaleźliśmy się na końcu rankingu.

Trend, iż imigrantki rodzą mniej dzieci niż Dunki, może być jeszcze silniej zauważalny także w tym roku. Dziś rodzą one 1,40 dziecka, podczas gdy Dunki 1,60! Warto zaznaczyć, że 30 lat temu wskaźnik dzietności u imigrantek w Danii wynosił... 3,40 dziecka! Duńczycy z jednej strony cieszą się, że to, na czym tak bardzo im zależało, czyli integracja do zachodniego stylu życia, przebiega prawidłowo. Z drugiej jednak ta sama integracja może spowodować, że kraj w kwestiach demograficznych cofnie się do lat 70. i 80.

Dziś kobiety obcego pochodzenia w Danii mają inne priorytety: chcą zdobyć wykształcenie, a co za tym idzie status społeczny, wejść na rynek pracy i dopiero potem wyjść za mąż. Tak jak rdzenne Dunki.

Na spadek dzietności imigrantek wpływ ma nie tylko ich dążenie do westernizacji. Na pewno wpływa na to również mocne zahamowanie fali emigracji z Syrii do Danii. Nie należy zapominać o działaniach rządu, które przyśpieszyły rzeczoną westernizację imigrantek. Władze wprowadziły zakaz zawierania związków małżeńskich między obywatelkami/obywatelami Danii a imigrantkami/imigrantami przed 24. rokiem życia. Oznacza to, że imigrantki, chcąc nie chcąc, same musiały zadbać o wykształcenie i znalezienie odpowiedniej pracy. Zatrudnienie wśród imigrantek wzrosło także po wprowadzeniu przez Kopenhagę ustawy, że wsparcie ekonomiczne dostaną jedynie te osoby, które w ciągu roku przepracują co najmniej 225 godzin.

Diametralnie zmieniły się statystyki dotyczące edukacji (i to na wszystkich poziomach) wśród imigracji pierwszego i drugiego pokolenia. Dzieci ze środowisk imigranckich w przypadku pierwszego, XX-wiecznego pokolenia imigrantów otrzymywały niższe oceny niż duńscy rówieśnicy, nierzadko w ogóle nie kończyły szkół. W przypadku drugiego (obecnego) pokolenia sytuacja wygląda odmiennie. Potomkowie pierwszego pokolenia, zwłaszcza kobiety, częściej niż ich duńscy rówieśnicy podejmują studia.

Werdykt Jury konkursu na Prezentację Sceniczną 41. TMFS

Jury w składzie: Henryk Izydorczyk (przewodniczący) – Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych, Natalia Grzeszczyk – RMF Classic, Marlena Justyńska – Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych, Jan Tomków – Telewizja Regionalna TVT ze Zgorzelca postanowiło:

- **Tytuł Króla Łgarzy A.D. 2024**, nagrodę finansową i **„Statuetkę Kozła"** przyznać **Paulinie Potockiej z Białegostoku** (plus **Nagroda Publiczności i Statuetka „Szczupłego Andrzeja"**).
- **Drugie miejsce ex aequo** przyznać dla **Ścibora Szpaka. Doktora Absurdu z Krakowa** oraz dla **kabaretu „Klub Szyderców Bis" z Poznania.**
- **Trzecie miejsce** przyznać dla **kabaretu „A Jak!" z Krakowa.**

Wyniki konkursu na Tekst Satyryczny

Decyzją Jury Konkursu na Tekst Satyryczny 41. Ogólnopolskiego Turnieju Małych Form Satyrycznych w składzie: Agnieszka Litwin, Natalia Grzeszczyk, Artur Andrus, Filip Jaślar, Stanisław Zygmunt **pierwsze miejsce i tytuł Księcia Łgarzy**, nagrodę finansową oraz **Statuetkę „Złotego Kosy"** zdobył **Piotr Skurzyński z Redy** za tekst „Maleńka Apokalipsa".

eprasa.pl fa2369afb7

Jeden plus jeden

Dlaczego Dunki rodzą więcej dzieci niż imigrantki z Afryki czy Azji? Innym zjawiskiem, może bardziej skandynawskim niż tylko duńskim, są samodzielne matki. Dziesięć lat temu można było mówić o setkach samotnych Dunek, które dzięki sztucznemu zapłodnieniu decydowały się na macierzyństwo. Dzisiaj mówimy już o tysiącach matek (także kobiet w okolicach czterdziestki), które same wychowują dziecko. Obecnie w Danii co dziesiąte dziecko urodzone w wyniku sztucznego zapłodnienia jest wychowywane bez ojca.

Od 2007 r. Dunki mogą korzystać z dobrodziejstw bezpłatnego wspomaganego rozrodu. W kraju działa już dziesięć klinik, które zajmują się wyłącznie zapłodnieniem in vitro, a bank nasienia Cryos International z Aarhus należy do największych i najlepszych na świecie. Jak podaje Cryos International, „ok. 70% naszych klientów żyje w celibacie". Wśród nich z roku na rok przybywa starszych, dobrze wykształconych pań. Jeśli średni wiek par decydujących się na wspomaganą reprodukcję wynosi 33 lata, to wiek samotnych kobiet w takiej sytuacji już 37 lat.

Imigrantki chcą zdobyć wykształcenie i status społeczny, wejść na rynek pracy, a dopiero potem wyjść za mąż.

Jak donosi „Le Figaro", w Danii z roku na rok coraz popularniejszy staje się plan B. Tajemnicza nazwa odnosi się do kobiet, które nie są w związku z mężczyzną, z którym mogłyby założyć rodzinę. Duńscy psycholodzy… chwalą ten model rodziny. Są zgodni, że dzieci samotnych kobiet „są często znacznie bardziej stabilne emocjonalnie, a ich przygotowanie do życia w rodzinie przysparza mniej problemów niż w przypadku wychowywanych w tradycyjnych rodzinach".

Børnepenge kusi i wspiera

Wpływ na to, że Dunki decydują się na dzieci, z pewnością ma børnepenge, czyli zasiłek rodzinny. Zasady jego przyznawania są dość skomplikowane, ale osób i organizacji tłumaczących zawiłości systemu jest pod dostatkiem. Zadaniem børnepenge jest finansowe wsparcie rodziców lub opiekunów przede wszystkim w pierwszym etapie życia dziecka, kiedy jego potrzeby są największe. Aby pobierać zasiłek rodzinny, należy przebywać w Danii minimum dwa lata. Po pół roku nabywa się prawa do 25% kwoty zasiłku, po roku pobytu do połowy wysokości świadczenia, po półtora do 75% i wreszcie po dwóch latach można pobierać świadczenie w pełnej kwocie. Co ważne, dziecko nie musi mieszkać na terenie Danii.

Kwota zasiłku rodzinnego jest uzależniona nie tylko od stażu pracy rodziców, ale też od wieku dziecka. W roku 2023 dla dzieci w wieku 0-2 lata przewidziane było 4746 koron (ponad 2,7 tys. zł) na kwartał, dla dzieci w wieku 3-6 lat 3756 koron (niemal 2,2 tys. zł), dla tych w wieku 7-14 lat 2955 koron (1,7 tys. zł), a dla nastolatków, w wieku od 15 do 17 lat, 985 koron (563 zł). Dodatkowo w pierwszym kwartale tego roku rodzice otrzymali po 660 koron ekstra w ramach specjalnego podwyższenia zasiłku.

Liczba ludności Danii (oraz jej skandynawskich sąsiadów) z pewnością wzrastałaby szybciej, gdyby nie decyzja, która zapadła na początku roku. Duńskie władze (podobnie jak Norwegowie) wstrzymały bowiem tak popularne od jakiegoś czasu adopcje zagraniczne.

W Danii zezwolenie na pośrednictwo w międzynarodowych adopcjach straciła zajmująca się tym od 60 lat znana na świecie organizacja pozarządowa Danish International Adoption (DIA). W roku 2023 r. sprowadziła ona dzieci z Filipin, Indii, Tajwanu, Tajlandii i Czech. Wcześniej zaprzestano adopcji z RPA i Madagaskaru.

Powodem wprowadzenia przez władze Danii i Norwegii zakazu były doniesienia prasowe o łamaniu międzynarodowych konwencji. Norweska gazeta „Verdens Gang" opisała przypadki sprzedawania dzieci z Filipin, którym wystawiano fałszywe akty urodzenia. Z kolei duński nadawca publiczny DR Nyheder ujawnił przypadki kupowania dzieci z Madagaskaru.

Dania należy do nielicznych europejskich krajów, w których od ponad 40 lat notujemy niewielki, ale stały wzrost liczby mieszkańców.

Południe po staremu

Zmiany zachodzące w Danii nie dotykają na razie krajów południa Europy: Hiszpanii, Portugalii czy Włoch. W tych ostatnich pandemia przyczyniła się do jeszcze szybszego spadku liczby ludności. Stąd nadzieja tam, że tradycyjny sposób życia rodzin imigranckich – choć nie w stopniu, w jakim życzyłby sobie tego np. Rzym – będzie rekompensować krach demograficzny. Obecnie dane pozwalają sądzić, że to w rodzinach imigranckich rodzić się będą dzieci, które otrzymają dokumenty z napisem „Repubblica Italiana".

W 2023 r. średnia liczba dzieci przypadających we Włoszech na kobietę wyniosła 1,20. Ale warto od razu dodać, że średnia dla rdzennych Włoszek to zaledwie 1,18, a dla imigrantek – 1,87. Od lat proporcje te są mniej więcej stałe. 15 lat temu współczynnik dzietności Włoszek wynosił 1,40, a imigrantek aż 2,5. Jedynie w dwóch bogatych północnych regionach kraju, Lombardii i Piemoncie, oba współczynniki powoli zbliżają się do siebie. Tam symptomy emancypacji są najwyraźniejsze, choć do tych duńskich jeszcze sporo brakuje. Poza tym Włosi muszą liczyć na obcych.

Chrystian Ślusarczyk

eprasa.pl fa2369afb7

Kraj, który nie kwitnie

Japonia to kurcząca się populacja, brak wiary w polityków oraz zagrożenia ze strony Chin, Rosji i Korei Południowej

Mateusz Mazzini

O tym, że rdzennych Japończyków jest coraz mniej, a struktura demograficzna tego społeczeństwa coraz bardziej przypomina odwróconą piramidę, pisze się i mówi od dziesięcioleci. Stwierdzenia tego typu nie działają jednak na wyobraźnię w takim stopniu jak konkretne liczby. Na początku kwietnia na łamach brytyjskiego dziennika „Financial Times" opublikowana została statystyka dowodząca, że populacja Japonii kurczy się w tempie 100 osób na godzinę. Innymi słowy, każdy pełen obrót minutowej wskazówki na tarczy zegara przynosi o setkę więcej zgonów niż urodzeń. To już nie kryzys, lecz absolutna katastrofa.

Starych przybywa, młodych brakuje

Strat nie rekompensują migranci, na których Japonia tradycyjnie pozostawała zamknięta. A jeśli nawet ich przyjmowała, to z rezerwą, nie pozwalając na zapuszczenie korzeni, skazując na marginalizację w społeczeństwie i na rynku pracy. Będąc gaijinem, człowiekiem spoza Japonii, wyróżniającym się innymi cechami etnicznymi, wielu rzeczy zwyczajnie nie dało się osiągnąć. Niektórzy twierdzą, że słowo gaijin, oficjalnie oznaczające po prostu obcokrajowca, jest nacechowane pejoratywnie i przepełnione pogardą dla obcych.

Według danych japońskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych liczba osób mieszkających w kraju w 2023 r. skurczyła się rok do roku o 595 tys. W te statystyki wlicza się zarówno migrantów tymczasowych, jak i gaijinów z prawem stałego pobytu, a nawet zagranicznych studentów i uczniów na wymianach edukacyjnych. Wszystkie te grupy z roku na rok się powiększają, ale żadna nie jest na tyle liczna, by w końcowym rozrachunku cokolwiek w bilansie demograficznym zmienić. Japonia się wyludnia, wymiera, pustoszeje – można używać dowolnych określeń, ale problemu to nie zmienia.

Negatywny trend trwa nieprzerwanie od 2008 r., kiedy słupek populacyjny osiągnął szczyt na poziomie 128 mln. Od tego czasu Japończyków jest mniej o ponad 3 mln. To tak, jakby z mapy wymazano miasto wielkości Warszawy z jej aglomeracyjnymi przyległościami. W gigantycznych metropoliach Japonii ten odpływ nie jest może aż tak widoczny, ale na prowincji jak najbardziej. Nadav Eyal, jeden z najlepszych współczesnych izraelskich reportażystów, autor wydanej również w Polsce książki „Rewolta", traktującej o końcu ery globalizacji i prądach społecznych tworzących nowy porządek światowy, opisał wioski w japońskim interiorze, w których pozostało już tylko kilkoro wiekowych mieszkańców. W innych przyjście na świat każdego noworodka fetowane jest niczym narodziny bóstwa, bo dzieci rodzi się tam kilkoro rocznie, a zdarzały się lata, pisał Eyal, kiedy narodzin nie było w ogóle. To oczywiście anegdoty, ale ilustrują

eprasa.pl fa2369afb7

powszechne zjawisko: starych przybywa, młodych brakuje.

Przyczyn tego stanu rzeczy jest kilka, lecz nie trzeba wcale grzebać w zbiorowej psychice Japończyków, żeby je znaleźć. Przyjęło się mówić, że to społeczeństwo dalekie od równouprawnienia, w którym obowiązuje tradycyjny, zhierarchizowany podział ról płciowych. Ma to odzwierciedlenie w danych, bo według rankingu World Economic Forum, think tanku działającego przy Światowym Forum Ekonomicznym w Davos, Japonia znajduje się dopiero na 125. miejscu pod względem równości płci w społeczeństwie. Dla porównania – zdecydowana większość państw europejskich mieści się w czołowej osiemdziesiątce zestawienia, a Kraj Kwitnącej Wiśni przegrywa nawet ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Japonki mają gorszy od swoich kolegów czy partnerów dostęp do niemal wszystkiego: edukacji, studiów na uniwersytecie, stanowisk kierowniczych, polityki, a nawet opieki zdrowotnej. Kwestia wykształcenia wypada relatywnie najlepiej, bo to najwyższy pojedynczy wskaźnik, plasujący Japonię na 47. miejscu globalnie, ale i tu tendencja jest spadkowa.

Na pozostałe obszary życia nawet nie ma co patrzeć. Pod względem partycypacji politycznej i proporcji płciowych na wybieralnych w demokratycznym głosowaniu stanowiskach Japończycy szorują po dnie, zajmując 138. miejsce na 146 notowanych państw.

Małżeństwo przede wszystkim

Wszystkie te formy wykluczenia składają się na obraz społeczeństwa, które coraz szybciej pędzi ku przepaści. Do czynników tradycyjnych czy kulturowych dochodzą kwestie ekonomiczne, które zwłaszcza w ostatnich latach stały się głównym źródłem niepokoju młodych Japończyków. I to mimo niesamowicie szerokiego wachlarza teoretycznie prorodzinnych polityk wdrożonych w poprzednich latach. Ostatni rozdział tej epopei zaprezentowano w marcu ub.r., kiedy minister ds. rodziny Masanobu Ogura stwierdził, że to „ostatni moment", żeby uratować japońską populację przed powolnym wymieraniem. Zabrzmiało to tyleż dramatycznie, co pusto, bo podobnych apeli politycy w ostatnich dekadach wystosowali dziesiątki. Minister zapowiedział ambitną reformę prawa pracy, łatwiejszy dostęp do urlopów macierzyńskich, lepsze możliwości dla ojców chcących zostać w domu z dziećmi, a nawet korzystniejsze warunki spłacania pożyczek na studia, żeby kobiety były lepiej wykształcone, skuteczniejsze na rynku pracy i dzięki temu mniej obawiały się o przyszłość finansową w przypadku zajścia w ciążę. Wcześniej uruchomiono spore środki na popularyzację idei posiadania dzieci.

Od 2008 r., kiedy słupek populacyjny osiągnął szczyt na poziomie 128 mln, Japończyków jest mniej o ponad 3 mln.

Rząd obecnego premiera Fumia Kishidy wprowadził m.in. bezpośrednie transfery pieniężne w wysokości ok. 300 dol. miesięcznie dla każdej ciężarnej kobiety. Wypłata środków jest oczywiście uwarunkowana zarejestrowaniem ciąży w placówce samorządu lokalnego oraz regularnymi spotkaniami z położną wyznaczoną przez gminę. Gdyby ciąża okazała się mnoga, wsparcie finansowe urośnie. Do tego doszły bony na żłobki, dopłaty do kosztów porodu w szpitalu i ogólnej opieki okołoporodowej. Wygląda imponująco, problem w tym, że absolutnie nic to nie dało.

Według statystyk Międzynarodowej Organizacji Pracy (ILO) niemal 40% Japończyków pracuje w tej chwili na kontraktach godzinowych, nieregulowanych lub w ramach formy zatrudnienia, którą w Polsce nazwano by umową śmieciową. Oznacza to, że do korzyści wprowadzonych przez Kishidę i tak nie mają dostępu. Poza tym, nawet jeśli w trakcie ciąży lub chwilę po niej państwo będzie w stanie jakoś pomóc, to już na późniejszych etapach rozwoju dziecka, a przede wszystkim bycia rodzicem, sytuacja się pogarsza.

Wreszcie nikt nie mówi tego głośno i wyraźnie, ale we wszystkich instrumentach polityki publicznej zaszyty jest cichy wymóg, który japońska kultura i klasa polityczna wciąż próbują narzucić, a którego młodzi spełniać nie chcą. Tym wymogiem jest małżeństwo, bo władze w Tokio promują głównie macierzyństwo w sformalizowanych związkach. Jak niedawno na łamach „Financial Timesa" zauważyła korespondentka tego dziennika w Tokio, Kana Inagaki, młodsze pokolenia Japończyków nie wydają na świat potomstwa, bo nie chcą brać ślubu, zakładać rodzin i żyć w tradycyjnych komórkach społecznych. Nie zawsze jest to sprzeciw wobec samej idei macierzyństwa, ale często na bezdzietności się kończy, bo w Japonii to wciąż system naczyń połączonych.

Nie ma wzrostu bez przyrostu

Bez odpowiedniego przyrostu naturalnego Japończycy muszą szukać siły roboczej poza granicami kraju. To zaś nie przychodzi im łatwo, bo nie są społeczeństwem o tradycjach imigracyjnych, a osoby z innych kultur mogą mieć sporo kłopotów ze zrozumieniem jego specyfiki. Deficyt rąk do pracy dotyka wszystkie sektory gospodarki, od wysoko wykwalifikowanych specjalistów w nowych technologiach po nauczycieli, lekarzy, nawet prawników.

W ostatnich miesiącach Japończycy zorientowali się jednak, że istnieje obszar, w którym pustki w centrach rekrutacyjnych mogą zaboleć najbardziej – to szeroko pojmowany sektor bezpieczeństwa i obronności. Japonia nie ma armii w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, a jedynie tzw. siły samoobrony. To oczywiście spuścizna II wojny światowej i związanej z nią zbiorowej traumy oraz narzuconej głównie przez Amerykanów demilitaryzacji, ale takie podejście coraz mniej przystaje do bieżących warunków geopolitycznych. Japonia wbrew pozorom jest w bardzo nieciekawym położeniu, również dlatego, że była jednym z największych beneficjentów powojennego liberalnego porządku

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fa2369afb7

na arenie międzynarodowej. Póki świat podzielony był na dwa stabilne obozy ideologiczne, ruchy zarówno partnerów, jak i przeciwników wydawały się przynajmniej przewidywalne. Parasol ochronny roztoczony przez Biały Dom oznaczał, że w razie czego Amerykanie będą bronić japońskich wysp, chociaż bezpośrednia eskalacja była mało prawdopodobna. Szantaż nuklearny stanowił mimo wszystko bardzo skuteczny element odstraszający.

W 2024 r. rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, co ciekawie rozłożył na czynniki pierwsze w magazynie „Foreign Affairs" Ian Bremmer, założyciel firmy doradczej Eurasia Group. Japończykom bezpośrednio zagraża Kim Dzong Un, coraz bardziej nieprzewidywalny i jednocześnie zachłanny, jeśli chodzi o rozwój technologii nuklearnych. Jeśli patrzeć nieco szerzej, na horyzoncie pojawia się ryzyko chińskiej inwazji na Tajwan, której Xi Jinping nigdy formalnie nie wykluczył. Wręcz przeciwnie, niebawem sam stworzy sobie do niej pretekst. W 2027 r. przypada 100. rocznica powstania Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, a według wielu znawców tamtejszego reżimu nie będzie można w pełni celebrować 100-lecia bez ponownego przyłączenia zbuntowanej wyspy do reszty kraju. Japonia nie byłaby bezpośrednio zaangażowana w ten konflikt, ale odczułaby go zwłaszcza gospodarczo i logistycznie, jako główna baza sił amerykańskich stacjonujących w tej części świata. Dlatego, jak zauważa Aaron Magunna z prestiżowego australijskiego think tanku Lowy Institute, japońskie

Na obronność Japonia wydaje ledwie 0,96% PKB.

(podobnie jak koreańskie) firmy coraz więcej zasobów inwestują w tzw. decoupling, czyli rozłączenie ich łańcuchów produkcyjnych i minimalizowanie zależności gospodarczych, zwłaszcza od partnerów z Chin.

A może armia?

Problem w tym, że nawet jeśli Japończycy oddalą się od Chińczyków, to nie za bardzo mają do kogo uciekać. Teoretycznie naturalnym krokiem w obliczu ekspansywności Chin, machania szabelką przez Koreę Północną i rosyjskiego imperializmu powinno być zbliżenie ze Stanami Zjednoczonymi. Ale ono nie jest dziś takie pewne, bo, jak zauważył Martin Wolf, felietonista „Financial Timesa" zajmujący się sprawami międzynarodowymi, Tokio z dużym niepokojem przygląda się amerykańskiej kampanii prezydenckiej. Powrót Donalda Trumpa do Białego Domu zapewne wymusiłby bardziej izolacjonistyczny kurs w polityce zagranicznej Waszyngtonu i nie bez znaczenia są tu groźby byłego prezydenta pod adresem partnerów z NATO. Japonia oczywiście do sojuszu nie należy, ale ma to znaczenie tylko proceduralne. Bo, jak zauważa Wolf, skoro Trump wysyła sprzeczne sygnały dotyczące respektowania umów sojuszniczych, kto wie, jak stabilne są gwarancje bezpieczeństwa, które Japończykom dają Amerykanie. Być może czas pomyśleć o własnej armii, a nawet o własnym programie nuklearnym? Na ten ostatni temat mnożą się spekulacje, niektórzy eksperci mówią, że w Tokio byliby gotowi z własną technologią jądrową w sześć miesięcy, inni zakładają nawet sześć tygodni. Japonia jest wprawdzie od siedmiu lat zaangażowana w format QUAD, dialog na temat bezpieczeństwa z udziałem USA, Indii i Australii, ale to głównie instrument dyplomacji, a nie realnych działań militarnych.

Jeśli jednak program nuklearny to zbyt wiele, to może własna, profesjonalna armia? To wydaje się bardziej realne i politycznie mniej kontrowersyjne. Problem w tym, że nie miałby kto w niej służyć. Już teraz Japonia ma ogromny kłopot z rekrutowaniem i szkoleniem odpowiedniej liczby osób do sił samoobrony. W ubiegłym roku według informacji portalu Japan Times było w tej formacji 16 tys. wakatów. Finansowo też nie jest najlepiej, bo na obronność idzie ledwie 0,96% PKB.

W ten sposób kraj powoli zaczyna zjadać własny ogon. Chce bronić swoich obywateli, ale nie ma do tego zasobów – zwłaszcza ludzkich. Znajduje się w momencie historycznym, który być może zaważy na przyszłości tego narodu, ale wciąż wszyscy są tu przywiązani do dawnych sposobów radzenia sobie z problemami. Są w Japonii osoby, które twierdzą, że to miejsce nie ma przyszłości, tylko przeszłość. I jak tu z nimi polemizować?

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2369afb7

Żyd – obcy konstytuujący polskość

Antysemityzm jest Polakom potrzebny, dzięki niemu odtwarza się ich świat

Lech M. Nijakowski

Zdefiniujmy antysemityzm jako zjawisko mocnej niechęci i wrogości do Żydów. Stosunek do Żydów w Polsce jest odwzorowaniem nie rzeczywistych relacji, ale fantazmatycznych wyobrażeń (pisał o tym szeroko i ciekawie choćby Andrzej Leder w książce „Prześniona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej"). Wielu autorów opisywało nasz stosunek do tej grupy. Badania społeczne (np. komunikaty CBOS dostępne za darmo w sieci) pokazują, że nasze relacje są oparte nie na rzeczywistości, ale na mitach, które podtrzymują naszą tożsamość. Stosunek do Żydów poprawił się, ale czy to rzeczywiście osoby, które znamy? Raczej mówimy ankieterowi to, co ma dowieść naszej biegłości. A wiemy bardzo mało.

Antysemityzm nowoczesny

Helena Datner w pracy sygnowanej przez Ireneusza Krzemińskiego („Struktura i wyznaczniki postaw antysemickich") wprowadziła dwie kategorie: tradycyjny antyjudaizm (antysemityzm religijny) i nowoczesny antysemityzm. Pierwszy jest nienawiścią opartą na religii, drugi opiera się na nowoczesnych mitach, w które Polacy cały czas wierzą.

Jak podkreśla Ireneusz Krzemiński, od 1992 r. do 2002 r. nie tylko wzrosły odsetki antysemityzmu nowoczesnego (z 17% do 27%), ale też pojawiły się takie postawy jak ksenofobia, a więc niechęć do wszystkich innych grup narodowo-etnicznych. Nowoczesny anty-antysemityzm wyniósł 21% w 2012 r. (16% – 2002 r.), tradycyjny anty-antysemityzm – 45% w 2012 r. (35% w 2002 r.).

W pierwszym przypadku mówi się o winie za śmierć Jezusa – i choć to kuriozalna wiara, motywowała wielu do wrogiego działania. W drugim przypadku chodzi o różne ideologiczne wyobrażenia, w tym niechęć do Żyda plutokraty, który wyzyskuje chrześcijańskich robotników. Nie chodzi tu o poświadczone danymi teorie, ale o ideologiczne wyobrażenia. W tym kuriozalną wiarę, że Żydzi popierają komunizm.

> W Polsce była liczna diaspora, ale wbrew powszechnym przekonaniom płonęły stosy i Polacy wykazywali postawy antysemickie.

Nie zamierzam nikogo rozgrzeszać, często jednak postawy takie są wynikiem nie krytycznego namysłu danej osoby, ale czynników od niej niezależnych, np. stygmatyzującego języka, który uczy nienawiści. W Polsce są to tzw. żarty, którym poświęcone są całe pisma. Indywidualne i zbiorowe postawy są zatem indukowane często przez czynniki niezależne, atakują człowieka bez udziału jego świadomości. Dlatego dziś dba się o język, wprowadzając do polskiego słownika np. kategorię „mowa nienawiści", która nie występuje w polskim Kodeksie karnym, choć można znaleźć artykuły, które mówią o tym zjawisku.

Widzimy, że przez lata na niechęci do Żydów budowano tożsamości i społeczeństwa. Nowoczesność nie była czasem pokoju, ale przyniosła nowe formy niechęci etniczno-narodowych. Tę wizję wspierały ideologie, które były teorią dla słabeuszy intelektualnych i do dzisiaj zadowalają ludzi. Oczywiście istniał nacjonalizm liberalny. Ale najczęściej rozwijał się dzięki ksenofobii i uprzedzeniom. Antysemityzm pozwalał wielu osobom zaistnieć. Dzięki tej ideologii ludzie mogli spełnić swoje marzenia. Także w Polsce, nawet obecnie kandydują tacy nienawistnicy.

Ważne jest to, że choć jego postać się zmienia, antysemityzm nadal może głęboko zapuścić korzenie w człowieku. Tak jest w Polsce, gdy nadal powtarza się głupoty, które nie mają żadnego uzasadnienia, ale są ważne dla postawy ideologicznej.

Badania społeczne

Trzeba pamiętać, że stereotyp jest pewną wiedzą (wybrakowaną, jak nazwa wskazuje), a uprzedzenie jest postawą, która ma komponent poznawczy (najczęściej stereotyp), emocjonalny i behawioralny (jak się zachowujemy). Nawet mając bardzo złe wyobrażenie o pewnym narodzie i mając do niego negatywny stosunek, możemy nie podejmować negatywnych działań.

Badania pokazują, że stosunek do Żydów poprawiał się w III Rzeczypospolitej. Ale moim zdaniem ludzie po prostu nauczyli się nie mówić o swoich uprzedzeniach. Tym samym

eprasa.pl fa2369afb7

wyniki tych badań są jeszcze mniej przydatne.

Badania CBOS z 2023 r. („Stosunek do innych narodów rok po wybuchu wojny na Ukrainie") tradycyjnie pokazują, że bardzo lubimy Amerykanów (otwierają ranking: 68% sympatia, 21% obojętność, 6% niechęć, 4% trudno powiedzieć), a najmniej Rosjan (odpowiednio: 6%, 8%, 82%, 3%), co w tym przypadku było związane z kontekstem wojennym. 32% deklaruje sympatię do Żydów, 31% obojętność, 29% niechęć, 8% trudno powiedzieć (odsetki mogą nie sumować się do 100 ze względu na zaokrąglanie do pełnych jednostek). Do Żydów niechęć deklarowana jest rzadziej niż sympatia. Również w ich przypadku pozytywne nastawienie w niewielkim stopniu przeważa nad negatywnym. Zmiany sympatii do Żydów (od 1993 r.) to: 15%, 17%, 25%, 26%, 28%, 19%, 19%, 19%, 23%, 21%, 18%, 20%, 20%, 23%, 34%, 31%, 31%, 33%, 28%, 29%, 28%, 23%, 37%, 24%, 31%, 30%, 38%, 34%, 32%.

Z tego samego roku pochodzą inne badania CBOS, które warto zacytować („Wiedza o powstaniu w getcie warszawskim i jego znaczenie 80 lat po wybuchu"). Pokazują, że o powstaniu w getcie słyszała ogromna większość badanych (89%), natomiast jedna dziewiąta (11%) nie wie o tym wydarzeniu. Dodajmy, że pewna grupa Polaków nie wie o wydarzeniach, które uznajemy za kanoniczne. Ów ogromny odsetek pokazuje, jak ważne dla pamięci jest to powstanie.

O stosunku do historii można by zresztą napisać osobny artykuł, bo to w relacjach polsko-żydowskich bardzo ważny temat. Ważne są różne „miejsca pamięci" (*lieux de mémoire*; to pojęcie Pierre'a Nory), ale także narracja historyczna, która rozwijana jest przez różne strony. Ciekawie o tym zjawisku pisano w odniesieniu do filmów i innych zjawisk kulturowych. Można w nich prześledzić stosunek jednego narodu do drugiego. Polacy chcą coś osiągnąć, choć nie mieli odwagi wcześniej aktywnie i słusznie działać (polecam bardzo ciekawy tekst Piotra Foreckiego „»Pokłosie«, poGrossie i kibice polskości", „Studia Litteraria et Historica" 2013, nr 2, s. 211-235).

Ciekawy jest np. stosunek do byłego obozu Auschwitz-Birkenau. Polecam badanie CBOS z 2020 r. („Auschwitz-Birkenau w pamięci zbiorowej – 75 lat po wyzwoleniu"). W opinii ponad siedmiu na dziesięciu badanych (71%) pamięć o byłym obozie ma obecnie uniwersalne znaczenie – jest ważna dla każdego człowieka, całego świata. 10% uważa pamięć o tym obozie za istotną głównie dla Polaków, a 8% – dla osób, które były tam więzione lub doświadczyły innych prześladowań w czasie II wojny światowej, oraz dla rodzin ofiar. Nieco mniej, bo 6%, podkreśla znaczenie pamięci o Auschwitz dla starszego pokolenia, które pamięta wojnę. Relatywnie niewielu uważa, że jest ona istotna przede wszystkim dla Żydów (2%) lub młodych, powojennych pokoleń (2%). To świadczy o tym, że Polacy nie znają składu więźniów i powielają stare wyobrażenia, które dyskryminowały Żydów. Spór o ten były obóz jest zresztą ważnym wymiarem konfliktu (polecam bardzo dobrą książkę: Marek Kucia, „Auschwitz jako fakt społeczny. Historia, współczesność i świadomość społeczna KL Auschwitz w Polsce"). Można wiele się dowiedzieć, zadając z pozoru pytania o historię. Niewiedza historyczna nie jest wtedy przeszkodą, badamy bowiem postawy.

Powstaje uniwersalny problem, co pokazują badania społeczne. Nie jest to przecież rzetelna wiedza. Respondenci najczęściej wiedzą bardzo mało. Tak też jest w przypadku Żydów. Mamy tu zatem obraz postaw, który można wydobyć z danych, odpowiednio je interpretując. Nikłą wiedzę respondentów widać po deklarowanym stosunku do narodów, które po prostu nie istnieją. A respondenci i tak mają swoje zdanie.

Żydzi i Polacy w historii

W Polsce istniała liczna diaspora, o której Polacy mówią, wskazując „odwieczną polską tolerancję". Ale wbrew powszechnym przekonaniom na ziemiach polskich płonęły stosy i Polacy wykazywali postawy antysemickie.

W Polsce mamy do czynienia ze szczególną drogą do nowoczesności, z którą wiązał się antysemityzm. Alina Cała napisała o tym drobiazgowo w książce „Asymilacja Żydów w Królestwie Polskim (1864-1897)". Są tu zjawiska ogólne, które charakteryzowały ludzi w całej Europie, jak i polska specyfika, która wyrażała się także w formie nienawiści.

W naszym kraju dominowały poglądy, które kazały np. przenosić wyobrażenia stanowe na współczesność. Warto polecić książkę Aleksandra Hertza „Żydzi w kulturze polskiej". Wielu Polaków stosowało stare wyobrażenia antysemickie, które pozwalały im poczuć się lepiej. Stwarzały one pozór głębokiego poznania historii. Dzięki tym wyobrażeniom do dziś buduje się polskość.

Kres obecności licznej mniejszości żydowskiej w Polsce położyła zwłaszcza II wojna światowa, gdy doszło do ludobójstwa Żydów. Jan Tomasz Gross pisał o różnych polskich okrucieństwach, ale to Niemcy przeprowadzili ludobójstwo, które pokazuje także masową niechęć Europejczyków do Żydów. Można je dogłębnie charakteryzować, pewnie niektórzy Polacy mu przyklasnęli (pokazują to dokumenty), ale nie było to polskie działanie.

Polską historię można by szczegółowo zinterpretować. Nie mamy na to miejsca. Chodzi o to, że historia Polski – jak w każdym kraju – jest pewnym konstruktem, który tworzy się w szkole. Duże znaczenie mają np. kolorowe mapy w podręcznikach. Nie chodzi tu o obiektywną wiedzę o przeszłości, ale o coś, co wspiera naszą tożsamość.

Oczywiście w PRL były przykłady antysemityzmu (przywołam choćby działania Władysława Gomułki). Zresztą nie był to w całej rozciągłości ustrój internacjonalistyczny – wbrew

Często postawy są wynikiem nie krytycznego namysłu danej osoby, ale czynników od niej niezależnych, np. stygmatyzującego języka, który uczy nienawiści.

eprasa.pl fa2369afb7

deklaracjom – ale bardzo nacjonalistyczny. Za sprawą wymordowania mniejszości i oderwania od Polski różnych terytoriów powstało „państwo jednego narodu", które kultywowało swoje mity. Teraz mamy antysemityzm bez Żydów. Widać to choćby wtedy, gdy respondenci przeszacowują liczbę mniejszości żydowskiej. To zresztą ciekawy wgląd w umysł badanych.

Żydzi i Palestyńczycy

Dziś często okazją do wyrażania niechęci do Żydów jest postępowanie Państwa Izrael wobec Palestyńczyków. Tej sprawie jest zresztą poświęcona niedawno wydana w Polsce książka izraelskiego psychologa Daniela Bar-Tala „Złudzenia niszczące życie. O konflikcie państwa izraelskiego z Palestyńczykami".

To w ogóle ciekawa kwestia – państwa, które kultywują pamięć ludobójstwa. Nie tylko przecież Izrael – Armenia kultywuje pamięć ludobójstwa Ormian i prowadziła wojnę o Górski Karabach z Azerbejdżanem. Z jednej strony, państwa te upamiętniają trudną przeszłość (np. z Izraela do Polski, do byłych obozów koncentracyjnych i zagłady, jeździ młodzież, co często się komentuje), z drugiej – roszczą sobie szczególne prawa do postępowania współcześnie.

Niejednokrotnie zdjęcia głodujących dzieci palestyńskich (publikowane np. przez UNICEF) skłaniają nie do datków, ale do kultywowania niechęci narodowościowej. Cierpienie czemuś służy i to jest znana inżynieria społeczna, którą ukrywa się pod dobrymi intencjami. Niechęć do Żydów wykorzystuje każdą okazję, by kultywować nienawiść.

Taka operacja jest bardzo częsta, również w Polsce. Interpretuje się relacje międzynarodowe przez pryzmat uprzedzeń etnicznych. Dotyczy to zresztą różnych narodów. Można krytykować Państwo Izrael za stosunek do cywilów palestyńskich, ale czynienie tego okazją do kultywowania antysemityzmu jest ohydne. A nieraz tak się robi.

Mamy zatem do czynienia ze zjawiskiem częstym w państwach narodowych – wydarzenia międzynarodowe wykorzystywane są po to, aby kultywować narodowe mity. Tak jest z konfliktem w Izraelu, który często komentują Polacy. Chodzi nie o bezsporną krzywdę Palestyńczyków, ale o odgrywanie niechęci do Żydów.

Pogromy i Żydzi w Polsce dziś

Historycy pokazali, że było wiele pogromów antyżydowskich. Wszystkie miały kuriozalne przyczyny, tak jak pogrom w Kielcach (4 lipca 1946 r.), o który kontrfaktycznie oskarżano służby sowieckie. Zawsze winni są inni albo same ofiary, co widać w uzasadnieniu wszystkich pogromów.

Na ten temat powstało już wiele tekstów. Uwagę zwraca, że ludzie wierzyli w dziwaczne teorie spiskowe, np. kuriozalne legendy o krwi (czyli w mordowanie dzieci, żeby wytworzyć macę; napisała o tym książkę Joanna Tokarska-Bakir: „Legendy o krwi. Antropologia przesądu"). Nadal zresztą wierzy się w nie. Ta wiara pokazuje pewną prawidłowość, kuriozalne poglądy są także interesujące socjologicznie. Demonizowanie Żydów wpisuje się w europejską kulturę, nawet jeśli pewnych poglądów nie wypada już powtarzać.

Żydzi są tradycyjnym kozłem ofiarnym. To kategoria naukowa, a nie klisza ideologiczna. Ciekawie o tej teorii napisał Peter Glick („Jagnięta ofiarne w wilczym przebraniu. Zawistne uprzedzenia, ideologia i czynienie z Żydów kozłów ofiarnych", przeł. Anna Czarna, w: Leonard S. Newman, Ralph Erber (red.), „Zrozumieć Zagładę. Społeczna psychologia Holokaustu"). Ważne, że to teoria uwzględniająca najnowsze ustalenia naukowe, a nie tylko publicystyczny tekst (polecam zresztą całą przywołaną książkę).

Żydzi są dzisiaj w Polsce małą mniejszością narodową. Dotyczy ich specjalna ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym. Nie przeszkadza to nienawistnikom kultywować niechęci, nawet polski pogrom w Jedwabnem jest okazją do rozwijania uprzedzeń do Żydów.

Niewielka liczba nie ma znaczenia, nadal oskarża się Żydów o wszelkie zbrodnie, czasami są to dziwaczne teorie spiskowe, powtarzane bez oporu. Ważne, aby obok niechęci dostrzegać głębokie zależności. Żydzi są cały czas Polakom potrzebni, m.in. dzięki nim konstruuje się polską tożsamość narodową. Chodzi nie tylko o odróżnienie się od nielubianej grupy, ale też o takie zdefiniowanie polskości, które wspiera określone interesy.

Za sprawą wymordowania mniejszości i oderwania od Polski różnych terytoriów powstało „państwo jednego narodu", które kultywowało swoje mity.

Analiza dyskursu traktuje o tym szczegółowo, polecam choćby książkę Ruth Wodak, Rudolfa de Cillii, Martina Reisigla i Karin Liebhart „The Discursive Construction of National Identity" (nie ma polskiego tłumaczenia). Chodzi o pewną wspólnotę wyobrażoną, ale także o interesy, które mają mówcy. Idzie przy tym nie tylko o pismo, ale o wszelkie znaki, które pozwalają rozwijać dyskurs, czyli np. popularne teraz memy, które stały się osobnym gatunkiem.

Żyd jest zatem figurą szczególną, która służy reprodukcji polskości. Jest to tak mała mniejszość, że muszą być inne powody antysemityzmu. Żyd jest obcym uogólnionym, wzorem dla wszystkich obcych. Dzięki takiej jego konstrukcji możemy w określony sposób stworzyć Polaka, który np. pomagał ukrywającym się Żydom w czasie II wojny światowej.

Uprzedzenia wobec Żydów wskazują na głębszą zależność. Chodzi o stworzenie określonego Polaka (pomagającego słabym itd.). Prawda nie jest ważna, znaczenie ma świat fantazmatyczny, który decyduje o życiu społecznym. Antysemityzm jest Polakom potrzebny, dzięki niemu odtwarza się ich świat.

Dr hab. Lech M. Nijakowski jest socjologiem i filozofem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Jako naukowiec, publicysta i działacz lewicowy zajmuje się m.in. mniejszościami narodowymi, mową nienawiści, filozofią wojny i ludobójstwem

eprasa.pl fa2369afb7

Masakra pod Reichstagiem

Bitwa o Berlin to ponad 120 tys. zabitych i kilkaset tysięcy rannych

Łukasz Jastrząb,
Krzysztof Wasilewski

„Naziści szli na nas niczym fanatycy – z absolutną pogardą dla śmierci. Jednemu z tych z Hitlerjugend oderwało nogę. Krwawiła obficie, ale on nie przestawał do nas strzelać", wspominał uczestnik walki o Berlin.

Przedpiekle

Jednak niemiecki opór zaczął się daleko przed Berlinem. O tym, że marsz na stolicę III Rzeszy będzie dłuższy i krwawszy, niż przypuszczano, żołnierze 1. Frontu Białoruskiego mogli się przekonać już podczas pierwszych prób forsowania Odry. Przedsmak tego, co ich czeka, poczuli w Kostrzynie, którego zdobycie otwierało „bramę do Berlina".

Dowódca twierdzy, kat powstania warszawskiego Heinz Reinefarth, nakazał SS rozstrzeliwać każdego, kto nie będzie chciał bronić miasta do końca. Rozkaz ten egzekwowano jeszcze kilka godzin przed wkroczeniem Rosjan, choć sam Reinefarth z częścią żołnierzy opuścił twierdzę wcześniej. Nic więc dziwnego, że walki o Kostrzyn trwały aż dwa tygodnie, a straty po radzieckiej stronie sięgnęły 5 tys. zabitych i 15 tys. rannych. Spośród obrońców zginęło również 5 tys. żołnierzy, a 6 tys. dostało się do niewoli.

„Jedna z takich kompanii straciła 90% stanu w ataku na budynek podnośnika kubełkowego. Inna zaczynała walki w sile 150 ludzi, a skończyła, mając na stanie zaledwie 15", pisał w raporcie z kwietnia 1945 r. kreisleiter Hermann Körner. O apokaliptycznych nastrojach wśród obrońców Kostrzyna opowiadał niemiecki szeregowiec, który widział, jak miejscowy lekarz i pielęgniarka popełnili samobójstwo na wieść o upadku twierdzy.

Utrata Kostrzyna nie osłabiła oporu Niemców. Wręcz przeciwnie. Plotka, że czerwonoarmiści nie biorą jeńców, podziałała mobilizująco nawet na najbardziej zrezygnowanych. Jak pisze Tony Le Tissier, autor książki „Kostrzyn 1945. Przedpiekle Berlina", „piloci samobójcy Luftwaffe dokonali ok. 30 nalotów na sowieckie mosty na Odrze przy użyciu zestawów Mistel. 17 kwietnia podano, że zniszczyli 17 obiektów, w tym jeden most kolejowy w Kostrzynie, tracąc przy tym 22 pilotów".

Zachowanie Armii Czerwonej na podbitych terenach było różne. Według brytyjskiego historyka Antony'ego Beevora, „jeżeli żołnierze radzieccy zajęli jakąś wioskę i znaleźli w domu mundury SA czy swastyki, zabijali wszystkich. Zdarzały się jednak i takie sytuacje, że mieszkańcy wiosek zajętych przez czerwonoarmistów i później odbitych w kontratakach przez Niemców nie mieli nic złego do powiedzenia na temat radzieckich żołnierzy".

Twierdza Berlin

16 kwietnia 1945 r. oddziały Armii Czerwonej i Wojska Polskiego dotarły w pobliże wzgórz Seelow, skąd rozpoczęły atak na Berlin. Ich przewaga nad niemieckimi obrońcami była miażdżąca. W całej operacji brandenburskiej uczestniczyło niemal 2,5 mln żołnierzy 1. Frontu Białoruskiego i 1. Frontu Ukraińskiego, wspomaganych przez 180 tys. Polaków wchodzących w skład 1. i 2. Armii Wojska Polskiego. Siły niemieckie natomiast szacowano na kilkaset tysięcy. Samego zaś Berlina miało bronić zaledwie 90 tys. ludzi, z czego 40 tys. stanowiły oddziały Hitlerjugend i Volkssturmu.

Mimo tych dysproporcji sytuacja Niemców nie była beznadziejna. Zapasy amunicji i żywności wystarczyłyby na wytrzymanie nawet kilkutygodniowego oblężenia. Poza tym obcy teren oraz sama specyfika walk w mieście skutecznie niwelowały przewagę liczebną atakujących. Nie bez znaczenia była także świadomość obrońców, że razem z nimi w stolicy znajdował się wódz Adolf Hitler. Obecność Führera mobilizowała do oporu.

Niepomny doświadczeń z Kostrzyna marsz. Żukow planował szybkie przebicie się przez formacje obronne i zdobycie niemieckiej stolicy najpóźniej do końca kwietnia. Zresztą nie miał dużego pola manewru. Taki termin wyznaczył sam Stalin, nakazując dowódcom: „Berlin powinien być zdobyty w jak najkrótszym czasie. (…) Operację należy rozpocząć nie później niż 16 kwietnia i zakończyć w ciągu 12-15 dni". Zwycięstwo miało być prezentem na święto 1 Maja.

Robiąc dobrą minę do złej gry, dowódca 1. Frontu Białoruskiego demonstrował swoją pewność m.in. poprzez jazdę samochodem z włączonymi reflektorami, mimo ostrzału artyleryjskiego. Żukow omal nie przypłacił tej dezynwoltury życiem, kiedy niemieckie pociski trafiły dwie sztabowe ciężarówki. Szybko też musiał zweryfikować swoje plany błyskawicznego zdobycia Berlina.

„Niemcy walczyli z olbrzymią determinacją, a my ponieśliśmy znaczne straty – wspominał pierwsze godziny natarcia kpt. Anatolij Mierieszko. – Nasz plan przewidywał frontalne uderzenie na nieprzyjaciela i zmiażdżenie jego sił zgromadzonych nad Odrą w ciągu jednego dnia. Okazało się jednak, że złamanie oporu Niemców zajęło nam trzy kolejne dni ciężkich walk".

eprasa.pl fa2369afb7

Walki na ulicach Berlina, kwiecień 1945 r.

Radzieckie rozpoznanie zawodziło w trakcie całej ofensywy zimowej. Sztab Armii Czerwonej był skazany na nieaktualne mapy, na których rzadko kiedy wskazywano prawidłowe rozmieszczenie wojsk wroga. Nie inaczej było na przedmieściach Berlina. Wbrew bowiem sztuce wojennej dowódca Grupy Armii „Wisła" gen. Gotthard Heinrici umieścił swoje główne siły za wzgórzami Seelow, o czym atakujący nie mieli pojęcia. Dzięki temu niemieckie jednostki pozostały poza zasięgiem artylerii.

Zarządzony przez Żukowa frontalny atak napotkał więc niespodziewany opór. „Jeszcze nigdy nie widziałem tylu martwych ciał, ile leżało na wzgórzach Seelow – pisał por. Stefan Doernberg z 8. Armii Gwardyjskiej. – Na tym niewielkim skrawku ziemi śmierć poniosło wiele tysięcy radzieckich żołnierzy. A najstraszliwszą rzeczą było to, że wszyscy oni walczyli i ginęli, wiedząc, że ta wojna skończy się już za kilka tygodni".

Polskie oddziały ruszyły do boju już w samym Berlinie. Na szczególny opór natrafiły podczas próby zdobycia dzielnicy Spandau. W walkach tych uczestniczyła m.in. 1. Samodzielna Brygada Moździerzowa. Jeden z żołnierzy pisał: „Niemcy nadal walczą, tak jakby to nie był rok 1945 i koniec wojny. Bić się trzeba było nie tylko o domy i ulice, ale o drzwi, okna i kominy na dachach. Oberwać po głowie można było z każdej strony, a najczęściej z tyłu i góry. Próby natarcia ulicami nie dały rezultatów i pułk przeszedł do natarcia przez domy i podwórza, przebijając przejścia w murach, niszcząc oddzielne punkty oporu i strzelców wyborowych".

Polacy napotkali te same problemy co Niemcy podczas tłumienia powstania warszawskiego. Czołgi, na których oparto uderzenie, okazywały się mało przydatne na zniszczonych ulicach. Wystarczyło unieruchomić jeden, aby reszta nie mogła jechać dalej. „Czołgi płoną! Jak się okazało, na rogu Guerigestrasse i Cauerstrasse przegrodziła drogę barykada zbudowana z bali, szyn i kamieni. Początkowo jeden z czołgów próbował z rozpędu zniszczyć barykadę. Gdy przez ułamek sekundy stał przy barykadzie, skądś z budynku bluznął ogień i czołg stanął w płomieniach. Powtórzyło się to z drugim i trzecim wozem", relacjonował płk Piotr Parchomowski, dowódca 8. Pułku Artylerii Haubic.

Nie lepiej radzili sobie w Berlinie zaprawieni przecież w bojach czerwonoarmiści. „W miarę jak posuwaliśmy się w głąb niemieckiej stolicy, nasze straty nieustannie rosły – wspominał jeden z radzieckich oficerów. – Wprowadzenie tak wielkiej liczby czołgów na ulice miasta oznaczało wysoką śmiertelność wśród ich załóg. Drogi zasypane były gruzem, a czołgi traciły na nich swoją podstawową przewagę – mobilność i zwrotność. Tworzyły długie kolumny posuwające się powoli wzdłuż jednej, dwóch, a nawet trzech równoległych ulic. Stanowiły łatwy cel: strzelano do nich z pierwszych, drugich i trzecich pięter budynków, a czasami nawet i z piwnic".

Walka o każde piętro

Już pierwsze godziny starć na ulicach Berlina uwidoczniły wszystkie błędy przyjętej przez atakujących taktyki. Dopiero po pewnym czasie żołnierze Armii Czerwonej i Wojska Polskiego sami wypracowali najlepszą metodę walki. Jak wspominał por. Roman Leś z 1. batalionu, ostrzeliwali „na oślep każdą wnękę, każdy otwór, od piwnic do drugiego piętra. Coraz częściej wybuchały ręczne granaty, a przeciągły terkot pistoletów maszynowych zagłuszał warkot wycofujących się powoli ocalałych czołgów".

Tworzono specjalne grupy szturmowe, których zadaniem było opanowanie już nie poszczególnych ulic, lecz pojedynczych budynków. Członek jednej z nich, szer. Franciszek Abako, relacjonował: „W pewnym momencie wpadamy przez wyłamany otwór do następnego bloku. (...) Nagle w naszą stronę leci granat, robimy błyskawiczny uskok. Ogłuszeni, oślepieni, instynktownie rzuciliśmy dwa granaty obronne i wpadliśmy

Już pierwsze godziny starć uwidoczniły wszystkie błędy taktyki atakujących. Dopiero po pewnym czasie żołnierze ACz i WP wypracowali najlepszą metodę walki.

FOT. AKG/EAST NEWS

eprasa.pl fa2369afb7

na górę, ostrzeliwując się i ciskając granaty w otwory drzwiowe. W ten sposób zlikwidowaliśmy ośmiu hitlerowców, zniszczyliśmy jeden ckm i dwa rkm".

Kpr. Henryk Włodarczyk z 4. kompanii 2. batalionu wspominał: „Walczono o każde piętro, mieszkanie, piwnicę. Gdy napotykano silny opór, do akcji włączali się artylerzyści. Dom taki ostrzeliwano, następnie podpalano butelkami zapalającymi, granatami i pod osłoną dymu oraz ognia wypierano broniącego się desperacko nieprzyjaciela. Walczyliśmy z zaciętością i nienawiścią. Wciągano działa na barykady, ażeby strzelać na wprost, wdrapywano się po rynnie, ażeby granatem zniszczyć nieprzyjacielskiego snajpera, który siał śmierć".

O tym, jak zażarta była to walka, świadczy relacja plut. Stanisława Naszczyńca. „W jednym z budynków Polacy zajęli piwnice – pisał. – Niemcy bronili się na parterze, a na piętrze byli znów nasi piechurzy. W tej walce zginęło naszych dwóch zwiadowców z 6. baterii. Niemcy podchodzili nieraz większymi grupami do naszych stanowisk poprzednio przygotowanymi przejściami, często wznawiali walki na naszych tyłach, zadając straty żołnierzom z zaopatrzenia. Dochodziło niejednokrotnie do walki wręcz".

Trupy na ulicach

Ulice Berlina pokryły się tysiącami trupów. „Większość zabitych to młodzież z niemieckich oddziałów niszczycieli czołgów – notował jeden z polskich żołnierzy. – Twarze delikatne. Są też i starsi z Volkssturmu. Gdzieniegdzie odróżniają się ciała opasłych esesmanów i policjantów. Trupi zaduch stępia spalenizna i choć żre oczy, wyświadcza nam przysługę. Przegryza trupie powietrze. Nieco dalej za linią bitwy na latarniach kołysze się kilku żołnierzy Wehrmachtu. Widocznie opieszale wykonywali rozkazy, więc ich powieszono".

„Prawie nie można było oddychać. Powietrze było pełne siarki po ostrzale artyleryjskim", wspominała Jutta Petenati, mieszkanka Berlina, która w kwietniu 1945 r. skończyła 16 lat. W czasie walk o stolicę udzielała się jako pielęgniarka i obserwowała je z bardzo bliska: „Moja przyjaciółka upadła na ziemię, a jej nogi zalały się krwią. Rozglądałam się, szukając pomocy, aż zobaczyłam leżącego żołnierza. Miał rozerwane nogi i wskazywał na mnie. Byłam jedyną wciąż stojącą osobą, która jakimś cudem nie była ranna. Ten żołnierz powiedział do mnie: »Dziewczyno, weź moją broń i zastrzel mnie!«. To było gorsze niż koszmar!".

Podczas walk o Berlin ludność cywilna kilkakrotnie chciała się poddać, jednak żołnierze wcale nie składali broni.

Strach przed „azjatyckimi hordami", które nie brały jeńców, mobilizował Niemców do szaleńczej obrony. Jeden z radzieckich oficerów przyznawał: „Byliśmy zdumieni tym, z jakim uporem walczy nieprzyjaciel. Świadczyło to dobitnie o sile goebbelsowskiej propagandy, która zapowiadała, że w Berlinie trwać będzie zażarty i nieustępliwy opór. Ich ogólne położenie było beznadziejne – miasto zostało całkowicie odcięte, a my mieliśmy obezwładniającą przewagę liczebną. A mimo to Niemcy nie składali broni, a już zwłaszcza jednostki SS nigdy, przenigdy nie poddawały się naszym żołnierzom".

Część niemieckich oddziałów starała się wydostać z Berlina, aby poddać się wojskom amerykańskim. „Kiedy szłam ulicą, mijały mnie ciężarówki z żołnierzami – wspominała Gerda Drews, wówczas 17-latka. – Próbowali przebić się na północ. Były pogłoski, że tam jest wyłom, przez który można było uciec od Rosjan i złożyć broń przed Amerykanami. Słyszeliśmy straszne opowieści o tym, co Rosjanie robili z Niemcami". W rzeczywistości już w czasie pierwszych prób forsowania Odry Stalin nakazał swoim wojskom łagodne traktowanie cywilów, licząc, że w ten sposób skłoni Niemców do poddania się.

Podczas walk o Berlin ludność cywilna kilkakrotnie chciała się poddać, jednak żołnierze wcale nie składali broni. „Pamiętam – przyznawał zwiadowca Antoni Łotocki – jak kiedyś na ulicy uprzednio przez nas zdobytej Niemcy podeszli podziemnym przejściem i zaatakowali nas znienacka, podpalając szpital. (…) Z domów stojących na tej ulicy, z każdego okna zwisały białe płachty oznaczające, że cywile poddają się. Lecz gdy tylko zauważyli uzbrojonych Niemców, pozwijali płachty, a z okien posypały się na nas oprócz pocisków ciężkie sprzęty domowe".

Przed złożeniem broni powstrzymywała berlińczyków myśl, że razem z nimi walczy ich Führer. Mieszkanka miasta wspominała, że SS wieszało wszystkich, „którzy nie byli zbyt dzielni, aby walczyć. Kiedy zabrakło drzew, ludzie byli wieszani na lampach. Trupy wisiały wszędzie, żołnierze i cywile, kobiety i dzieci, zwykli mieszkańcy, którzy zostali zabici przez małe grupy fanatyków. Wyglądało to tak, jakby naziści nie chcieli, aby ludzie się poddali, gdyż ich zdaniem przegrana wojna była naszą winą".

Z okazji 56. urodzin Adolfa Hitlera 20 kwietnia oprócz standardowych racji żywnościowych mieszkańcy otrzymali dodatkowo puszkę warzyw, trochę cukru i kawy. Podczas oczekiwania w kolejce na swój przydział Dorothea von Schwanenfluegel zobaczyła „chłopca – prawie dziecko w za dużym o kilka rozmiarów mundurze, z leżącym obok granatem przeciwpancernym. Łzy spływały po jego twarzy i widać było, że jest przerażony. Delikatnie spytałam, co tutaj robi. Odpowiedział, że rozkazano mu tu czekać, a kiedy nadjedzie radziecki czołg, ma się pod niego rzucić i wysadzić się w powietrze. (…) Był tak mały, że pewnie nawet nie uniósłby tego granatu…".

Nieustający opór wywoływał coraz większą irytację atakujących. „Mieliśmy ogromną motywację do rozprawienia się z ostatnimi bastionami nazistowskiego oporu. Nasi żołnierze znajdowali się w stanie jakiegoś amoku. Podciągaliśmy nasze działa i waliliśmy z nich do umocnionych przez Niemców budynków z tak bliska, jak tylko się dało. Po prostu chcieliśmy ich wszystkich wykończyć", mówił por. Michaił Borisow z 14. Brygady Artylerii.

eprasa.pl fa2369afb7

Biało-czerwona na Reichstagu

Sytuacja zmieniła się wieczorem 1 maja, kiedy hamburskie radio doniosło o śmierci Hitlera. „Führer poległ dziś po południu, walcząc na czele swoich żołnierzy”, skłamał grossadmiral Karl Dönitz, który przejął obowiązki wodza Rzeszy. Jeszcze wcześniej gen. Hans Krebs rozpoczął negocjacje z Armią Czerwoną. Choć zakończyły się one fiaskiem, dla mieszkańców Berlina i jego obrońców śmierć Hitlera oznaczała zakończenie walk.

„Po zapadnięciu zmroku ogień słabnie jeszcze bardziej – opisywał wieczór 1 maja ogniomistrz Marcin Drozdowski. – Usłyszałem nagle wołanie przez megafon od strony Niemców w języku niemieckim, a później polskim: »Polacy, nie strzelajcie, my się poddajemy!«. (…) Na sąsiednim odcinku, gdzie walczyli żołnierze radzieccy, słychać było podobne wołanie w języku rosyjskim. Trwało bez przerwy do godz. 3 po północy 2 maja”.

Wieczorem 1 maja z niecodzienną sytuacją spotkał się także telegrafista Kazimierz Błoński: „Niemcy biegną do natarcia, są już o sto metrów od nas. Jest godz. 22, to już chyba ostatni niemiecki atak. (…) Otwieramy ogień, Niemcy padają gęsto. Reszta biegnie z krzykiem w naszą stronę. Widzimy, że rzucają broń i machają rękami, słychać, jak krzyczą: »Hitler kaputt«. Przerywamy ogień. Za chwilę rusza druga fala Niemców, ci są już bez broni i od razu podnoszą ręce do góry. Dowiadujemy się od nich, że specjalnie poszli do natarcia, aby oddać się do niewoli, mają już dosyć wojny”.

Bezwarunkową kapitulację Berlina ogłosił w południe 2 maja dowodzący obroną miasta gen. Helmuth Weidling. Dokumenty podpisano w kwaterze głównej gen. Wasilija Czujkowa, oswobodziciela Stalingradu, co miało wymiar symboliczny. Jeden z oficerów sztabowych zapamiętał: „Uderzyło mnie jedno sformułowanie, którego użył Weidling: »Führer nas opuścił« – zupełnie jakby opuściła ich jakaś mistyczna istota”.

„Pamiętam moją radość, kiedy po kapitulacji Berlina dotarliśmy do Reichstagu – zaczynał swoją relację kanonier Mieczysław Huźniak. – Na wielkim placu przed gmachem stały słupy do zawieszenia sztandarów. (…) Ktoś wręczył mi biało-czerwoną flagę, z którą zacząłem wspinać się na słup. (…) W ten sposób dotarłem na jego szczyt i zawiesiłem jedną z licznych tego dnia biało-czerwonych flag – flagę zwycięstwa tak przez wszystkich upragnionego”.

Straty radzieckie wyniosły ponad 350 tys. ludzi, w tym niemal 80 tys. zabitych. Oznacza to, że każdego dnia bitwy ginęło lub odnosiło rany ponad 23 tys. żołnierzy. Polacy udział w operacji brandenburskiej okupili życiem ponad 2 tys. żołnierzy i ok. 8 tys. rannych. Straty niemieckie są trudne do oszacowania. Niektórzy historycy podają liczbę nawet 100 tys. zabitych, łącznie z cywilami.

•

70 lat po bitwie o Berlin i zakończeniu II wojny światowej pamięć o jej ofiarach, o tym, kto był sojusznikiem, a kto wrogiem, została podporządkowana bieżącej polityce. Sami wypisaliśmy się z obozu zwycięzców, przyjmując rok 1945 za początek kolejnej, jeszcze gorszej okupacji. Niemodnie jest też wspominać o żołnierzach 1. i 2. Armii Wojska Polskiego – wszak na Berlin szli z orzełkiem bez korony. Nie to, co „żołnierze wyklęci”. Nic tak przecież nie wzmacnia ducha narodowego jak rozpamiętywanie klęsk.

Bibliografia:

A. Beevor, *Berlin 1945. Upadek*, Kraków 2009.

M. Jones, *Wojna totalna. Armia Czerwona. Od klęski do zwycięstwa*, Warszawa 2013.

T. Le Tissier, *Kostrzyn 1945. Przedpiekle Berlina*, Warszawa 2011.

Udział Polaków w szturmie Berlina 24 kwietnia-2 maja 1945 roku. Wybór relacji i dokumentów, Warszawa 1969.

„Przegląd” 20/2015

eprasa.pl fa2369afb7

Co kuleje w scenariuszu, będzie kulało na ekranie

Scenarzystka we mnie uczy pokory aktorkę

Rozmawia Beata Kwiatkowska

GABRIELA MUSKAŁA
– aktorka, dramatopisarka, scenarzystka

Co widzi aktor, czego nie widzi scenarzysta? To tytuł panelu, w którym wzięłaś udział na tegorocznym festiwalu Script Fiesta. Potraktujmy go jak pytanie. Co zatem jako aktorka widzisz, czego nie zobaczysz jako scenarzystka?

– W moim przypadku to rodzaj symbiozy, czego niedowidzi scenarzystka, dostrzeże aktorka. I odwrotnie. Na pewno pomaga to, że jako aktorka i scenarzystka biorę się tylko do tematów, które mnie interesują i w których naprawdę mam coś do powiedzenia. To moja zasada. Po tylu latach bycia przed kamerą i doświadczania procesu budowania ról, analizowania setek tekstów, rozbierania ich na części pierwsze, wiem, na czym to polega również z tej drugiej strony. Zawodową aktorką jestem od ponad 30 lat, ale jestem też współautorką kilku dramatów pisanych z moją siostrą Moniką, jak i autorką dwóch scenariuszy filmowych, więc mam mocno wyrobione pióro.

W takim razie co tobie jako autorce scenariuszy dało bycie aktorką i odwrotnie?

– Jestem bardziej czuła nie tylko dla postaci, które tworzę, ale także dla historii, w których są osadzone. A przede wszystkim dla dramaturgii, która jest szkieletem historii. Zwracam uwagę na to, żeby role wypełniające scenariusz nie były jałowe, tylko pełnokrwiste, wielowymiarowe, żeby miały ciekawe życie wewnętrzne, ciekawą drogę z punktu A do punktu B. Aktorka we mnie zapala mi lampkę kontrolną, bym jako scenarzystka pamiętała, że materiał aktorski, nawet w najmniejszej roli, powinien być atrakcyjny, inspirujący, że to nie może szeleścić papierem. Ale scenarzystka we mnie już wie, że każda, nawet najgłówniejsza rola to tylko element budulca, układanki, historii, skomplikowanego wzoru matematycznego, jakim jest scenariusz. Jego rozwiązanie będzie momentem spełnienia lub rozczarowania dla widzów. Scenarzystka we mnie uczy pokory aktorkę.

A czego uczy się od aktorki reżyserka?

– Myślę, że ktoś, kto nigdy nie był aktorem, może tylko wyobrazić sobie, czego aktor, w tej najgłębszej tkance, potrzebuje do emocjonalnego uruchomienia. Reżyserując, czerpię z własnych doświadczeń aktorskich. Czuję empatię wobec aktorów i bardzo zwracam uwagę na to, by koszt emocji, które generują na scenie czy przed kamerą, nie był dla nich prywatnie wyniszczający.

Tak samo jest z pisaniem. Z doświadczenia wiem, czego potrzebuje postać i dlaczego pewne role aktorów uskrzydlają, a inne nie potrafią zainspirować. I dlaczego w tym drugim przypadku nie pomoże największy nawet aktorski talent. Niestety, to, co kuleje w scenariuszu, będzie kulało też na ekranie. I to dotyczy zarówno poszczególnych ról, wątków, jak i całej konstrukcji. Pamiętam o tym wszystkim, pisząc. Bo potem aktorzy mogą się szarpać

Wiem, czego potrzebuje postać i dlaczego pewne role aktorów uskrzydlają, a inne nie potrafią zainspirować.

eprasa.pl fa2369afb7

na lewo i prawo i właściwie napisać sobie na nowo swoją postać, by ratować niedopracowane w scenariuszach role. Ale nawet jeśli uratujemy samą rolę, będzie to świetna rola w słabym scenariuszu, a co za tym idzie w filmie, więc tak naprawdę trochę praca wyrzucona w błoto. I wątpliwa aktorska satysfakcja.

Poza tym, że jesteś autorką dramatów i scenariuszy, jesteś też widzem. Czy bywasz widzem wymagającym i podczas oglądania filmu dostrzegasz braki scenariuszowe?

– Kiedyś, gdy tylko grałam, męczyło mnie oczywiście tzw. zboczenie zawodowe: albo byłam zachwycona i dawałam się pochłonąć historii, albo analizowałam, dlaczego w jakichś kreacjach aktorskich coś mi zgrzyta. Myślałam, czy aktor/aktorka są dobrze, czy źle obsadzeni. Od kiedy zaczęłam pisać, łapię się na tym, że w teatrze czy w kinie przeszkadza mi czasami w wejściu w historię świadomość mielizn w scenariuszu, „wypełniaczy", czyli scen o niczym, albo to, że historia zbacza w nieciekawym kierunku czy ma przewidywalne zakończenie. Kiedy z kolei zaczęłam reżyserować, najpierw w teatrze, a potem w filmie, zwracam uwagę na rozwiązania reżyserskie. Ale wiem jedno i to mi potwierdziła praca nad „Błaznami" – że podstawą jest dobry scenariusz. Przymykanie oka na niedopracowane teksty jest najgorszym grzechem realizatorów. Liczenie, że podczas zdjęć lub już w montażu coś się uratuje, załata, jest błędem. Lepiej więcej czasu poświęcić na dopracowanie scenariusza, niż wydawać później krocie na realizowanie scen, które i tak wypadną z filmu w procesie montażu.

Czytasz dużo scenariuszy. Czy dużo propozycji ról odrzucasz na ich podstawie? Po czym poznać dobry scenariusz?

– Dobry scenariusz to taki, który wyrzuca mnie z mojej orbity i pozwala zapomnieć, że oto jestem tu i teraz i czytam właśnie scenariusz. To historia napisana w taki sposób, że zabiera mnie w podróż, w czasie której nie zastanawiam się nad tym, czy np. punkt zwrotny jest w odpowiednim miejscu, tylko przeżywam, wzruszam się, daję się oszukać, rozbawić, zachwycić. I mam prawo być przekonana o tym, że tak samo będzie później na ekranie. Widz chce być zaskakiwany. To jest wartość dodana, kiedy pozwala się nam być porwanymi przez historię. Wtedy nie myślę o tym, jak ona jest skonstruowana, jak grają aktorzy i że znowu ta aktorka, którą lubię, mnie zaskoczyła. Kiedy widzę postać, a nie konkretną aktorkę czy aktora, i wchodzę w problemy tej postaci, to jest dla mnie dobry scenariusz, a co za tym idzie dobry film. W filmach opowiadamy najczęściej historie o miłości. Jednak zawsze można je opowiedzieć w inny sposób. Nowymi obrazami, nowymi twistami zdarzeń, relacjami, miejscem akcji, rytmem. Jeśli widzę, że w scenariuszu coś nie działa, jest banalny, źle skonstruowany, powielający schematy, nudny, to nie chcę być częścią takiego projektu. Bez względu na to, kto go będzie realizował.

Zdradzisz, które scenariusze cię zachwyciły?

– Prawie wszystkie, w których zagrałam. Pamiętam, kiedy Greg Zgliński zaproponował mi rolę Violi w „Wymyku", za którą później dostałam nagrodę na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Mnie scenariusz się podobał, ale średnio podobała mi się moja postać, jako zbyt podobna do poprzednich, które grałam. Powiedziałam, że nie chcę samej siebie powielać. Ale Greg mnie przekonał. Opowiedział, jak tę postać widzi, jak chce mnie w niej poprowadzić. Wspólnie znaleźliśmy sposób jej zagrania. Dostałam nowe wyzwanie aktorskie. Ale przekonało mnie do tego projektu i to, że scenariusz był skończonym, dopracowanym dziełem. Zresztą jego autorzy, Greg i Janusz Margański, również dostali nagrodę w Gdyni.

Żeby zagrać traumę postaci, aktorzy muszą często sięgać do własnych traum. I robimy to, zawodowo rozdrapując osobiste blizny.

Podobał mi się też bardzo gęsty, rozdzierający scenariusz „Wołynia" – z wielką satysfakcją zagrałam w nim mocny epizod Bronki. Do scenariusza „7 uczuć" Marka Koterskiego niektórzy mają zarzuty, ale dla mnie był dziełem wybitnym i szczerym. I najpiękniejszą słodko-gorzką podróżą w czasie do dzieciństwa. Jedni uważali niektóre sceny za niepotrzebne, drugich te same sceny najbardziej poruszały. Ale nikogo ten film nie pozostawia obojętnym. „Moje córki krowy" Kingi Dębskiej to świetne kino środka i przede wszystkim dwie pełnokrwiste główne kobiece role dla aktorek po czterdziestce – jeszcze 20 lat temu w polskim kinie nie do pomyślenia. Scenariusz do „Fin del mundo?" Piotra Dumały, który niedługo będzie miał premierę, był perfekcyjnie skonstruowany i niesamowicie oryginalny.

Dla mnie wyjątkowym filmem w twoim dorobku jest „Fuga", twój pierwszy scenariusz filmowy oraz bardzo ciekawa historia.

– Tak, pierwszy i od razu tak skomplikowany scenariusz o utraconej tożsamości i pamięci. O bohaterce, która ma dwa życiorysy i dwie osobowości. Z czego jedną zgubiła, a teraz jest zmuszana, by sobie wszystko przypomnieć, bo inni tego

Gabriela Muskała – absolwentka i wykładowczyni łódzkiej PWSFTviT. Od 2019 r. związana z Teatrem Narodowym w Warszawie. Gościnnie gra też w Och Teatrze i Teatrze Garnizon Sztuki. Laureatka wielu prestiżowych nagród, w tym czterech teatralnych Złotych Masek, filmowego Orła oraz głównej nagrody na FPFF w Gdyni. Uznanie przyniosły jej m.in. role w filmach „Fuga" (jest także autorką scenariusza) „7 uczuć", „Moje córki krowy". Jest autorką sztuk, pisanych wspólnie z siostrą Moniką pod pseudonimem Amanita Muskaria. Na premierę czeka jej filmowy reżyserski debiut „Błazny", do którego również napisała scenariusz.

eprasa.pl fa2369afb7

od niej oczekują. Miałam momenty zwątpienia, chciałam rezygnować, ale pamiętam, jak ktoś bliski powiedział mi: „Gabrysiu, jeżeli się nie poddasz i doprowadzisz ten scenariusz do końca, to każdy następny będzie już dla ciebie pestką". I nie poddałam się.

Wyzwaniem był ten tekst, ale też zapewne główna rola.

– Dwuletnia przerwa między oddaniem skończonego scenariusza Agnieszce a początkiem zdjęć dała mi dystans do scenariusza i sprawiła, że niczego nie musiałam łączyć. Na plan przyszłam już jako aktorka i raczej nie wpuszczałam tam scenarzystki. Pamiętam pierwszą próbę i moment, kiedy zaczęliśmy czytać. Coś tam sobie skreśliłam, coś dopisałam. Nagle zorientowałam się, że poprawiam własny scenariusz. I to był zdrowy odruch, bo zrozumiałam, że jestem już po właściwej stronie.

Jak tworzyłaś na papierze swoją rolę w „Fudze"?

– Z rolą Alicji było najtrudniej. W pewnym momencie złapałam się na tym, że mam stworzone wszystkie inne postacie historii, rodziców, męża, dziecko, psychologa, i że są one całkiem ciekawe. Ale moja postać strasznie mnie irytowała. Była zawieszoną w przestrzeni mimozą, która snuje się po domu, pytając: „Kim jestem?". Równolegle cały czas robiłyśmy z Agnieszką Smoczyńską dokumentację. Jeździłyśmy po Polsce i spotykałyśmy się z osobami, które w jakiś sposób doświadczyły zaburzenia, jakim jest fuga dysocjacyjna, albo z psychiatrami, którzy takimi osobami się zajmują.

Pamiętam, jak psychiatra, z którym rozmawiałyśmy, powiedział, że osobom zmagającym się z fugą dysocjacyjną o 180 stopni zmienia się osobowość. To był punkt zwrotny w mojej pracy, tak powstała dzika i wolna Alicja, która wcześniej była łagodną matką Polką, zadowalającą wszystkich, tylko nie siebie. Pisałam ten scenariusz z przerwami na pracę aktorską w teatrze i w filmie. Na zmianę zbliżałam się do tego tekstu i oddalałam od niego. I kiedy wracałam, byłam już trochę innym człowiekiem.

Długo pisałaś scenariusz „Fugi"?

– W sumie sześć lat. Początkowo Agnieszka Smoczyńska chciała, by „Fuga" była jej debiutem reżyserskim. Ja potrzebowałam czasu – proces powstawania tego tekstu był dla mnie szkołą pisania scenariuszy. I chciałam mieć w tym komfort. Wiedziałam, że nie mogę pracować, mając deadline i umowę, która przewiduje, że jeśli nie zdążę, producent może mi np. projekt zabrać. Dlatego nawet kiedy pojawił się potencjalny producent, nie zgodziłam się podpisać umowy. Podarowanie sobie czasu na pisanie było najlepszą decyzją. A z Agnieszką umówiłyśmy się, że „Fuga" będzie jej drugim filmem. Kiedy pisałam scenariusz, ona realizowała swój debiut, „Córki dancingu".

Jakie było to pierwsze słowo czy zdanie, które pojawiło się w tekście? Pamiętasz, od czego zaczęłaś?

– Pamiętam doskonale to zdanie: „Ja mam dzieci…? Boże, ja mam dzieci!…". Słowa wypowiedziane przez panią Marię, kobietę, która zapomniała siebie, a którą w programie „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie" rozpoznał jej sąsiad. Podczas programu na żywo zadzwonił, informując widzów i ją samą, że jest ona czyjąś żoną i matką. To, co zobaczyłam wtedy w jej oczach, było jak tsunami: zdziwienie, szok, że jest matką, czego nie pamiętała. Zdałam sobie sprawę, że za chwilę będzie musiała jechać do tej nieznanej rodziny i być tam żoną i matką dla obcych sobie osób. Program, na który trafiłam w telewizji przypadkowo, był impulsem, z którego powstała „Fuga".

Pracując, bardzo ufam intuicji, która w takich momentach podpowiada mi, że coś, co zobaczyłam, usłyszałam, co przykuło moją uwagę, chce tę uwagę zatrzymać na dłużej. Podobnie pracuję, pisząc sztuki teatralne.

Materiał aktorski, nawet w najmniejszej roli, powinien być atrakcyjny, inspirujący, to nie może szeleścić papierem.

Dlaczego w ogóle zainteresował cię ten temat?

– Od zawsze fascynowała mnie pamięć, a właściwie jej brak. Od wielu lat pisałam o tym sztuki razem z siostrą. Wydawało mi się, że temat braku pamięci mam już przerobiony po wielokroć – w wątkach amnezji czy wypierania pewnych zdarzeń z historii rodzinnych. Przypadek tej kobiety uświadomił mi, że brak pamięci może mieć jeszcze jedno, skrajne odbicie, w całkowitym wymazaniu twardego dysku, czyli swojego życia i nawet imienia, własnej twarzy. Wyobraźmy sobie, że nie poznajemy siebie w lustrze, kasujemy cały swój życiorys. Przyczyny tych zaburzeń zaciekawiły mnie. Po zagraniu w „Fudze" poczułam, że to ostatni wątek związany z tym tematem. I nie mam ochoty ponownie podejmować kwestii wypierania siebie, braku pamięci i tożsamości. Teraz moim drugim scenariuszem i zarazem debiutem reżyserskim, czyli filmem „Błazny", otwieram nowy, bliski mi temat dotyczący aktorstwa.

Kolejny scenariusz wynikający z życia i jakiejś potrzeby?

– Powoli zaczynam patrzeć na aktorstwo z innej perspektywy. Kocham mój zawód i cały czas znajduję w nim niesamowitą możliwość odkrywania świata i siebie. Jednak film, który zrobiłam ze studentami wydziału aktorskiego Łódzkiej Szkoły Filmowej, otworzył mi możliwość opowiedzenia o istocie samego aktorstwa, o procesie budowania roli, i dał szansę pokazania widzom fenomenu naszego zawodu. Pod fabularną warstwą „Błaznów" ten wątek jest wątkiem nadrzędnym, tkanką filmu.

Podobał mi się bardzo gęsty, rozdzierający scenariusz „Wołynia" – z wielką satysfakcją zagrałam w nim mocny epizod Bronki.

eprasa.pl fa2369afb7

Postrzeganie aktorstwa przez ludzi, którzy patrzą na nas z zewnątrz, często jest powierzchowne, pejoratywne i bardzo krzywdzące. Mówi się, że nasz zawód jest mało odpowiedzialny. Ot, pośpiewają, potańczą, powygłupiają się i jeszcze dostają za to pieniądze. A aktorstwo to jeden z najpiękniejszych zawodów, choć jednocześnie najbardziej wyniszczających psychikę. Sama przez wiele lat oszukiwałam się, że tak nie jest. Że codzienne wypruwanie z siebie flaków na scenie, generowanie skrajnych emocji, którymi buzują najciekawsze role, nie zostawia we mnie śladów. A przecież, żeby zagrać traumę postaci, aktorzy muszą często sięgać do własnych traum. I robimy to nagminnie, zawodowo rozdrapując osobiste blizny. Na tym także ten zawód polega. Dziś potrafię już ocenić ten koszt, ale też docenić i opisać wszystkie fascynujące procesy, które we mnie zachodzą, kiedy pracuję nad rolą. Potrafię przyjrzeć się temu z dystansu danego mi przez doświadczenie i wiek.

Jaki był odzew?

– Po pierwszym pokazie „Błaznów" usłyszałam piękną refleksję jednej z naszych producentek: „Gabrysiu, moje doświadczenia z aktorami bywały różne. Wydawali mi się często roszczeniowi, problematyczni, zbyt emocjonalni, zbyt skupieni na sobie. Ale kiedy zobaczyłam twój film, zrozumiałam, jak piekielnie trudny macie zawód, jak ogromny jest koszt tej prawdy o człowieku, którą pokazujecie. I że zbyt łatwo i pochopnie do tej pory aktorów oceniałam". To była najpiękniejszą recenzja, jaką mogłam usłyszeć. I druga, niezwykle cenna, to były słowa Jana Englerta, który wraz z Krystyną Jandą i Robertem Więckiewiczem zagrał w „Błaznach" gwiazdorskie epizody. Po seansie na Warszawskim Festiwalu Filmowym Jan powiedział: „Gabrysiu to jest wspaniały film. Pokazuje, że warto się męczyć w naszym zawodzie, warto cierpieć, szarpać się, rozdrapywać… Bo to, co robimy, co dajemy ludziom, jest ważne".

To właściwie dlaczego twój nowy, jak mówisz, ważny rozdział zawodowego życia otwierasz filmem o tytule „Błazny", co ma raczej pejoratywne znaczenie?

– To tytuł przewrotny. Długo szukałam takiego, który będzie zarówno trafny, jak i intrygujący. Pamiętam, że robiliśmy w Łodzi, w studiu Toya, udźwiękowienie. Zadzwoniła producentka z wiadomością, że wysyła film na jakiś festiwal, i pytaniem o ostateczny tytuł. Akurat zatrzymaliśmy się podczas pracy na pewnym kadrze. Jeden z głównych bohaterów filmu wchodzi na imprezę w czapce błazna. Spojrzałam na ten kadr i nagle doznałam olśnienia. Pejoratywnie mówi się o nas: komedianci, kuglarze, błazny. A film powstał również po to, by pokazać, że jest inaczej. Przypomniałam też sobie, że słowo błazny ukryte jest w piosence do słów Wyspiańskiego ze „Studium o Hamlecie", która wybrzmiewa w trakcie napisów końcowych filmu. Refren jest przepiękną definicją zawodu aktora: „To nie są błazny, chociaż błaznów miano, oklaskiem darząc, w oczy im rzucano, lecz ludzie, których na to powołano, by biorąc na się maskę i udanie, mówili prawdy wiecznej przykazanie". Słowa – Stanisław Wyspiański, muzyka – Zbigniew Zamachowski. Zbyszek napisał muzykę do tych słów jeszcze jako student Filmówki. Zrobił się z tego wtedy hymn fuksówkowy pierwszaków, śpiewany przez wiele następnych lat. I ja, kiedy studiowałam dziewięć lat później, jeszcze ten hymn śpiewałam, nie mając pojęcia, kto jest autorem muzyki. Dowiedziałam się dopiero po latach, kiedy zaprosiłam Zbyszka, by napisał muzykę do „Błaznów", i zapytałam, czy zna tajemniczego autora muzyki do tekstu Wyspiańskiego, bo chciałabym go mieć w swoim filmie.

Kadr z filmu "Fuga".

Ten temat zostaje z tobą. Będziesz go kontynuowała w innym filmie?

– Praca nad „Błaznami" bardzo mnie do tego zachęciła. Myślę o tryptyku, także o dokumencie, ale nie chcę za wcześnie zdradzać szczegółów. Aktorstwo to temat rzeka. Ja pływam w niej szczęśliwie już od wielu lat. Teraz zaczęłam łowić i opisywać fascynujące, bliskie mi motywy i tematy.

Beata Kwiatkowska

FOT. KRZYSZTOF WÓJCIK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fa2369afb7

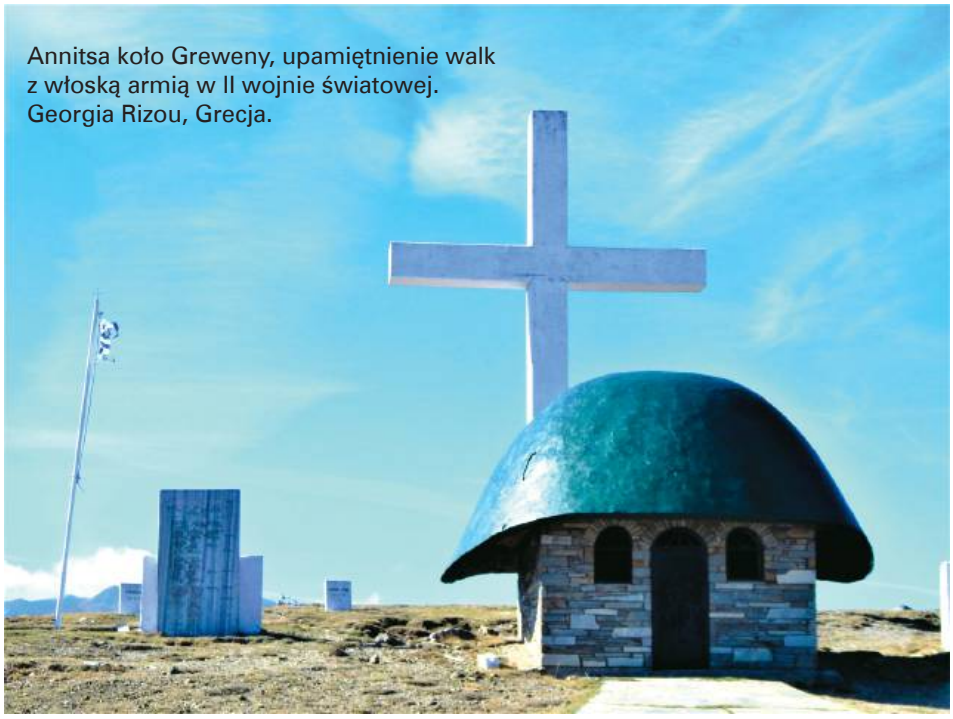

Annitsa koło Greweny, upamiętnienie walk z włoską armią w II wojnie światowej. Georgia Rizou, Grecja.

Olympos na wyspie Karpathos, modlitwa przy starych ikonach. George Tsafos, Grecja.

KOLORY PRAWOSŁAWIA

Wielka Sobota w cerkwi św. Pantaleona w Atenach. George Karahalios, Grecja.

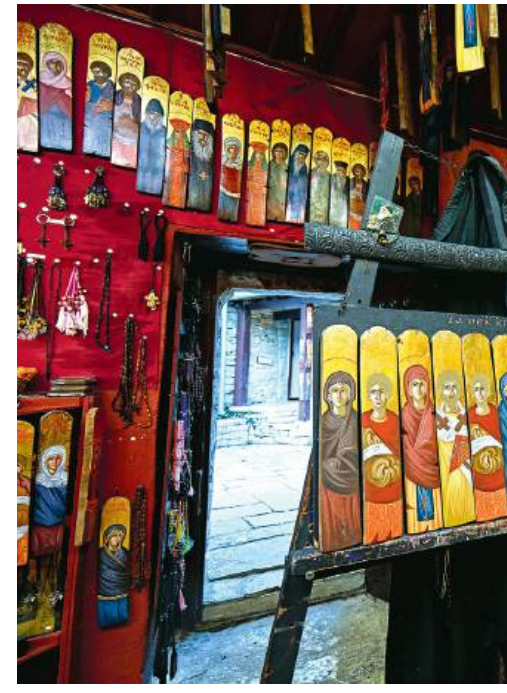

eprasa.pl fa2369afb7

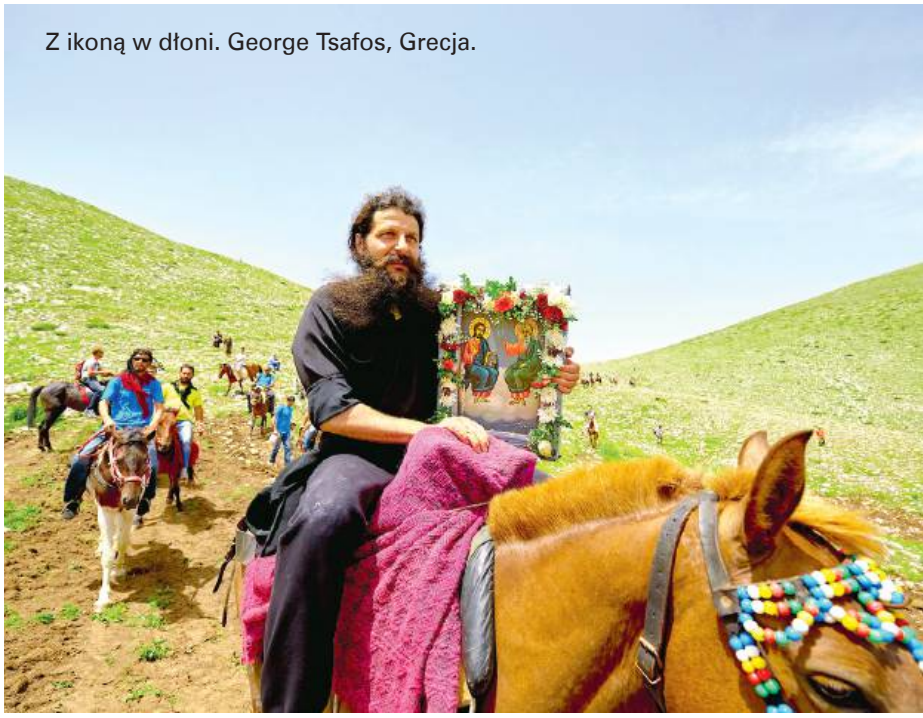

Z ikoną w dłoni. George Tsafos, Grecja.

„Kolory prawosławia. Grecja" to 12. album Wydawnictwa Warszawskiej Metropolii Prawosławnej z serii poświęconej wielobarwności prawosławia w rozmaitych zakątkach globu. Ten sam tytuł nosi również kolejna przygotowana przez serwis OrthPhoto wystawa prezentująca piękno prawosławia na świecie.

Zdjęcia są efektem międzynarodowego konkursu zorganizowanego przez Stowarzyszenie OrthNet. Wzięło w nim udział ponad 400 fotografów z 20 krajów. Ich prace można oglądać przy soborze metropolitalnym Świętej Równej Apostołom Marii Magdaleny przy al. Solidarności 52 w Warszawie do 12 maja. Następnie „Kolory" zagoszczą w Hajnówce i Bielsku Podlaskim.

Monodendri koło Janiny, pracownia ikonografa. George Tsafos, Grecja. (Wielka Sobota)

Ufność w modlitwie. Olgierd Janota, Polska.

eprasa.pl fa2369afb7

KURTYNA W GÓRĘ

Świata nie naprawisz

To zachwycający spektakl. Witkacowska „Matka" w ujęciu Anny Augustynowicz nabrała psychologicznej gęstości dzięki wyrazistości Matki i Syna, a także postaci tła. Dramat przeszedł kurację odchudzającą. Zamiast kilkunastu postaci (i skreślonego finału z grupą robotników teatralnych) na scenie opowieść prowadzi sześcioro aktorów. Główny nurt narracji, relacja Matki i Syna na tle więdnącego społeczeństwa masowego, tylko na tym korzysta. Zniknęło też sporo odniesień do filozofii i teatralnej formy, a na plan pierwszy wysunęły się rozkład rodziny i próba jej obrony przez zaprzeczenie.

Najpierw rządzi na scenie Matka, Agata Kulesza. W pierwszej części to Syn, Adam Cywka, podlega toksycznej kontroli Matki i zanosi do niej skargi. W części drugiej Matka zmienia się nie do poznania – w czułą, pełną troski przyszłą rodzicielkę, której promienny uśmiech budzi zaufanie. Ale wtedy następuje „rozdwojenie" Leona – Cywka gra już nie tylko Syna, ale i Ojca, obieżyświata po przejściach, który pojawia się nagle i próbuje podporządkować sobie rodzinę. W brawurowym monologu-dialogu, w którym aktor przeistacza się to w Syna, to w Ojca, wychodzi na jaw motyw męskiej dominacji.

Na dalszym planie pozostają odniesienia ideologiczne, polityczne i społeczne, choć zarówno Janusz Łagodziński jako Plejtus, jak i Łukasz Lewandowski jako dyrektor teatru budują atmosferę wyuzdanej dwuznaczności, a całości dodają smaku postacie Służącej i Zosi Plejtus, głupiutkiej w sam raz, aby zachwycić się blagą Leona. Tylko ją bowiem jakoś poruszają jego idee, pozostali i tak wiedzą, że świata nie naprawisz. *Tomasz Miłkowski*

Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Matka", reżyseria Anna Augustynowicz, Teatr Ateneum w Warszawie, premiera 12 kwietnia 2024

Udręka życia na krawędzi

Troje młodych bohaterów: dziewczyna odwiedzająca ciężko chorego i uzależnionego chłopaka oraz pojawiający się jej brat – terrorysta, morderca i gwałciciel. O nich Sarah Kane napisała: Zbombardowani. Troje studentów roku dyplomowego Akademii Teatralnej z pomocą koleżanki z wydziału reżyserii odtwarza sceny tego niesamowitego spotkania. Śmierć okazuje się tu najłagodniejszym rozwiązaniem.

Bronisław Tumiłowicz

Sarah Kane, „Zbombardowani", reżyseria Ewa Platt, Teatr Collegium Nobilium w Warszawie, premiera 12 kwietnia 2024

MIĘDZY OKŁADKAMI

Izabela Tadra
Hotel ZNP
Filtry, Warszawa 2024

Mężczyzna po przejściach i kobieta z przeszłością spotykają się w najbrzydszym hotelu w Warszawie, który jednak ma najpiękniejszy widok. Za młodzi na sen i za starzy na seks, rozmawiają. Mówi głównie ona: o miłości, rozczarowaniu, matce, mężczyznach. Nic bardziej oczywistego, ale opowieść Tadry to nie tylko traktat o życiu, rozprawa z mieszczańskim wychowaniem, litania marzeń, pragnień i wątpliwości. To przede wszystkim majstersztyk literacki. Każde zdanie debiutanckiej powieści jest dopracowane, ma wagę i znaczenie. Chociaż autorka pisze o sprawach fundamentalnych, nie ma tam ani grama nieznośnego patosu, jest za to błyskotliwy humor, a także rytm, który nie pozwala oderwać się od lektury. To kolejny rewelacyjny, choć późny (na szczęście!) debiut w polskiej prozie. *Rafał Pikuła*

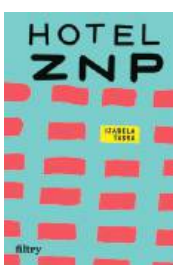

Cezary Harasimowicz
Bieta
Lira, Warszawa 2024

Gdy o tej kolejnej niezwykłej kobiecie, której poświęcił książkę Harasimowicz, Agata Tuszyńska pisze: „bohaterka z piekła rodem", trzeba to rozumieć dosłownie. Z piekła, czyli z warszawskiego getta, wymordowywanego ulica po ulicy. Czy jest jakaś siła, która kieruje ludzkimi losami? Ręką strażnika, gdy przebijał bagnetem plecak, w którym matka przemycała do pracy uśpione dziecko? Jeśli ktoś z wysokości pilnował, by to dziecko bezpiecznie opuściło getto i znalazło za murami czułą opiekę, dlaczego pozwolił na tyle okrucieństwa wobec innych, choćby jego rodziny? Gdzie wtedy był? W swojej melodyjnej gawędzie autor stawia to gorzkie pytanie, ale potrafi nią nie tylko głęboko wzruszyć, lecz i rozbawić. Ten ton doskonale się sprawdza w opisywaniu dzieciństwa i młodości Biety, im dalej w okres PRL i transformacji, pracy Ficowskiej jako rzeczniczki Kuronia, tym bardziej opowieść wydaje się ślizgać po anegdotycznej stronie jej życia. Ale przesycona jest ogromną dla Biety sympatią. *Aleksandra Pańko*

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl fa2369afb7

Oko w oko

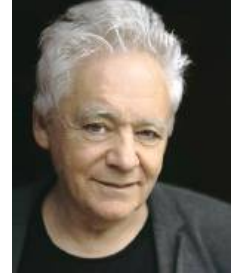

Tomasz Jastrun

Niekochani przez historię

Szukając zagubionej pamięci i inspiracji do mego „Abecadła polifonicznego" (ukaże się w połowie maja), zacząłem czytać swoje dzienniki. Pierwsze zeszyty zapisałem, gdy miałem 13 lat, systematycznie pisałem dopiero po 20. roku życia. Trochę wstyd, jaki byłem wtedy głupek. Lepiej piszę i myślę od połowy lat 80. Przerażające uczucie, jakby to był dziennik kogoś innego, kto jednak jest mną. Większości zdarzeń nie pamiętam, czasami po lekturze coś zaczyna mi majaczyć, jak w gęstej mgle. Co jakiś czas są tu perełki, owady w bursztynie, ale generalnie smutne uczucie, że przeszłości prawie nie ma, więc nas prawie nie ma, jesteśmy ledwie, ledwie, jedziemy w siodle chwili, która zaraz znika.

Czytam rok 1995, prowadziłem wtedy telewizyjnego „Pegaza". Mam robić program z Czesławem Miłoszem, jadę wcześniej do Krakowa, chciał ze mną pewne rzeczy ustalić. I ma wielki problem, zaczął mrugać oczami, taki tik. Okropnie tego się wstydzi i wstydzi się, że na jedno ucho prawie nie słyszy. Takie małe wstydy wielkich ludzi. Pyta, czy może wystąpić w okularach przeciwsłonecznych – błagam, by tego nie robił, że takie mruganie to głupstwo. Nie było łatwo rozmawiać przed kamerą z poetą, bardzo zwięźle i krótko odpowiadał na pytania, a wtedy trzeba mieć od razu nowe pytanie. To jak szybka wymiana ciosów.

Od Miłosza wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się o ojcu dyrektorze i jego rozgłośni, która raczkowała. Miłosz gdzieś posłuchał tego radia i przewidział, że to może być katastrofa. Nie znosił przedwojennej, prawicowo-narodowo-katolickiej mięsnej zbitki. Program nie był na żywo, więc nagrywano materiał na tzw. przebitki. Proszono po programie, by przez chwilę w milczeniu patrzeć sobie w oczy. Jakbym patrzył w oczy historii literatury. Oczy Miłosza, pod krzaczastymi, siwymi brwiami, były spłoszone, jakby miał coś do ukrycia. Kilka razy pisał, że coś ważnego ukrywa. Nie wypatrzyłem co. Szefostwo w TVP było wtedy prawicowe i bolały ich po tej rozmowie zęby. To byli na ogół młodzi ludzie, często inteligentni. W., szef kultury, przyszedł do mnie po rozmowie i był strapiony, mówił, że ta rozmowa może mi zaszkodzić. Ale nie zabrał mi programu. To była jeszcze prawica cywilizowana, nie te współczesne sierpy i młoty.

•

Ojciec dyrektor zabrał glos. „To, co dokonało się ostatnio w Polsce – to moja opinia, subiektywna – to jest wynik wielkiej manipulacji. I myślę, że to nie były jednostki, które grały w tym teatrze manipulacji, to byli ludzie zorganizowani, przeszkoleni, finansowani, będący częścią wielkiej struktury, wielkiej, jak to nazywam, międzynarodówki. To są ci, którzy Polski nienawidzą, zwłaszcza takiej, która ma wiarę w sercu, jest wierna tradycji humanistycznej, szanuje swoich bohaterów i świętych". Abp Marek Jędraszewski krytykuje plany Ministerstwa Edukacji dotyczące lekcji religii. „Formułowane są plany, aby redukować lekcje religii w szkole, by umieszczać je na początku albo na końcu dnia; próbuje się gasić światło Chrystusa w sercach i umysłach młodzieży", powiedział duchowny na krakowskim rynku. Proszę, ile poezji w tych słowach. A Kościół nadal chroni księży pedofilów. Już wiedzą, że nie wolno, że to źle dla Kościoła, ale solidarność duchownych silniejsza, jest jak instynkt.

•

Ukazała się książka Michała Bilewicza „Traumaland". Polecił mi ją Wiktor Kulerski, daleki sąsiad, piękny człowiek, kiedyś nauczyciel, działacz opozycji demokratycznej. Zmierza dzielnie w stronę dziewięćdziesiątki, ale ma młody umysł. „Traumaland" to kolejna książka, która bada polską duszę, autor pyta: skąd przyszliśmy, kim jesteśmy? I dlaczego jesteśmy, jacy jesteśmy? Jak to dobrze, że teraz wysyp takich pozycji. Za mało wiedzieliśmy o sobie, żyjąc w iluzjach i w baśniowych mitach na własny temat. Od czasu, gdy pisałem stały felieton do paryskiej „Kultury", staram się zrozumieć duchowy stan rzeczy, wyjaśniać nasze osobliwe zachowania, wybory polityczne, zbiorowe fobie, skłonność do myślenia spiskowego. Bilewicz posługuje się licznymi badaniami naukowymi, ale też intuicją, książka jest dobrze napisana. Miło czytać książki, które potwierdzają nasze własne diagnozy. Polacy cierpią na traumę historyczną, przemełła nas historia. Nie ma u Bilewicza słów Jeana Delumeau, a byłyby na miejscu. Ten francuski historyk w książce „Strach w kulturze Zachodu XIV-XVIII w." pisał, myśląc o Polsce: „Narody niekochane przez historię są jak dzieci niekochane przez rodziców". O tym jest „Traumaland", będę jeszcze do tej książki wracał.

■

Za mało wiedzieliśmy o sobie, żyjąc w iluzjach i w baśniowych mitach na własny temat.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2369afb7

Dylematy lekarza weterynarii

Działanie dla dobra zwierzęcia nie zawsze oznacza ratowanie go za wszelką cenę

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

DR N. MED. TOMASZ HUTSCH
– adiunkt w Katedrze Patologii i Diagnostyki Weterynaryjnej SGGW, dyrektor laboratorium ALAB bioscience, lekarz weterynarii specjalizujący się w patologii zwierząt laboratoryjnych oraz patofizjologii doświadczalnej, ze szczególnym uwzględnieniem roli mikrobioty jelitowej w chorobach układu pokarmowego.

Weterynaria ze względu na uprawnienia i obowiązki musi się rozpychać pomiędzy dyscyplinami naukowymi. Do niedawna po obronie dysertacji lekarz weterynarii zostawał doktorem nauk rolniczych.

– Minister nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin zlikwidował tytuł doktora nauk weterynaryjnych. Byliśmy wrzuceni do jednego worka z leśnictwem, rolnictwem i technologią żywności. W 2023 r. weterynaria powróciła do rangi osobnej dziedziny nauk, wróciły weterynaryjne stopnie naukowe. To pokazuje zamieszanie z weterynarią, która musi się odnaleźć między naukami rolniczymi a medycznymi. Regulacje dotyczące różnych obszarów weterynarii ustanawia głównie Ministerstwo Rolnictwa, ale i Ministerstwo Zdrowia, np. w zakresie prawa farmaceutycznego, czy Ministerstwo Nauki – w zakresie doświadczeń na zwierzętach.

Inspektorzy weterynaryjni to chyba najbardziej niewdzięczny dział weterynarii.

– Państwowa Inspekcja Weterynaryjna jest wtłoczona pomiędzy prawo Unii Europejskiej a interesy rolników, naciskających na Ministerstwo Rolnictwa, któremu inspekcja podlega. Powiatowe inspektoraty weterynarii zazwyczaj podzielone są na zespoły ds. ochrony i zdrowia zwierząt i ds. bezpieczeństwa żywności, pasz oraz ubocznych produktów zwierzęcych. PIW nadzoruje również dobrostan zwierząt gospodarskich. Na ręce patrzą jej także fundacje prozwierzęce. Każda grupa ma pretensje do weterynarii, że kontroluje za mocno lub za słabo. Mimo stwierdzanych nieprawidłowości PIW nie może zabrać zwierząt, musi zgłosić fakt naruszeń do wójta, burmistrza, prezydenta, co wydłuża procedurę.

Inspekcja monitoruje i zwalcza choroby zakaźne zwierząt oraz dba o bezpieczeństwo łańcucha spożywczego. Istnieje cały system bezpieczeństwa żywności i wyzwania z nim związane, np. pestycydy czy metale ciężkie zawarte w roślinach trafiają do paszy, następnie mogą zostać skumulowane w mięśniach zwierząt. Podobnie z antybiotykami i lekami podawanymi zwierzętom. Lekarze weterynarii kontrolują pasze, zdrowie samych zwierząt, następnie higienę mięsa, mleka czy miodu, aby produkt był bezpieczny. Dlatego mówimy o Weterynaryjnej Ochronie Zdrowia Publicznego.

Ważne powiązanie – weterynarz a ochrona środowiska.

– Zwierzęta produkują ok. 30% gazów cieplarnianych, szczególnie metanu. Rodzaj paszy, system hodowli i zdrowie zwierząt wpływają na funkcję ich układów pokarmowych, czyli źródło tych gazów. Antybiotyki, które podajemy zwierzętom czy ludziom, dostają się do środowiska i mogą wpływać na ekosystemy. Jednocześnie skala stosowanych antybiotyków sprzyja rozwojowi śmiercionośnych bakterii wielolekoopornych. Wiele ferm zwierząt gospodarskich, dużych producentów żywności, oczekuje, że zwierzęta nie będą otrzymywały antybiotyków. Rozwija się rynek badań suplementów diety, probiotyków, symbiotyków, żeby zwierzęta miały dobrze funkcjonujący układ immunologiczny, pokarmowy, by nie używać

eprasa.pl fa2369afb7

tyle paszy czy antybiotyków, a uzyskać te same efekty ekonomiczne (mleko, mięso itd.) i zmniejszać efekt cieplarniany.

Rzadko wspomina się o weterynarzach mundurowych czy od zwierząt dzikich.

– Weterynarze pracują w miejscach, które kojarzymy z ratowaniem i rehabilitacją zwierząt, i w tych, gdzie jest mniej miło. Jest osobna dyscyplina, medycyna zwierząt laboratoryjnych, gdzie lekarze sprawują nadzór nad zwierzętami wykorzystywanymi w badaniach doświadczalnych, są lekarze chorób pszczół czy ryb. Specjaliści chorób zwierząt nieudomowionych rehabilitują zwierzęta dzikie lub leczą egzotycznych pupili. Mamy wojskową inspekcję weterynaryjną oraz lekarzy granicznych jako jednostki zapewniające bezpieczeństwo sanitarne i weterynaryjne w czasie misji wojskowych, na przejściach granicznych, w tym na lotniskach.

Pomówmy o zwierzętach doświadczalnych.

– W szczególnie newralgicznych obszarach brakuje profesjonalizacji zawodu, np. przy zwierzętach laboratoryjnych. Mimo że mamy w Polsce specjalizację patologia i użytkowanie zwierząt laboratoryjnych, nadzór weterynaryjny może sprawować każdy lekarz weterynarii bez względu na specjalizację. Gorzej jest w sferze badań na zwierzętach. Żeby móc pracować na takim zwierzęciu, wystarczy jakiekolwiek wykształcenie wyższe i tygodniowy kurs. Bałagan panuje w ustawie z 2015 r. o ochronie zwierząt wykorzystywanych w celach doświadczalnych lub edukacyjnych. Eutanazji zwierząt może dokonywać każdy, kto ma co najmniej wykształcenie zawodowe lub branżowe i przejdzie szkolenie dla osób uśmiercających oraz odbędzie trzymiesięczny staż z uśmiercania zwierząt. Z drugiej strony, aby dokonać eutanazji psa lub kota, trzeba mieć prawo wykonywania zawodu lekarza weterynarii.

Trwają poszukiwania rozwiązań, w których nie będzie wymogu badań in vivo.

– W 2023 r. w Stanach Zjednoczonych Agencja Żywności i Leków (FDA, odpowiednik Europejskiej Agencji Leków) opracowała pierwszy raz w historii ścieżkę możliwej rejestracji leku bez doświadczeń na zwierzętach. Dzisiaj w Unii Europejskiej i USA ze zwierząt laboratoryjnych w pełni zrezygnować nie możemy, tym bardziej że Chiny czy Indie nie mają żadnych regulacji prawnych, a konkurencja gospodarcza jest coraz większa. UE ma wyśrubowane wymogi, temat zwierząt laboratoryjnych jest newralgiczny i mimo niedoskonałych zapisów w ustawie środowisko badaczy zwierząt laboratoryjnych – a pracowałem w nim przez pięć lat – nie dopuszcza do niepotrzebnego bólu, cierpienia i stresu zwierząt. W lokalnych komisjach etycznych ds. dobrostanu i doświadczeń na zwierzętach, które przyznają zgody na badania i dokonują ocen doświadczeń, zasiadają przedstawiciele filozofii, etyki lub prawa oraz organizacji chroniących zwierzęta. Nadzór nad zwierzętarniami sprawuje również PIW, która kontroluje je nie rzadziej niż dwa razy w roku.

Zwierzęta będą miały coraz większe problemy, np. przewlekłe choroby kardiologiczne czy nerek.

Jesteśmy kilka kroków za medycyną ludzką, dystans się zmniejsza.

Zajmuje się pan badaniami porównawczymi chorób ludzkich i zwierzęcych.

– Realizuję z zespołem porównawcze badania nieswoistych zapaleń i chłoniaków jelit u kotów i psów. Obecnie nie ma dobrego modelu doświadczalnego chłoniaków jelit, żeby obiektywnie przekładać badania porównawcze ze zwierząt na ludzi. Koty mają specyficzne wirusy, które tym chorobom sprzyjają, i przez to ten model może być interesujący dla medycyny ludzkiej.

Aby otrzymać grant, przedstawiciele nauk weterynaryjnych często muszą nawiązać do medycyny ludzkiej, udowadniając społeczne znaczenie swoich badań. Znam naukowców, którzy badają immunologię wysiłku koni i nawiązują do modeli wysiłku w sporcie, albo badają raka sutka u psów i próbują nawiązać do raka piersi u kobiet. Wielu lekarzy weterynarii i badaczy zaczynało od badań zwierząt, stopniowo zmieniali kierunki badań i zaczęli zajmować się medycyną ludzką, jak prof. Magdalena Król. Badania eksperymentalne i porównawcze są coraz popularniejsze, obejmują szczególnie onkologię i immunologię zwierząt i ludzi, a wyniki są przekładalne. Jesteśmy podobni nie tylko w fizjologii i zachowaniu, ale także w chorowaniu, cierpieniu i umieraniu.

Czyli rozwój w kierunku geriatrii zwierzęcej?

– Weterynaria będzie się zmieniała ze względu na geriatrię. Zwierzęta będą miały coraz większe problemy, np. przewlekłe choroby kardiologiczne czy nerek, a także procesy demencyjne. U starszych psów możemy obserwować podobne zmiany patologiczne w mózgu jak w chorobie Alzheimera u ludzi. Będziemy mieli geriatrycznych właścicieli geriatrycznych zwierząt. Weterynaria będzie musiała zapewnić taki poziom opieki, żeby osoba starsza nie wychodziła ze starym zwierzęciem do przychodni. Już rozwijają się wizyty domowe. Społeczeństwo oczekuje jak najlepszej opieki nad zwierzętami. 20-30 lat temu nie do pomyślenia były ośrodki zajmujące się radioterapią, medycyną regeneracyjną czy powszechny dostęp do tomografu, rezonansu dla psa, kota lub konia. Jesteśmy kilka kroków za medycyną ludzką, dystans się zmniejsza. Jednak państwo jako donor pieniędzy na badania naukowe nadal traktuje weterynarię po macoszemu. Miejmy

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fa2369afb7

nadzieję, że zauważy wzrastającą wartość rynku usług weterynaryjnych dla społeczeństwa i PKB.

Zwierzęta pomagają naukowcom spojrzeć inaczej na nasze choroby.

– Psy i koty, mimo że cierpią na otyłość i cukrzycę, nie mają miażdżycy i nie da się u zwierzęcia stworzyć idealnego modelu miażdżycy. Jednym z bardziej miarodajnych jest miażdżyca u przepiórki japońskiej. Jesteśmy w stanie indukować zwierzęce modele nadciśnienia tętniczego, nieswoistego zapalenia jelit, reumatoidalnego zapalenia stawów. Prof. Marcin Ufnal, mój były szef i mentor, był pionierem badań metabolitów bakterii jelitowych i podsunął mi wątki do badań otyłości czy nadciśnienia tętniczego. Czy można wykorzystać fakt, że tuczymy świnie, do badań otyłości u człowieka? Czy mogą zachodzić jakieś fizjologiczne lub patofizjologiczne podobieństwa? Albo wątek jednego z metabolitów bakterii jelitowych, który chroni ryby słonowodne przed wysokim ciśnieniem wody. Czy może odgrywać rolę w nadciśnieniu tętniczym u ludzi? Pierwszy raz spotkałem się z lekarzem, który myślał dalej niż przez pryzmat człowieka. To było podejście holistyczne, ewolucyjne i zachęcające, by spojrzeć na choroby i funkcje organizmów zwierząt i ludzi jako na coś uniwersalnego.

Eutanazja u zwierząt, wbrew opinii niektórych, nie jest emocjonalnie obojętna dla weterynarzy.

– Weterynaria wyprzedza ludzką medycynę w aspekcie pewnych dylematów etycznych, kwestia eutanazji wcześniej była u nas wyzwaniem. Zwierzę można poddać eutanazji – ale w jakich okolicznościach? Dziś dyskutuje się na temat uporczywej terapii i etyki końca życia zwierząt, wspomnę aferę z przeszczepem nerki u psa od zwierzęcia ze schroniska sprzed kilku lat. Przedstawiciele medycyny ludzkiej aktywnie biorą udział w dyskusji na temat praw człowieka, prawa do życia, społecznych wyzwań medycyny. Z perspektywy weterynaryjnej w kwestiach związanych ze zdrowiem, życiem czy umieraniem i śmiercią zwierząt jest gorzej. Lekarze weterynarii rzadko są uczestnikami dyskursu dotyczącego praw czy etyki zwierząt.

Dla lekarza proces eutanazji jest trudny: ustawa o ochronie zwierząt mówi, że zwierzę może uśmiercić tylko lekarz weterynarii, pod warunkiem że spełnione są kryteria medyczne, czyli brak możliwości terapii i zgoda właściciela. Ale dopuszcza uśmiercenie ślepych miotów, czyli zwierząt, które jeszcze nie otworzą oczu. Podejmując decyzję o eutanazji, lekarz jest rozdarty między przepisami, oczekiwaniami klienta, możliwościami terapii oraz własnymi emocjami. Trzeba przejść tę czeluść medycyny, żeby zobaczyć prawdziwe człowieczeństwo. Działanie dla dobra zwierzęcia nie zawsze oznacza ratowanie go za wszelką cenę.

To wszystko wpływa na postawy światopoglądowe weterynarzy.

– Ratowanie czasami oznacza umożliwienie odejścia. Myślę, że zwierzęta wiedzą, że umierają, ale nie rozumieją, dlaczego cierpią. Człowiek też ma problem ze zrozumieniem sensu cierpienia. Wśród lekarzy weterynarii jest najwięcej ateistów, to jedna z najbardziej zeświecczonych grup zawodowych. Ten kontakt z bólem, cierpieniem zwierzęcia wpływa na nasze zetknięcie się z cierpieniami np. bliskich – widzisz, że to mniej więcej to samo. Innym problemem jest to, że ten sam lekarz weterynarii rano może badać mięso w rzeźni, po południu przyjmować w przychodni małe zwierzęta, a wieczorem decydować w gospodarstwie o wysłaniu zwierzęcia do rzeźni ze względu na złe rokowanie. Ten zawód może przynosić różne dylematy etyczne, analizowane z różnych perspektyw.

Właściciele zwierząt potrafią być roszczeniowi, to też nie ułatwia pracy.

– Klienci płacą i żądają, czasami nie da się pomóc, ale jest presja na prowadzenie terapii uporczywej. Innym razem właściciel nie chce leczyć zwierzęcia, mimo że go na to stać. Czasem pojawiają się skargi, że ktoś płaci za wizytę kilkaset złotych. Ale w niej jest 45-minutowa rozmowa i wywiad, badanie krwi, USG, leki. Wizyta lekarska w medycynie ludzkiej może trwać kilka minut, potem trzeba wykupić leki w aptece, kosztuje to tyle samo.

Skala cierpienia, które człowiek może przysporzyć zwierzęciu, nie musi wynikać z hodowli i ubijania, ale np. z utrzymywania dużych ras psów w kawalerce i zapewniania tylko kilkuminutowych spacerów albo trzymania psów na łańcuchu. Lekarz zderza się z cierpieniem zwierzęcia, z różnymi nastawieniami właścicieli. Także tu rządzą prawa wolnego rynku i otwarta konkurencja. Z tego wszystkiego powstają napięcie, presja, frustracja.

Chyba jednak weterynarze cieszą się sympatią ludzi?

– Lekarze weterynarii mieli i mają dobrą opinię społeczną, a sam zawód potrafi być fascynujący. Wśród lekarzy weterynarii są dyrektorzy ogrodów zoologicznych, parków narodowych, przyrodnicy, podróżnicy i dokumentaliści. Owszem, są dobrze postrzegani w społeczeństwie, ale często niedoceniani. Z drugiej strony, czy czymś nadzwyczajnym jest to, że lekarz po prostu dobrze wykonuje swoją pracę? Z mojej perspektywy nie jest niczym lepszym niż dobry kominiarz, mechanik czy piekarz. Nauczmy się tylko doceniać pracę, która mimo swojego wielkiego uroku jedynie częściowo jest „bajeczna".

Ludzie i zwierzęta podobnie chorują, starzeją się i umierają.

Myślę, że zwierzęta wiedzą, że umierają, ale nie rozumieją, dlaczego cierpią.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fa2369afb7

Agnieszka Wolny-Hamkało

Tak, ale

Oksy, my love

Starość ma swoje miny i grymasy. Swoje chusteczki do wilgotnych oczu, swoje nieśmiałe uśmiechy pełne koronek, sztywne siadanie, arystokratyczną ostrożność i tempo. Z wiekiem obrastamy w nowe gesty – te indywidualne, tylko nasze, i te uniwersalne, przypisane do wieku: skłony z łyżką do butów, prostowanie kręgosłupa, zmiana okularów z tych „do dali" na te „do bliży", kiedy chcemy coś przeczytać.

O ten oto gest poszerzyło się ostatnio moje emploi. Zobaczyłam w nim całe pokolenia moich babć, matek, ciotek zmieniających wspólnie okulary jak w jakiejś upiornej pantomimie. Wyobraziłam sobie scenę ze zbiorową choreografią: okularnice siadają przy stole, szperają w kieszeni swetra i wyciągają podłużne pudełeczka ze sztucznej skóry. Wyjmują z nich okulary do czytania i – cyk, cyk – zamieniają je miejscami z całodziennymi. Potem ślinią palec i przewracają strony, kręcąc głową, mrucząc pod nosem. Odebrałam nowe okulary i w ten sposób dołączyłam do nich.

Nie będę mogła tego ukryć, czytam przecież co chwilę – nie tylko książki, mejle też. I esemesy, rozkłady jazdy, mapy, informacje, recepty. Właśnie zaczyna się moja kariera staruszki, nabywam tej pantomimy. Chwila nieuwagi i zacznę używać słowa „paltocik" i pisać wiersze o „dzieciństwie". Znów myślę o ciotkach, babkach, dziadkach i wujkach. Rozczulam się nawet, coś tam wspominam i zdaję sobie sprawę, że te momenty zmiany okularów zapamiętałam jako przyjemne. Na przykład zimowy wieczór, kiedy siadałyśmy z babką w „dużym pokoju" i mogłam oglądać pokazy tańca na lodzie, jedząc w łóżku ciasto drożdżowe z masłem. Babka siadała przy stole, zmieniała okulary i rozkładała gazetę. Za oknem padał śnieg, a ja oglądałam balety: cekinowe i międzygwiezdne, rusko-polskie i polsko-ruskie. Kiedy dziadek zmieniał okulary, zaczynał kłócić się z gazetą, czytał na głos fragmenty, komentował, puszył się przy tym i tak bardzo miał rację, taki był wtedy publicystyczny i nawiedzony, że babka wybuchała śmiechem.

Okulary to jeden z tych przedmiotów, które od pewnego momentu zaczynają kręcić się wokół ludzi, towarzyszyć im. Błąkają się po kieszeniach, schowkach samochodowych, koszyczkach z szyciem. Leżą przy laptopach i komputerach. Lądują na książkach, szafkach nocnych, poduszkach. Tworzą swoiste środowisko pełne drucików, soczewek, miękkich chusteczek i wyściełanych etui. Kojarzą się z intymnością, „domowym zaciszem", „chwilami dla siebie". Albo z niesprawdzonymi klasówkami, tabelkami Excela, fakturami.

Okularników można podzielić na monogamistów i poligamistów. Monogamiści przyzwyczajają się do jednych oprawek, które wkrótce wychodzą z mody, krzywią się, odpryskuje z nich lakier, zielenieją noski. Mimo to wydaje się, że nic nie jest w stanie oderwać właściciela od danych okularów, które stają się jego atrybutem. Gdyby ktoś taki został świętym, stałby w bocznej nawie kościoła z okularami w ręku. Monogamiści – kiedy myślą o swoim pochówku – widzą swoją spokojną, bladą twarz, ułożoną w trumnie na środku poduszki. Na tej twarzy muszą także znaleźć się okulary. Bo i co zrobić z okularami po zmarłym? Postawić na półce obok zdjęcia? Wyrzucić? Schować do szuflady?

Okulary to jeden z tych przedmiotów, które od pewnego momentu zaczynają kręcić się wokół ludzi, towarzyszyć im.

Poligamiści okularowi nie są tak dramatyczni ani tak sentymentalni. Do każdej stylówy mają inny dizajn (sorry for my english), okulary zmieniają jak rękawiczki, tak że i zewnętrzny świat traktuje je jako element garderoby. Taki sam jak apaszka, narzutka albo krawat. Widać, że mają z tego fun, nie są skazani, są wybrani. Ich choreografia nie jest starcza, przeciwnie – popatrują znad okularów, ślinią seksownie koniuszek zausznika, wieszają sobie okulary w taki sposób, by obniżyć dekolt. Noszą oksy nonszalancko na siwiźnie, łańcuszku, zmysłowo pocierają firmową ściereczką. Zazdroszczę im. Swoje drugie noszę na razie w torbie. Jeszcze mają karę.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

SKLEP PRZEGLĄDU
ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Bogata oferta i najlepsze ceny:
książki | e-booki | prenumerata elektroniczna | subskrypcja | Zdanie
Przegląd

eprasa.pl fa2369afb7

JOLKA

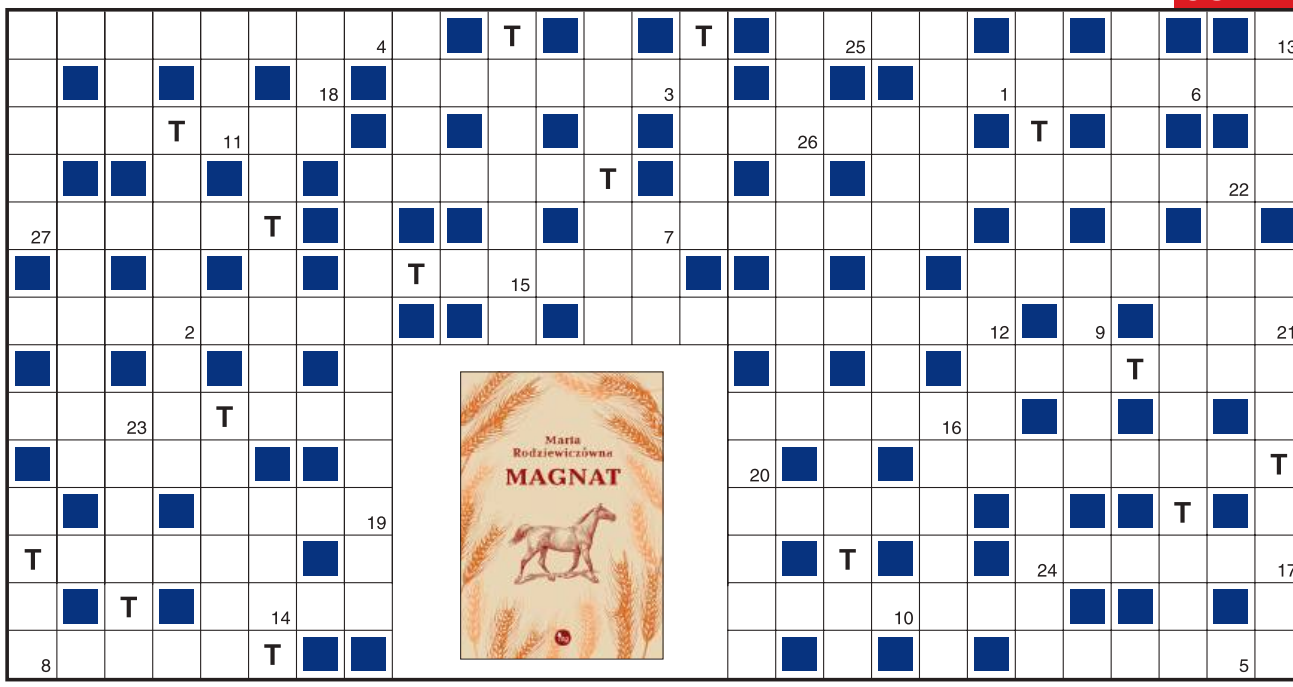

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą końcowe hasło.

- zrzesza amatorów latania
- ogrodowa konstrukcja, dawniej chłodnik
- noszony na szczęście
- córka Mieszka Starego, księżna zachodniopomorska
- Noego lub Przymierza
- niejednakowość, niewspółmierność
- łuk nad okiem
- zrzeszenie rękodzielników
- Firenzo z „Harry'ego Pottera"
- Maria Antonina jako córka, nie żona
- …krymski, państwo tatarskie
- „…na wody płynące" Shawa
- grymas, foch
- australijski nielot
- kosmetyczna albo światłoczuła
- utwór lub szereg wydarzeń o doniosłym znaczeniu
- załączana do książki lista błędów
- na nim trenowana pierwsza pomoc
- „wybuchowy" kolor
- ciągnie lub pcha barkę
- u Brzechwy ptak spotkany na Wolskiej
- sprawdza zużycie gazu, prądu
- proszek do prania z Polleny
- chwat lub w hufcu pracy
- wodospad z progami
- wznoszący się prąd ciepłego powietrza
- przebranie na bal lub aktora
- mieszanie win w ich produkcji
- zbiera datki
- wymyślił pilota Pirxa
- puste, wolne miejsce, wyrwa
- zwierzyniec lub panoptikum
- atmosfera tajemniczości i duchowości
- boiskowa trawa
- pęk włosia na trzonku
- z pochwą miecza na szyi Juranda
- przesadna i udawana wstydliwość
- Pola, ale nie Negri
- rowerowa taksówka
- „Brzydula i…" Koterbskiej
- sterta gruzu
- narysowany w skali przekrój
- afrykańska wyprawa
- ognista drobina
- alians, przymierze
- to drzewo naplotkowało, że już się zbliża wiosna
- kaszkę warzyła, nie każdego nią obdzieliła
- faza, etap
- kopa siana
- potomek
- drzewo i dzielnica Otwocka
- z rubrykami
- pianista kawiarniany
- obraz do piosenki
- niszcząca trąba
- cyrkowy drążek na linach
- drobna wada, niesprawność
- wiedeński, ale nie sernik
- kartka z podróży
- wstyd, obciach

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1168". Do rozlosowania książki „Magnat" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 maja 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1165" z nr. 16: *Krzykiem ognia nie ugasisz.* Nagrody otrzymują: Wojciech Kłosowski z Warszawy, Halina Skoczylas z Warszawy, Aleksandra Szewczyk z Krakowa.

eprasa.pl fa2369afb7

Rau. I wszystko jasne

Na marginesie sejmowej debaty o polityce zagranicznej toczyły się polemiki o kadrach MSZ. Ech, Sikorski powiedział niewiele, a pisowscy polemiści opowiadali bzdury.

Minister ubolewał: „Jedną z pierwszych ustaw przyjętych po wyborach w 2015 r. była nowelizacja ustawy o służbie cywilnej, która otwierała drogę do kariery ludziom bez kwalifikacji i doświadczenia. Dalsze szkodliwe zmiany nastąpiły wraz z wdrożeniem nieprzystającej do naszych potrzeb ustawy o służbie zagranicznej". No i dodawał, że gdy przejął MSZ, to „polityczni nominaci pożegnali się z dyrektorskimi fotelami w ciągu pierwszych dni jego urzędowania".

A jeśli chodzi o grono pisowskich ambasadorów? „Proponowane przeze mnie zmiany mają objąć kilkudziesięciu ambasadorów i stałych przedstawicieli. Większość z nich i tak podlegałaby rotacji. Część z tych osób pozostanie w ministerstwie, ale część – niekompetentna, nieznająca języków obcych, nieumiejętnie zarządzająca placówkami i niezdolna do godnego reprezentowania kraju – nie powinna już nigdy postawić stopy w MSZ".

I tyle. Pięć miesięcy rządzenia, a minister „proponuje zmiany". Czyżby zrobił się bardzo delikatny w słowach i czynach, czy też gra na czas? A dlaczego? Bo chce być komisarzem UE ds. obrony?

PiS takie informacje bolą najbardziej, bo oni żadnych szans na międzynarodowe posady nie mieli, a lubią pieniądze liczyć. Były szef MSZ Rau woła więc: „Prasa donosi, że sam pan minister również wolałby pracować za lepszą pensję dla Komisji Europejskiej niż dla polskiego rządu". Na co Sikorski mu odpowiedział: „Zrezygnowałem z tego!".

To ważna deklaracja. Ale nie uwierzył w nią były wiceminister Paweł Jabłoński, który wołał z trybuny sejmowej: „On od ponad czterech miesięcy prowadzi rozmowę kwalifikacyjną, stara się o ten stołek w Brukseli albo o stołek wysokiego przedstawiciela, albo jakiś specjalny nowy stołek mają stworzyć – komisarza ds. obrony. Nie ma tam realnych kompetencji w tej chwili, ale pensja na pewno będzie wysoka".

Ta pensja ewidentnie go zabolała. Pewnie zrozumiał, że on – dyletant w sprawach międzynarodowych – na taką lub podobną posadę nie ma szans. A może nie zrozumiał? W myśleniu PiS jest bowiem bardzo mocny komponent spiskowy. Że to nie kwalifikacje decydują, tylko zdrada.

O to oskarżał obecną władzę Zbigniew Rau: „Skoro cały interes kraju sprowadzał się do stanowisk w instytucjach europejskich, to inni wystawili za to Polsce rachunek". Innymi słowy, sugerował, że Unia, Niemcy przekupili polityków PO, z Sikorskim na czele, stanowiskami.

A po chwili mówił, że to Rosjanie. „Kiedy ja byłem szefem MSZ, z tym resortem pożegnało się 38 absolwentów MGIMO. Teraz, pod pana rządami, przytłaczająca większość z nich jest z powrotem pod pana skrzydłami w MSZ". Pisaliśmy już o tym – wracają, bo wygrali procesy sądowe o przywrócenie do pracy, wracali już zresztą za Raua. Ale on miał swoją wizję wystąpienia, więc wołał: „Teraz, kiedy pan pracuje w MSZ, otoczony w najlepszej tradycji resetu i z poczuciem ukojenia przez apolitycznych i profesjonalnych absolwentów MGIMO, pan już nie musi tweetować: Spasibo Rossija, bo każdy wie, o co chodzi. Dziękuję bardzo".

Gdy się słyszy takiego mędrca, łatwiej zrozumieć, dlaczego MSZ za jego czasów pogrążało się w prymitywizmie i partyjnych szaleństwach.

Attaché

Nakizumo, święto płaczących dzieci, to 400-letnia japońska tradycja. Zawodnicy sumo na ringu próbują zmusić dzieci do płaczu, delikatnie nimi potrząsając. Rodzice wierzą, że zostaną przez to pobłogosławione. Świątynia Sensō-ji w Tokio, 28 kwietnia 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fa2369afb7

PENETRACJE

VIVA!

GOŁDA TENCER,
AKTORKA, REŻYSERKA I PIOSENKARKA

Miałam szczęście poznać Idę Kamińską, po spotkaniu na scenie łódzkiego teatru odwiedziłam ją raz w Izraelu, potem ona przyjechała do Warszawy w grudniu 1975 r., po siedmiu latach nieobecności. „Żydzi Warszawy, nie wiem, kto lepiej zrobił. Ja, która wyjechałam, czy wy, którzy zostaliście", powiedziała wtedy. I jeszcze jedno zdanie padło ze sceny. „Bo wy posiadacie swój dom, a ja już domu nie mam". Czy mogłam zawieść Idę? Czy mogłam zawieść Szymona Szurmieja, który uratował Teatr Żydowski z marcowej zawieruchy, a potem przez 46 lat tworzył jego legendę? Nie mogłam. Marzę o ogromnym Centrum Kultury Jidysz. Ono już istnieje, ale chciałabym, by miało swoją siedzibę. Marzę o stworzeniu Lasu Pamięci, miejsca, gdzie będzie można sadzić drzewa upamiętniające tych, którzy zginęli.

FAKTY

DARIUSZ CYCHOL,
REDAKTOR NACZELNY

Coś o wyborczym wyniku Lewicy (6,3%). Niechętnie to robię, bo formacja ta głosi najbardziej humanitarne, świeckie i antyklerykalne hasła, a napisać o niej czegoś dobrego nie potrafię… Przy trendzie laicyzacyjnym, konieczności obrony praw pracowniczych i poprawy warunków socjalnych osób starszych powinna kwitnąć, a tymczasem zaliczyła kolejną (historyczną chyba) klęskę. Przyczyn jest wiele: oderwanie się od naturalnego elektoratu, tragiczne formy komunikowania się, autorytarny sposób zarządzania partią i… krótka, coraz krótsza „ławka" kadrowa. Czy są szanse na samoreformę tej partii? Teoretycznie tak, w praktyce jednak niewielkie. Cała formacja opiera się na unii personalnej Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia, żyjącego dostatnio z pensji europosła. Ponoć marzy on o tym, by europosłem uczynić swojego partnera Krzysztofa Śmiszka. Kiedy Lewica wystawi obu w wyborach do europarlamentu, będzie to jej koniec…

Twój STYL

MAŁGORZATA SZUMOWSKA,
REŻYSERKA

Jestem z tych, którzy lubią wszędzie wściubić nos, wszystkiego zaznać. W tym zawodzie do wszystkiego musisz dojść sama, przeżywając na własnej skórze. Dlatego robię dużo filmów. Bergman – nie porównuję się do niego – zrobił ponad 80 filmów. Nikt ich nie pamięta, znanych jest góra kilkanaście. Ostatnio byłam na kolacji z Jerzym Skolimowskim, który w pewnym momencie powiedział, że wyreżyserował 17 filmów, a skończył 85 lat. Ja 12, a skończyłam 50. Zażartowałam, że chyba robię za dużo. A potem sobie przypomniałam, że Jerzy miał 20 lat przerwy, kiedy zajął się malarstwem.

na szczycie

BARTŁOMIEJ KURAŚ,
DZIENNIKARZ

W marcu i kwietniu w Tatrach schodzi najwięcej lawin – aż 66% wszystkich w roku. (…) Zdecydowana większość lawin jest inicjowana w sposób naturalny – w wyniku zmian zachodzących wewnątrz pokrywy śnieżnej (89%). Tylko w 11% przypadków czynnikiem inicjującym byli ludzie lub zwierzęta. W Tatrach zdecydowana większość (78%) to lawiny o długości toru pomiędzy 100 a 1000 m, uważane za lawiny o średniej wielkości. Mniej jest lawin małych, o długości toru do 100 m (13%), a lawiny dłuższe, liczące ponad 1000 m, zdarzają się bardzo rzadko (3%). Lawiny przeważnie obrywają się na wysokości pomiędzy 1500 a 1800 m n.p.m. (68%), a więc w obszarze piętra kosodrzewiny.

FOT. AMEM, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl fa2369afb7

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

Wyrazy 4-literowe **1**

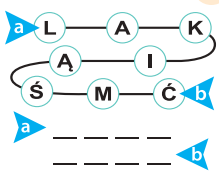

Wyrazy 5-literowe **3**

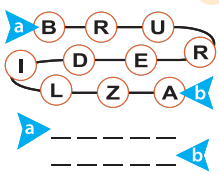

Wyrazy 6-literowe **5**

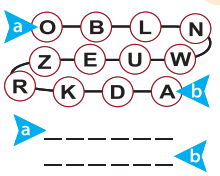

Wyrazy 4-literowe **2**

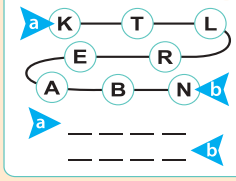

Wyrazy 5-literowe **4**

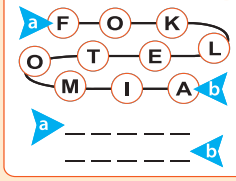

Wyrazy 6-literowe **6**

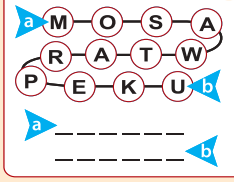

ROZWIĄZANIA: LIŚĆ, MAKA, TLEN, BARK, BURZA, LIDER, FOLIA, MOTEK, BLUZKA, DREWNO, MOSTEK, UPRAWA

Aby język giętki…

MACIEJ STUHR
O ŻARTACH Z POLITYKÓW
Reakcja publiczności, gdy wspominam np. Jacka Sasina, jest niezwykle żywiołowa.

RÓŻA THUN
O WALCE Z FAKE NEWSAMI
Platformy internetowe będą odpowiedzialne za treści, które się na nich znajdują. Muszą wiedzieć, kto je umieszcza.

AGATA PASSENT O BABCIOWYM
Są babcie, które zarabiają lepiej niż córki i zięciowie razem wzięci.

KASPER BAJON O LATACH 90.
Przeraźliwa dekada. Brzydka i niebezpieczna. Strach był elementem codzienności.

KATARZYNA WARNKE O ROMANSACH
Jestem romantyczką. Uwielbiam słowo romans i jest mi przykro, że zaczęło się kojarzyć wyłącznie ze zdradą.

MAREK DUTKIEWICZ
O GŁOSIE JOANNY DARK
Sensualny i aksamitny. Rozpoznawalny. Wie, o czym śpiewa. To wielka zaleta.

JOANNA DARK
O MARKU DUTKIEWICZU
Uwielbiam mężczyzn z poczuciem humoru i pogodą ducha. Marek budzi się z uśmiechem i buduje mi cały dzień.

NATALIA KUKULSKA O PRZYJAŹNI
Przyjaciele to jest nowa rodzina. Rodzina z wyboru.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl fa2369afb7

ABSTRAKT/MIĘDZY NATURĄ A WYOBRAŻENIEM

MALARSTWO, GRAFIKA, RZEŹBA

Piotr Pasiewicz mieszka i pracuje w Łodzi. Jest absolwentem Wydziału Grafiki i Malarstwa tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego. W twórczości wykorzystuje różne media: grafikę warsztatową, malarstwo, rysunek, performance, wideo-art oraz krótkie formy filmowe. Język artystyczny, którym operuje, wywodzi się niemal całkowicie z rysunku. Linia jest samodzielnym elementem plastycznym, środkiem wyrazu równoprawnym wobec koloru. Obraz jednak to coś więcej niż relacja formy i koloru czy przemyślana kompozycja linii. Pasiewicz pragnie tworzyć energetyczne płaszczyzny, które potęgują wrażenie ruchu, przemieszczania się i wibrującej przestrzeni.

Centrum Kultury Browar B.
Galeria Sztuki Suszarnia
Włocławek, ul. Łęgska 28
do 11 maja

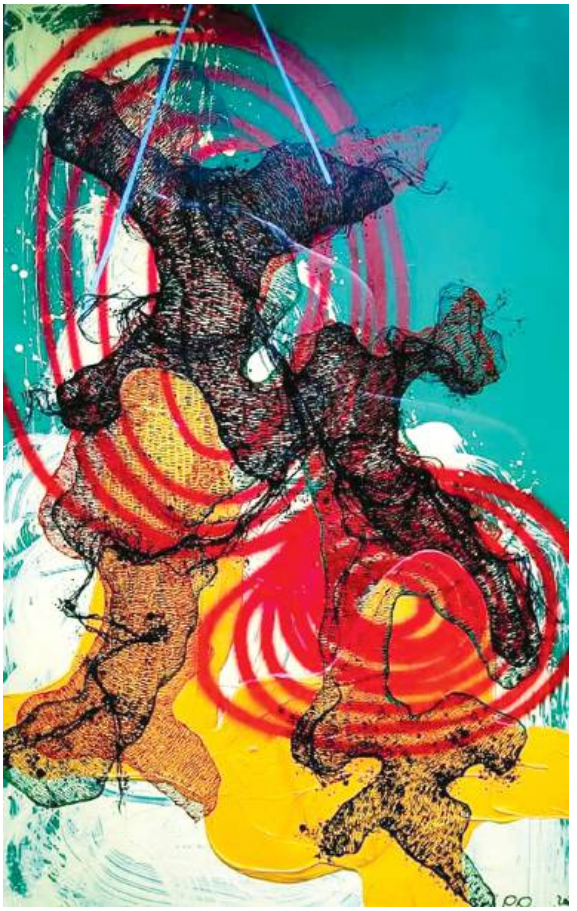

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fa2369afb7

eprasa.pl ka2369ab57

THE OLD OAK
OSTATNI FILM
KENA LOACHA
„Wiatr buszujący w jęczmieniu”
„Ja, Daniel Blake”
CINÉFEST SUDBURY
NAGRODA PUBLICZNOŚCI
PALIĆ FILM FESTIVAL
NAGRODA PUBLICZNOŚCI
MFF CALGARY
NAGRODA PUBLICZNOŚCI
MFF VALLADOLID
KONKURS GŁÓWNY
FESTIVAL DE CANNES
KONKURS GŁÓWNY
MFF w Locarno
Nagroda publiczności
Wzruszająca historia przyjaźni w świecie pełnym nienawiści
THE OLD OAK
W kinach od 10 maja
AURORA

eprasa.pl fa2369afb7